

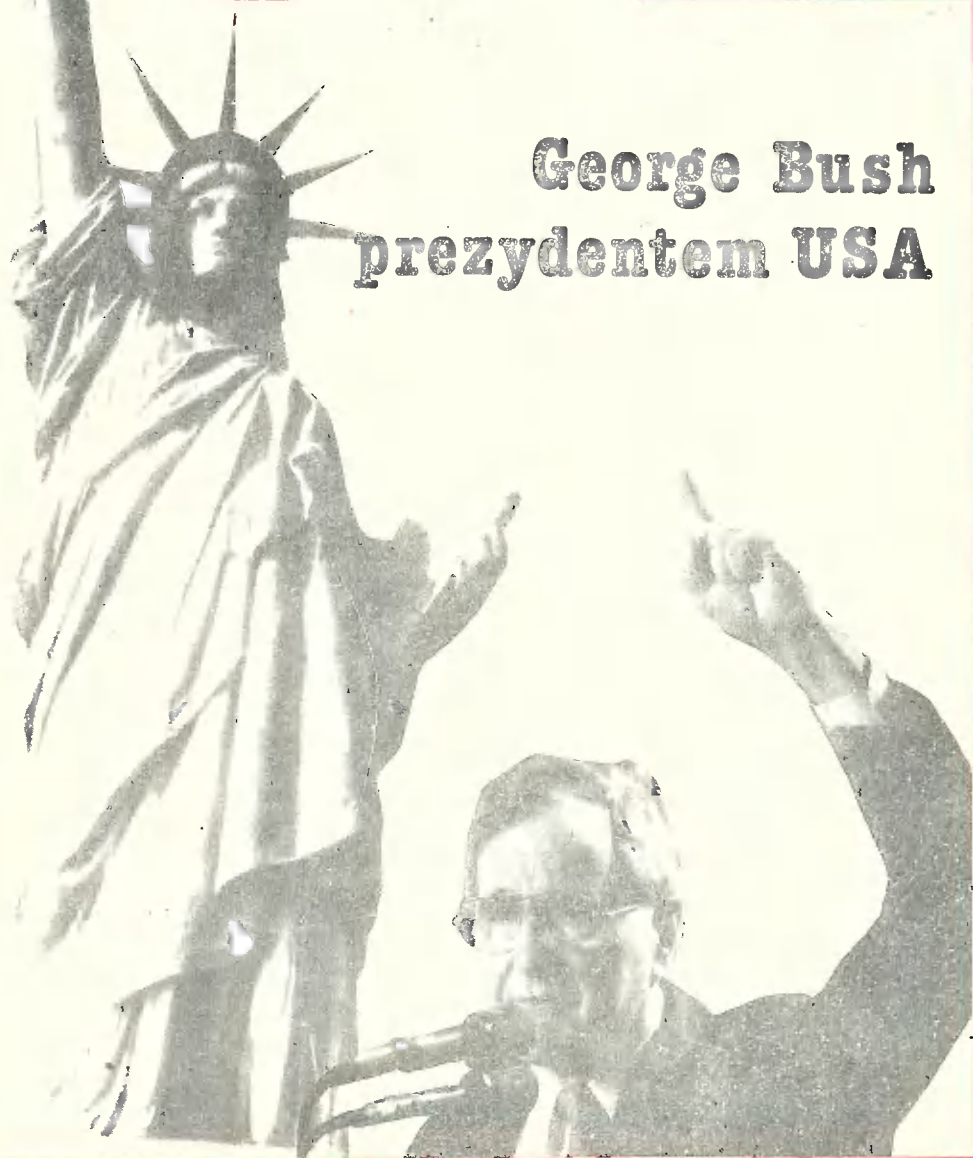
Miesięcznik „Towarzystwa Solidarność”

Pogląd

Rezmowa
z Andrzejem
Wajdą



**George Bush
prezydentem USA**



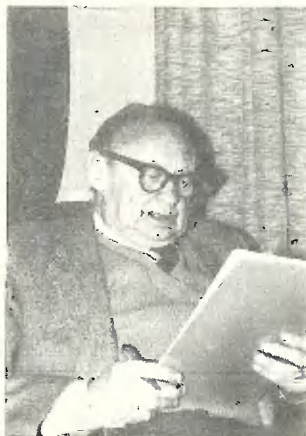
Pogląd

Jan Nowak-Jeziorański Bush a sprawa Polski	3
Wanda Falkowska Romaszewscy	17
Paweł Smoleński Bez dachu nad głową	24
Ernest Skalski Żółte firanki	26
Rafał Piomiński Gorąca jesień na uniwersytetach	30
Wiktor Grotowicz Rozmowa ze Stefanem Kisielewskim	32
Tomasz Jerz Rozmowa z Janem A. Górnym	36
Zdzisław Najder Bilans siedmiu lat	38
Anna Kot W kraju nauczyłam się twardości	42
Andrzej Zwaniecki Dlaczego nie Dukakis?	46
Thomas R. Wolanin Dlaczego Bush?	48
Andrzej Wirecki Zbliżenie?	52
Wiktor Grotowicz Kocioł nr 2	53
Krystyna Grzybowska Katechizm sowieckiego turysty	56
Walter Zelazny Papleż we Francji	59
Marta Waliszewska Z biblioteczki emigrantki	61
Janina Frog Wywiad z Andrzejem Wejdą	63
Walter Zelazny „Spisek” albo „zabić księdza”	66
Nina Zabińska Wzłąć udział w destalinizacji	68
KRONIKA EMIGRACYJNA ...	70

Oddano do druku dn. 21.11.88r.

ZLIKWIDOWAĆ SOCJALIZM

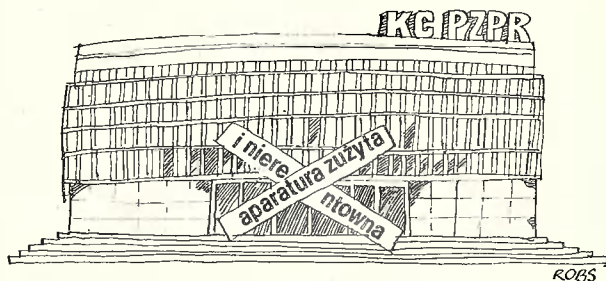
str. 32



Popularny w kraju Kisiel w rozmowie z monachijskim korespondentem „Poglądu” Wikto-rem Grotowiczem postuluje wprowadzenie gospodarki neokapitalistycznej, choć zgadza się ze Stanisławem Stom- mą, że czeka nas „ciemna droga powrotu do kapitalizmu”. Stefan Kisielewski ujawnia też główne założenia swego programu naprawy Rzeczypospo- litej: zlikwidowanie socjalizmu (ewentualnie bez zmiany na- zwy, za to za cichą zgodą Związku Sowieckiego).

NIEDYSKRETNY UROK NOMENKLATURY

str. 26

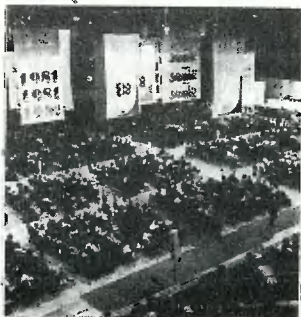


Ernest Skalski w artykule ŻÓLTE FIRANKI opisując przywileje, ja- kimi cieszą się polscy kacykowie komunistyczni, twierdzi, iż bez- pośrednie straty wynikające ze społecznych kosztów luksusu ota- czającego prominentów są znikome. O wiele bardziej szkodliwy jest stworzony i utrzymywany przez nich system zależności, para- lizujący gospodarkę państwa i przeczący propagandowej frazeolo- gii dotyczącej „sprawiedliwości społecznej”.

OSIĄGNIĘCIA I BŁĘDY „SOLIDARNOŚCI”

str. 38

Z notatek Zdzisława Najdera pł. BILANS SIEDMIU LAT dowiadujemy się, że jednym z mankamentów wolnego ruchu związkowego był jego niedowład ideologiczny. Zabrakło działaczy, którzy porządkowałyby ogólne zasady ideowe związku. Skuteczność działalności związku w stanie wojennym paraliżowała przyjęta uprzednio przez „Solidarność” monomania jawności, uniemożliwiająca oparcie walki o anonimowe struktury. Jednak mimo iż od delegalizacji związku minęło prawie 7 lat, mimo poczucia beznadziejności i powolnej dystrykcji interesów społecznych, właśnie dzięki „Solidarności” nasze całe życie narodowe uległo zmianie i dziś jesteśmy świadkami żywiołowego odradzania się tyle razy oficjalnie pogrzebanego ruchu.



ROMASZEWSKY

str. 17

Wanda Falkowska nakreśliła portret Zofii i Zbigniewa Romaszewskich, stojących od dwóch lat na czele Komisji d/s Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność”, a w czasie stanu wojennego kierujących radiem „Solidarność”. Państwo Romaszewscy w grudniu br. otrzymali nagrodę amerykańskiej fundacji „Aurora” za wybitne osiągnięcia w dziedzinie walki o prawa człowieka. (Od red.: Niestety nie udało nam się zdobyć fotki p. Zofii).



Z prasy podziemnej



WOKÓŁ „OKRĄGŁEGO STOLU”
OŚWIADCZENIE KKW

KKW NSZZ „Solidarność” na wspólnym posiedzeniu z MKS-ami dokonała oceny szans na polityczny zwrot w PRL w wyniku ostatnich wydarzeń. W wydarzeniach tych Związek nasz wykazał swoją siłę. Dowiodły jej strajki maja i sierpnia 1988, powstanie Komitetów Założycielskich i Organizacyjnych, podjęcie ideałów „Solidarności” przez nowe pokolenie. Dowiodła jej też zdolność Związku do zawieszenia akcji protestacyjnych.

Podjmując propozycję przystąpienia do rozmów oświadczamy, że NSZZ „Solidarność” jest otwarty na porozumienie, w którym zachowana zostanie jego tożsamość. Oczekujemy jasnego wyrażenia przez władze PRL gotowości stworzenia warunków do legalnej działalności NSZZ „Solidarność”. Dopiero legalizacja „Solidarności” pozwoli na skuteczne włączenie się Związku do reformowania kraju.

Lech Wałęsa ma poparcie KKW i MKS-ów w tych rozmowach.

Jednocześnie stwierdzamy, że represje wobec uczestników strajków, pozbawienie wolności, pracy i karne wcielanie do wojska podważają wiarygodność propozycji władz. Oczekujemy natychmiastowego zaprzestania represji i jętrzącej propagandy w środkach masowego przekazu. Poczucie odpowiedzialności wymaga od wszystkich stworze-

WE WŁASNEJ SPRAWIE — SOS

Drodzy Czytelnicy „POGLĄDU”!

Niniejszy numer *Poglądu* kosztuje w RFN aż 9 DM. Odpowiednio też wzrasta cena pisma w innych krajach. Ten, dla wielu z Państwa z pewnością przykry krok, zmuszeni jesteśmy uczynić ze względu na wzrost ogółu kosztów redakcyjnych oraz z powodu zmniejszających się wpływów z datków. Utrzymanie w tych warunkach dotychczasowej ceny pisma nie jest możliwe, tym bardziej, że suma tzw. nieregulowanych przez nas płatności zaczyna przybierać niebezpieczne rozmiary. Nie możemy dopuścić do sytuacji, w której byłibyśmy — jak rząd PRL — niewypłacalni.

Dlatego też, po raz pierwszy od 7 lat, zwracamy się do Czytelników z apelem o pomoc. Wystarczy nam kilkaset, powiedzmy 500—600 prenumerat, aby i w następnym roku kontynuować wydawanie *Poglądu*. O ile do końca bieżącego roku nie uda nam się zdobyć prenumerat i dalszych sponsorów, w styczniu *Pogląd* już się nie ukáže. Podejmiemy działalność wydawniczą w terminie późniejszym, być może jesienią przyszłego roku, dopiero jednak po uregulowaniu wyżej wspomnianych płatności. Zwracamy się więc do PT Czytelników o wsparcie oraz o aktywne poszukiwanie prenumerat i sponsorów, do których po otrzymaniu ich adresów zwrócimy się natychmiast z odpowiednim pismem. Dla ewentualnych sponsorów i osób z RFN dokonujących wpłat na rzecz *Poglądu* niebagatelne znaczenie ma to, iż Towarzystwo Solidarność jest uznane przez zachodniemieckie władze finansowe za organizację wyższej użyteczności publicznej, a więc osoba wspierająca nas ma prawo do odpisu wpłaca-

nych kwot od opodatkowania. Jeżeli nie załatamy dziur w budżecie, to będziemy kontynuować naszą działalność — jednak już bez *Poglądu* — jako wydawnictwo książkowe, co nie pociąga za sobą koniecznych dla prowadzenia pisma znacznych dotacji.

Sam, jako wydawca *Poglądu*, odczuję zamknięcie pisma na pewno najboleśniej, gdyż od samego początku było związane z moją osobą — od pierwszych kilku stron formatu A4, które własnoręcznie wystukałem na maszynie mego pracodawcy, do ostatniego numeru, w którym prezentujemy teksty publicystów i działaczy politycznych znanych ogółowi Polaków, na emigracji i w Kraju. Zamknięcie *Poglądu* będzie w moim przekonaniu stratą i dla Czytelników w Kraju, gdyż pismo to cieszy się tu coraz większym wzięciem, miało szereg reprintów, a krajowi wydawcy w kilku różnych miastach podjęli się regularnej reedycji pisma, ceniąc właśnie ten miesięcznik za różnorodność tematów i poglądów oraz za aktualność, której często brakuje innym miesięcznym publikacjom. Już obecnie ze względu na krajowe reprintsy zrezygnowaliśmy z produkcji miniwydań dla Kraju, przeznaczając zaoszczędzone w ten sposób środki na rozwój niezależnych wydawnictw krajowych, które będziemy nadal wspierać, niezależnie od dalszych losów *Poglądu*.

Oczywiście w przypadku konieczności zamknięcia pisma zwrócimy prenumeratom — w ciągu trzech miesięcy — nadesłane wpłaty.

(—) Edward Klimeczak



AKTUALNOŚCI

JAN NOWAK-JEZIORAŃSKI

Bush a sprawa Polski

Wybór Busha jest w moim przekonaniu wydarzeniem bardzo pomysłowym dla Stanów Zjednoczonych, dla świata i dla Polski. Kilka razy zetknąłem się z nim osobiście, w 1984 roku przeprowadziłem z Bushem wywiad dla prasy polonijnej, ostatnio byłem obecny przy jego rozmowie z Januszem Onyszkiewiczem, która trwała ponad 40 minut. Znam dokładnie kulisy jego podróży do Polski. Otóż dla Busha sprawy polityki międzynarodowej, obrony, bezpieczeństwa będą stały na pierwszym miejscu. Zna je bardzo dobrze jako były ambasador w ONZ, były ambasador w Chinach, były dyrektor CIA, no i wiceprezydent. Jest człowiekiem o dużej inteligencji, który potrafi błyskawicznie opanować każde zagadnienie (tak było przed jego podróżą do Polski, kiedy jedno śniadanie ze Zbigniewem Brzezińskim, dłuższa sesja z zastępcą podsekretarza stanu d/s ZSRR i Europy Wschodniej wystarczyły mi, by dokładnie zrozumieć o co chodzi).

Jest zacięty i mocny w zwalczaniu przeciwności. Pokazała to ostatnia kampania, kiedy Bush kilka razy był o włos od przegranej. Umie podejmować ryzyko, jest zdecydowany, a gdy raz decyzję podejmie, trzyma się jej konsekwentnie do końca. Tak było z wyborem Dona Quayle'a na wiceprezydenta. Pod wpływem gwałtownej nagonki środków masowego przekazu na Quayle'a otoczenie Busha w pewnym momencie nalegało na niego, by wycofał tę kandydaturę i zastąpił kandydata kimś innym. Być może Bush zdawał sobie po niewczasie sprawę, że popełnił błąd, ale wytrwał w swojej decyzji i miał rację.

Bush nie jest człowiekiem o wielkiej wyobraźni i szerokiej wizji. Jest raczej ostrożnym pragmatykiem, który postawiony wobec konkretnej sytuacji orientuje się szybko i podejmuje również szybkie decyzje. W przeciwieństwie do takich prezydentów jak Truman, Kennedy i Nixon nie wydaje mi się, aby był on inicjatorem jakiegś długofalowej polityki, ale mogą się w tym mylić.

Osoba Busha jest rękojmią, że polityka Reagana wobec Polski będzie kontynuowana. Niepokój Polonii budzi jedynie osoba Jamesa Bakera, dotychczasowego sekretarza skarbu, który ma być



nia warunków i atmosfery sprzyjającej rozmowom mającym na celu rozwiązanie podstawowych problemów kraju. Gdańsk, 10 VIII 88

* * *

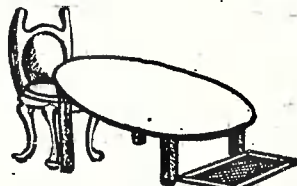
Okragły stół, nieużywany, pilnie sprzedam. Lechu (Nowohucki Biuletyn Solidarności, nr 13, 7.09.88).

* * *

[...] Spotkanie okrągłego stołu, szeroko reklamowane przez rządzących jako krok oznaczający zasadniczy zwrot w polityce wewnętrznej odroczone zostało do połowy października. Klimat rozmów przygotowawczych określiły wystąpienia licznie zaproszonych neozwiązkowców, którzy stanowczo obstawali przy jednym tylko postulacie — niedopuszczenia do odbudowy pluralizmu związkowego w Polsce. Niestety, mimo obietnic gen. Kiszczaka kontynuowana jest taktyka represji wobec ludzi aktywnych w sierpniowych strajkach. Setki robotników zwolniono z pracy, dziesiątki powołano do jednostek wojskowych. Zapełnił się Czerwony Bór — jednostka ostawiona w okresie stanu wojennego, kiedy utworzono tam specjalną kompanię karną dla osób podejrzanych o współpracę z „Solidarnością”.

Ta sytuacja nie rokuję poważniejszych szans dla szumnych obietnic „porozumienia narodowego”.

(Nowohucki Biuletyn Solidarności, nr 14, 20.09.88)



OKRAGŁY, ALE NIERÓWNY

(Wolne Związki, pismo NSZZ „Solidarność”, Bydgoszcz, nr 4/29).

STOŁY OKRĄGLE I KANCIASTE

Ponad czterdzieści lat zbieramy deski i szukamy stolarza, aby zbudować okrągły stół. Wszystko wskazuje na to, że budowa ta jest na finiszu. Co prawda w innych krajach już dawno takie stoły zrobiono, ale lepiej późno niż wcale. Przy stole — wiadomo, można pojeść, popić i porozmawiać. O jedzeniu i piciu napisano wiele. O rozmowach też sporo, ale o rozmowach przy stole chyba trochę mniej. Jako niepoprawny optymistą mam nadzieję, że przy tym stole rozmowy będą toczyły się w języku polskim, a nie w dziwnym języku, w którym używa się wyrazów polskich. [...] W moim rozumowaniu rozmowy w języku polskim to takie, w których będzie wiadomo: KTO? CO? KIEDY? ZA ILE? [...] Jeżeli w takim języku będą prowadzone rozmowy, to niezależnie od tego czy stół będzie okrągły czy kanciasty, możemy być optymistami. Jeżeli w dziwnym języku, to młodzież będzie dalej nam uciekała z kraju, a grudnia będziemy oczekiwali z ciężkim sercem — czy znowu nie zginą Polacy. [...] A.Z. (*Wiadomości Wolnych Związków*, nr 2, 8.10.88).

* * *

[...] Konieczność zmian, daleko idących, zasadniczych, staje się coraz bardziej widoczna, ostatnio także dla ludzi związanych z aparatem władzy. O pluralizmie związkowym i politycznym, opozycji i Sejmie rzeczywistość reprezentującym społeczeństwo mówi się nawet w TV. Na łamy mass mediów powróciła „Solidarność” i Lech Wałęsa.

Czy oznacza to jednak, że po raz kolejny powinniśmy zawierzyć władzom, uwierzyć w ich dobrą wolę i czekać na rozstrzygnięcia „okrągłego stołu”? Z pewnością nie. Dymisja rządu, „okrągły stół” i zmieniona retoryka rządzących, to głównie, jeśli nie jedynie, zastrzała dymna, za którą chowa się upadający i być może po raz pierwszy mający tę świadomość aparat władzy. [...] (*SWHCB*, nr 14, 26.09.-09.10.88).

przy Bushu sekretarzem stanu, a więc kierownikiem polityki zagranicznej. Baker jako sekretarz skarbu był zwolennikiem wycofania się Ameryki z zainteresowań Polską, uważając, że to kosztuje i że każdy grosz pomocy na rzecz Polski będzie zmarnowany. Polonia natomiast stoi na stanowisku, że uwarunkowane kredyty (podkreślam: uwarunkowane) są najskuteczniejszym instrumentem wpływu na rząd PRL.

Mamy jednak nadzieję, że Bush będzie w tym wypadku czynnikiem decydującym. Wywiózł on z Polski bardzo pozytywne wrażenie. Jest przekonany, że nigdzie nie ma tak silnych proamerykańskich nastrojów jak w Polsce, a szczególnie mocne wrażenie wywarł na nim Lech Wałęsa, którego w prywatnych rozmowach porównywał z amerykańskim Martinem Lutherem Kingiem.

Liczmy na to, że na politykę Busha będzie wywierał duży wpływ Zbigniew Brzeziński w charakterze nieoficjalnego doradcy. Wydaje mi się jednak wątpliwe, czy Zbigniew Brzeziński będzie chciał zająć w nowej administracji jakieś stanowisko.

Przed wyborami Polonia wystosowała do obu kandydatów jednoznaczny kwestionariusz. Chodziło tu o wywołanie pewnego rodzaju licytacji o polskie głosy. Odpowiedzi były prawie identyczne. Dukakis obiecywał Polakom nawet więcej niż Bush, ale jego wiarygodność była ograniczona. Przrzekał na przykład, że wprowadzi Polaków do swojej administracji, ale w Massachusetts, gdzie polska grupa etniczna jest dość liczna, nie zaangażował w ciągu swoich dwóch kadencji jako gubernator ani jednego Polaka. Również obiecując poparcie dla takich, instytucji jak Radio Wolna Europa, Radio Swoboda, Głos Ameryki, Dukakis wprowadził zastrzeżenie: „w miarę, jak na to pozwoli krytyczna sytuacja budżetowa”.

Polacy zrozumieli to oczywiście jako zapowiedź albo likwidacji, albo znacznego ograniczenia tych właśnie instrumentów, które są szczególnie ważne dla „Solidarności” i dla opozycji. Dopiero gdy powstała burza, Dukakis wycofał się szybko z tego jednego zdania i zaczął nawet mówić, że nie tylko będzie popierał te radiostacje, ale może nawet jeszcze bardziej je wzmocni. Przyjęte to jednak zostało już z dużą dozą sceptycyzmu.

Następne cztery lata nie będą łatwe. Istnieje prawdopodobieństwo, że pomyślna koniunktura, która trwa już blisko osiem lat, może się skończyć. Deficyt budżetowy i handlowy jest dużym obciążeniem, a nawet zagrożeniem dla gospodarki amerykańskiej. Wreszcie Bush nie będzie miał za sobą wiarygodności w Kongresie ani w Izbie Reprezentantów, ani w Senacie. Na szczęście nie odbije się to w żadnym stopniu na stosunku do Polski, bo jeśli chodzi o politykę w stosunku do naszego kraju cieszyła się ona za czasów Reagana poparciem obu partii, a nawet wielu najbardziej aktywnych przyjaciół „Solidarności” znajdowało się w partii demokratycznej. Wymienię tu dla przykładu kongresmena Solarza albo senatora Kennedy'ego. To są zresztą tylko przykłady. Niezależnie od wszystkich swoich walorów osobistych Reagan miał bardzo dużo szczęścia w ciągu swoich ośmiu lat.

Daj Boże, aby to szczęście towarzyszyło także Bushowi. ■

GDY SIĘ WCHODZI W NEGOCJACJE

[...] Lech Wałęsa ocenia rezultaty dotychczasowych rozmów z rządem: — Dobrze się stało, że mimo braku deklaracji uznania Związku rozmowy są kontynuowane. Zerwać można zawsze, lecz teraz my mamy gwarancje, że możemy działać. Rząd jest dość lojalny. Do Częstochowyjechały autokary z całej Polski z plakatami „Solidarności” i nie było żadnych represji. Już za to było warto, to już zwycięstwo.

Bogdan Lis — Przed okrągłym stołem potrzebne jest spotkanie rozszerzonego KKW, burza mózgów. Ci, którzy będą negocjować, muszą mieć świadomość, do jakiego stopnia mogą być elastyczni.

Lech Wałęsa — Ja będę mówił: „Nie ma wolności bez »Solidarności«,” w innych tematach będą fachowcy. Nie zakończą nic, dopóki nie będzie zatwierdony temat związkowy.

Prof. Andrzej Stelmachowski — Spotkanie przy „wielkim stole” będzie miało charakter uroczystości. Małych „stolików”, rząd zaproponował trzy: reformy polityczne, reformy gospodarczej, modelu ruchu związkowego. My proponowaliśmy siedem: pluralizmu związkowego, spraw gospodarczych, pluralizmu społecznego, reformy politycznej, prawa i systemu sądowego, rolnictwa i związków rolniczych oraz spraw górniczych. Przy każdym stoliku będzie ok. 20 osób — po 10 z każdej strony, nie licząc obserwatorów z ramienia Kościoła. Skład stołika związkowego nie powinien różnić się od tego, który był w rozmowach 16 IX. Do zespołu związkowego wyznaczamy delegację, do pozostałych rekomendujemy. [...] Prawdopodobnie ceną polityczną za uznanie „Solidarności” w koncepcji władzy miałoby być wejście do Rady Porozumienia Narodowego. [...]

Bronisław Geremek — Gdy wchodzi się w negocjacje, trzeba przyjąć zasadę: próbujemy osiągnąć rezultat złożony i to jest naszym celem w rozmowach. Sprawą naczelną, priorytetową jest legalizacja „Soli-

darności”.

Okrągły stół zasadza się na sytuacji braku wolności. On nie przywróci wolności i demokracji. Pewnych grup ani ludzi nie będzie. My jesteśmy za obecnością wszystkich [...]

Władysław Frasyniuk — Są wśród nich „ozdobniki” [chodzi o skład rządu — przyp. red.], ludzie, którzy o niczym nie decydują.

Skład stołika związkowego jest niezgodny z koncepcją tych rozmów. Poza nami i rządem powinny być tam także inne zlikwidowane związki zawodowe, również np. przedstawiciel Sądu Najwyższego, skoro ma być mowa o kształcie prawnym.

Antoni Sławikowski — W opozycji istnieją różne kierunki, poglądy polityczne i ekonomiczne. Ten, kto będzie wybierał delegację do poszerzonych stołów, musi zaproponować całe ich spektrum. Inaczej zarzucą nam, że ograniczamy reprezentatywność. Kto wyłania uczestników? Sam Lech, czy Lech i doradcy? Jaki jest proponowany skład?

Prof. Stelmachowski — Walczyłem jak lew, żeby rząd się nie wtrącał do składu naszej delegacji. [...]

Tadeusz Mazowiecki — Strona rządowa, partyjna uznaje „Solidarność”, a dokładnie Lecha — poprzez zwrócenie się do niego, więc Wałęsa ma możliwość proponowania uczestników. Przy stoliku reform politycznych reprezentowane będą różne kierunki w opozycji. [...]

Władysław Frasyniuk — [...] Nie można iść z przygotowanym z góry kompromisem, szukać kompromisu do kompromisu. Kompromisem już jest to, że siadam do stołu z policjantem, który do nas strzelał. Siadam nie stawiając postulatów, że winni muszą być ukarani. [...] Sytuacja jest podobna jak w 1981 r.: Chcą nas pojedynczo wciągnąć w ustępstwa „dla dobra kraju”, żebyśmy uwiarygodnili władzę. Od jednego stołika nie umieliśmy wstać, a teraz chcę siedzieć. Czy czasem nie ponosi, jak w 1981 roku? [...] Stoimy przed ryzykiem rozmycia „Solidarności” przez nas samych. „Solidarność” powinna przyjąć zdecydowane

stanowisko; ustalić, z czego nie powinniśmy ustąpić [...] (Tygodnik Mazowsze, nr 265, 28.IX.88).

NA CO LICZY WŁADZA?

Niejasne w dalszym ciągu wydają się intencje władzy związane z inicjatywą tzw. spotkania przy okrągłym stole, której — jak na razie — punktem głównym było spotkanie Kiszczaka z Wałęsą, co wzbudziło sensację za granicą, ale w kraju — wobec owoców tego spotkania (wygaszenie przez Wałęsę strajków „solidarnościowych”) — powiększyło listę pytań politycznych, na które brak klarownych odpowiedzi. Czy władzy [...] chodziło jedynie o zażegnanie fali sierpniowych strajków i swego rodzaju skompromitowanie Wałęsy — człowieka naiwnego, dającego się nabrać na głoślowne obietnice szefa policji? [...] Wiele już wokół tego spotkania narosło nieporozumień. Jeżeli rzeczywiście władza w rozmowach z Wałęsą szukała rozwiązań tymczasowych, to taktyczny sukces osiągnęła, strajki wygasły, prestiż Wałęsy, z ich punktu widzenia, został nadzarpnięty. Ale byłyby to sukcesy na krótszą metę. [...] Zerwanie rozmów z „Solidarnością” może spowodować jeszcze większe wyalienowanie społeczne tej ekipy i największy od 1980 r. wybuch społecznego niezadowolenia. Grozi już nie „zimna” lecz „gorąca” wojna domowa. G.D.

(Solidarność Walcząca, oddz. Poznań, nr 25/104, 10.09.-2.10.88).

RYZYKO WAŁĘSY

Dyskusyjna jest przede wszystkim formuła „okrągłego stołu”, która redukuje siłę przetargową „Solidarności” i rzymszą ją wśród osobistości mocniej lub słabiej związanych z obozem rządzącym. Zasiadając przy okrągłym stole Wałęsa, chcąc czy nie chcąc, spełnia wreszcie marzenie Jaruzelskiego o zmontowaniu jakiejś zneutralizowanej koalicji, która pośrednio dawałaby partii moralne przyzwolenie na dalsze rządy. Okrągły stół jest tylko inną nazwą

pomysłu, który najpierw nazywał się PRON, przybrał też postać Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie, później uformował się pod firmą Rady Konsultacyjnej, aż wreszcie wypłynął od nowa w postaci obiecywanej Rady Porozumienia Narodowego („okrągły stół” ma być jej przygotowaniem) [...]

(Przegląd Wiadomości Agencyjnych, Region Mazowsze, nr 28/155, 7.09.88).

O CZYM WARTO ROZMAWIAĆ

[...] Marcin Król: Moim zdaniem należy się domagać trzech spraw. Po pierwsze jakiejś formy pluralizmu związkowego, w tym miejsca dla „Solidarności”. Bez tego wszystko inne będzie mało sensowne. Po drugie — wyjęcia gospodarki spod kierowniczej roli partii, oddania jej pod wyłączną, pełną władzę komitetowi wykonawczemu składającemu się z ludzi fachowych, w przeważającej części bezpartyjnych. Musieliby oni mieć zaufanie społeczeństwa. Wzajemne zaufanie między związkami zawodowymi a tkim rządem wykonawczym, decydującym o gospodarce, to jest bardzo dużo, to prawie wszystko. Po trzecie — przemiany polityczne, stowarzyszenia, kluby polityczne, zrzeszenia studenckie, zmiany w ordynacji wyborczej. To oczywiście nie nastąpi z dnia na dzień, będzie powstawało stopniowo. Kiedy się z tego wyłoni rzeczywista reprezentacja, wtedy będzie można wycofać tymczasowy rząd gospodarczy. [...]

(Tygodnik Mazowsze, nr 263. 14 X 88)

NA STOS

Coś tam chrobotnęło w aparacie władzy. Pod wpływem sierpniowych strajków rząd chce rozmawiać z L. Wałęsą, jeszcze nie z jako Przewodniczącym „Solidarności”, lecz już z jako wybitnym Polakiem. W takich razach zwykło się mówić: lepiej późno niż wcale. Ta nowa sytuacja rodzi stare i dość mocno ugruntowane obawy, że komuniści wyprowadzą Wałęsę w pole, że rozmowy z gen.

Kiszczakiem będą bardziej przypominały przesłuchanie niż negocjacje, że władze użyły Wałęsę do zduszenia strajków tylko. Opozycja boi się, że zostanie przez ekipę Jaruzelskiego wystrychnięta na dudka [...].

Po obu stronach uczuciem dominującym jest nieufność i wrogość. Mogą one L. Wałęsie odebrać nieco sił przy okrągłym stole, a tzw. „realistycznym kręgiem władzy” osłabić wolę do poszukiwania form pluralizmu organizacji związkowych i społecznych. Ta teza opiera się na założeniu — czy prawdziwym? — że w obozie władzy są ludzie posiadający taką wolę. Czy obopólna nieufność i lęk przemienia „okrągły stół” w klepisko, na którym łamać się będzie raczej postulat niż poszukiwać komunikacji? [...]

Jeśli jednak komuniści ustawiają okrągły stół tylko po to, by grać o „nagą władzę”, to kąśliwe pytanie, czy w Polsce skończy się najpierw socjalizm czy POLKA — wybrzmi pogrzebowym tonem. [...]

Rafał Zaparka

(Feniks, nr 172/6.09.88)

Kraj w prasie zachodniej



X-LECIE PONTYFIKATU JANA PAWEŁA II

Jak donosi *Tagesspiegel* (18.10.) dwa dni wcześniej w Watykanie w jubileuszowej mszy wzięło udział około 10 tys. pielgrzymów z Polski, 50 polskich biskupów, wśród nich także prymas Glemp, jak i

przedstawiciele warszawskiego rządu, z Przewodniczącym Rady Państwa Barcikowskim. Podczas specjalnej audjencji dla 5 tys. Polaków papież powiedział m.in.: „Niepodległość Polski należy mieryć nie jej położeniem geopolitycznym, a prawdziwą suwerennością narodu we własnym państwie.” Papież zacytował też najnowsze oświadczenie Episkopatu Polski, w którym domagano się od władz uznania niezależnych organizacji robotników i chłopów.

Ten sam dziennik donosi o starciach ulicznych (16.10.) w Gdańsku, gdzie przeważnie młodzi ludzie usiłowali przemaszerować z kościoła św. Brygidy do kościoła Mariackiego, niosąc transparenty z napisami „Popieramy Solidarność”, „Boże, chroń nas przed komunizmem”. Kiedy oddziały milicji chciały zatrzymać pochód, posypały się kamieniem. Milicja użyła pałek, a starcia trwały do wczesnych godzin popołudniowych.

OSTATNI WIEZIEN POLITYCZNY PRL?

Tagesspiegel (27.10.) informuje, iż według danych „Solidarności” w Polsce jest tylko jeden więzień polityczny. Chodzi o młotkanta Hodysza, który w 1984 roku został skazany na 6 lat więzienia za dostarczanie tajnych informacji działaczom „Solidarności”. Ten sam dziennik informuje o mszy, która odbyła się 19.10. w Warszawie w czwartą rocznicę zamordowania ks. Jerzego Popiełuszki. W mszy wzięło udział 5 tys. osób, wśród nich rodzice i brat zamordowanego księdza. Do starć z milicją nie doszło.

PRASA NIEMIECKA O OKRĄGŁYM STOLE

Sprawy polskie powróciły znów na pierwsze strony gazet. Prawie codziennie. Niczym sejsmograf odnotowywały zmiany nastrojów i kursów propagandowych polskiej prasy, oświadczeń dostojników partyjnych, jak i wypowiedzi Lecha Wałęsy. I tak *Die Welt* (25.10.) na pierwszej stronie informuje o zastrzeżeniu

kursu Jaruzelskiego w odniesieniu do „Solidarności” cytując fragmenty przemówienia, jakie generał wygłosił 23.10. do członków partii w warszawskim „Ursusie”.

Wynikało z niego, iż w razie potrzeby zostaną użyte służby bezpieczeństwa. Jak wyraził się generał, „przemoc jest ostatecznym środkiem, jednak jest konieczna, gdy ktoś usiłuje destabilizować państwo socjalistyczne”. Jaruzelski po raz kolejny oświadczył, iż nie będzie tolerował pluralizmu związkowego. Nawijając do okresu legalnej działalności „Solidarności” przestrzegł: „Należy uważać, aby te wydarzenia się nie powtórzyły, aby nasz kraj nie znalazł się znowu na krawędzi katastrofy”. Jaruzelski nie chce takiego modelu związków zawodowych, który byłby „koniem trojańskim dla politycznych intrygantów”. „Przygotowany jestem na rozmowy z osobami, które przestrzegają porządek prawny i konstytucyjny. Zmiana tych prerogatyw nastąpić może jedynie w przypadku polepszenia się sytuacji gospodarczej kraju i urzeczywistnienia się przewidzianych reform politycznych. Poza tym wszyscy partnerzy dialogu muszą uznać związek Polski z innymi krajami socjalistycznymi za nierozwalny. „Solidarność” poza tym nie może otrzymywać żadnego finansowego poparcia zza granicy.”

* * *

Jak poinformował *Die Welt* (26.10.), w czasie 3 miesięcy, w których obowiązuje nowe prawo do zastępczej służby wojskowej, złożono 764 takie podania, 314 motywowano względami religijnymi, 450 moralnymi. Komisje rozpatrzyły pozytywnie 480 wniosków.

ZAMKNIĘCIE STOCZNI GDAŃSKIE

Decyzję polskiego rządu o zamknięciu gdańskiej stoczni im. Lenina z dn. 1.12. ze względu na nierentowność, w dziennikach zachodniemieckich określono jednomyślnie jako polityczną prowokację. Oto je-

den z typowych komentarzy redakcyjnych (*Tagesspiegel*, 1.11.): „Jest to stanowcze »nie« dla propagowanego dialogu z narodem, a także policzek dla reprezentanta zdelegalizowanej »Solidarności« — Lecha Wałęsy. Reżim zrzucił maskę gotowości do dialogu. Nagle okazało się jak uprawnioną była ostrożność Wałęsy, który bez obietnicy legalizacji »Solidarności« jak i rezygnacji z niektórych swoich doradców, nie chce zasiąść za okrągłym stołem. W rzeczywistości chodzi bowiem o to, aby zniszczyć bazę związku »Solidarność«. Z powodu nierentowności zamyka się obecnie w Polsce setki zakładów bez usuwania przyczyny gospodarczej katastrofy kraju — socjalistycznej, biurokratycznej gospodarki planowej.

Tłumacząc swój krok Jaruzelski i Rakowski w związku z mającą nastąpić wizytą pani Thatcher stwierdzili, że także i ona podjęła stanowcze kroki wobec brytyjskich związków zawodowych i zamknęła nierentowne kopalnie wbrew woli związkowców. Ale demokratycznie wybrana »żelazna dama« nawet w snach nie mogła marzyć o tym, aby zniszczyć brytyjskie wolne związki zawodowe. Doznałaby na pewno niepokojenia, podobnie jak polska partia komunistyczna usiłująca od lat hamować wolnościowe dążenia Polaków.”

Komentujący te wydarzenia korespondent *FAZ* w Warszawie po-

wołał się na wywiad, jakiego udzielił mu jeden z członków prezydium neozwiązków, z którego wynika, iż OPZZ był również zaskoczony tą decyzją. Jak zauważa zachodniemiecki dziennikarz, OPZZ z pewnością będzie przeciwny zamknięciu stoczni im. Lenina, a to chociażby z tego względu, iż od czasu objęcia stanowiska szefa rządu przez Rakowskiego coraz częściej dochodzi do głosu rywalizacja obecnego premiera z szefem OPZZ, Miodowicza, którzy chcieliby w 1991 roku na zjeździe partii stanąć na jej czele”.

WIZYTA PANI THATCHER W POLSCE

W dniach 2-5.11. przebywała w Polsce pani Thatcher, premier Wielkiej Brytanii, spotykając się z Jaruzelskim, Rakowskim, prymasem Głempem i Lechem Wałęsą. Wszystkie dzienniki obiegała fotografia pani premier kupującej warzywa na jednym z warszawskich bazarów. Komentarze dzienników zachodnich były w zasadzie zgodne; pani Thatcher w rozmowach z polskim przywódcą, jak i w czasie konferencji prasowych nie uciekła się jedynie do formulek grzecznościowych. Powiedziała wszystko, co chciała powiedzieć. Opowiedziała się za pluralizmem związkowym, niezamykaniem gdańskiej stoczni im. Lenina, poszerzeniem obszaru wolności człowieka. (*Süddeutsche Zeitung*, 6.11.)

Jedyna w Bawarii POLSKA DRUKARNIA OFFSETOWA

KONTRAST

BREITENSTEINSTRASSE 33 · D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08034/7777

WYKONUJE:

książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty,
odezwy, ulotki, biuletyny, karty świąteczne i wizytowe
oraz wszelkie inne
prywatne, społeczne, naukowe i przemysłowe druki.
Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich,
głównie w polskim i rosyjskim.

Solidne wykonanie — ceny umiarkowane

Dla P.T. Autorów aktualny niezmienne długoterminowy kredyt.

Kraj w prasie PRL



KOŚCIOŁ W OPINII PUBLICZNEJ

Opatrzona datą „lipiec 1988” dwa komunikaty z sondaży CBOS przynoszą wiele interesujących ustaleń. Pierwszy z tych sondaży przeprowadzony był w środowisku młodzieży kończącej szkoły ponadpodstawowe i dotyczył stosunku do wiary, akceptacji jej podstawowych dogmatów a także oceny działalności Kościoła.

Prawie wszyscy badani uczniowie określili się jako wiaryzący (96,4%) i różnią się tylko stopniem aktywności religijnej. Twierdząco na pytanie o uczestnictwo w ostatniej niedzielnej mszy odpowiedziało 75,8% badanych. Jedynie 2,6% zbiorowości określiło siebie jako osoby niewierzące. Spośród czternastu ocenianych przez młodzież osobistości największą popularnością cieszą się Jan Paweł II (sympatię zadeklarowało 93,7% ankietowanych uczniów) oraz kardynał Józef Glemp (66,3%).

Drugi z niedawnych sondaży CBOS przeprowadzony był na ogólnopolskiej reprezentatywnej próbie dorosłej ludności i dotyczył opinii o miejscu i roli Kościoła katolickiego w PRL. Od roku 1985 aprobata dla Kościoła waha się wokół 80%, choć ostatnio (maj 1988) nieco spadła (74,1%) w stosunku do lipca 1987 (82%). Znaczną popularnością cieszy się pomysł powołania współdziałającej z Kościołem partii politycz-

nej. Na pytanie, czy taka powinna istnieć, twierdząco odpowiadało 44,2% respondentów, zaś 29,3% nie miało w tej sprawie wyrobionej opinii. (*Konfrontacje*, wrzesień 1988).

SUKCES POLSKIEGO HANDLU W AFGANISTANIE

W *Polityce* (1.10.) w korespondencji z Afganistanu czytamy: „Na bazarze nie widać żadnej wojny. Wszystko jest: japońska elektronika, francuskie kosmetyki, afgańskie owoce i baranina. Nawet stopa inflacji — jak na kraj ogarnięty pożarem — minimalna. Osem lat temu dolar kosztował 50 afganich, teraz kosztuje niecałe 200. I pomyśleć, że doradcami ministra handlu byli przez cały ten czas Polacy”.

KTT O POLSKIEJ SZANSIE

W tej samej *Polityce* w artykule pt. „Mamy szansę” pisze Toeplitz, iż „przekonanie, że »mamy szansę« opierać się może na wyraźnych przesłankach. Pierwszą z nich jest zarysowująca się perspektywa prawdziwego porozumienia narodowego, »paktu antykrzyzysowego«, drugim powodem, dla którego »mamy szansę«, jest zmieniona sytuacja w obozie państw socjalistycznych, inna niż w roku 1956, 1970 i 1980. Wkroczenie Związku Radzieckiego na drogę daleko idących reform gospodarczych i politycznych oznaczać musi oczywiście nową koncepcję polityki międzynarodowej Kraju Rad. Trzecią przesłanką, pozwalającą sądzić, że »mamy szansę« jest, pomimo wszystkiego, rozżalenie, co należy zrobić, aby wyjść z upadku gospodarczego. Cokolwiek się robi, robi się w rezultacie na własną odpowiedzialność, a więc robić należy naprawdę tylko to, do czego ma się prawdziwe i osobiste przekonanie.

A więc »mamy szansę«? Otóż niestety nie po to piszę ten felieton, aby zakończyć go wnioskiem tak banalnym. W całym bowiem tym rozumowaniu i we wszystkich rozmowach o tym, że »mamy szansę«, brakuje mi pytania dodatkowego: — szansę na co? Chodzi bowiem o to,

czego chcemy i wówczas dopiero ta szansa może okazać się konkretną lub mglistą, realną lub tylko urojoną”.

DŁACZEGO RAKOWSKI?

W artykule „Premier bez rządu” czytamy: „trudno więc mówić o zaskoczeniu. Zaraz jednak zrodziło się następne pytanie: dlaczego Mieczysław F. Rakowski, były świetny dziennikarz, do dziś zresztą nie rozstał się z piórem, równocześnie doświadczony polityk, zaliczany do grupy czołowych reformatorów we władzach? Odpowiedź: »właśnie dlatego« nasuwa się sama” — o czym donosi *Prawo i Życie* (1.10.).

OPŁACALNOŚĆ BĘŁCHATOWA

„Do roku 1984, kiedy oddano blok trzeci i czwarty w Bełchatowie, a więc przez całe dziesięć lat — teza, iż największy kompleks paliwowo-energetyczny w PRL zabiera z sieci więcej prądu niż jej daje, była niestety prawdziwa. (*Prawo i Życie*, 1.10.).

KTO KOGO

W *Trybunie Ludu* (1-2.10.), w artykule: „Dialektyka porozumienia i walki” Krzysztof Majka pisze m.in.: „W Polsce w 1988 roku toczy się walka na dwóch głównych frontach. Pierwszy z nich — to walka o reformy, o sposób sprawowania władzy w socjalistycznym państwie, o humanistyczny kształt socjalizmu, o sprostanie materialnym i kulturalnym aspiracjom ludzi pracy i całego narodu, o efektywność gospodarczą. Została ona zainicjowana przez naszą partię na jej IX Nadzwyczajnym Zjeździe w 1981 roku. .

Drugi z tych frontów — to walka o władzę według leninowskiej formuły »kto kogo« zmierzająca do demontażu socjalizmu. Jest ona narzucona przez przeciwników ustroju w kraju, wspierana ze wszystkich sił przez antykomunistyczne i antypolskie ośrodki z zagranicy oraz przez oficjalną politykę Stanów Zjednoczonych i niektórych innych krajów NATO. Nurt socjalistycznej odnowy,

którego inicjatorem była nasza partia i którego program wiąże się z nazwiskiem i osobą tow. Wojciecha Jaruzeńskiego, ma swe źródło w proteście klasy robotniczej w 1980 roku, w jego wymownym hasle: »Socializm – tak, wypaczenia – nie«.

Wszystkie te poczynania służą umocnieniu socjalizmu, wyzwoleniu w nim nowych sił twórczych. »Solidarność« stała się nadzieją wielu milionów ludzi na zmianę niesprawiedliwego stanu rzeczy. Zawiodła to zaufanie. W latach 1980-81 jej działacze sparaliżowali gospodarkę Polski paranoją strajkową. Bytowi państwa zagrozili anarchią, okupując urzędy państwowe, stając w obronie dewastujących posterunki MO i kryminalistów uciekających z więzień. Mają niewątpliwie zasługi w zdewaluowaniu wysokiej w niektórych zawodach w Polsce etyki pracy. W demagogii osiągnęli perfekcję. Tak obalono socjalistyczny rząd Allende w Chile. Tak wyhamowano »rewolucję czerwonych goździków« w Portugalii.

Dolarodajna działalność Kongresu USA, oferującego coraz to znaczniejsze sumy, wyraźnie wskazuje w czym interesie działa ten nurt ukierunkowany na podważenie socjalizmu w Polsce. Nie jest to polski interes. I nie jest to interes ludzi pracy.

Naszą wolę reform i poszerzenia porozumienia przeciwnik uznał za działalność szczególnie niebezpieczną. Uniemożliwiająca osiągnięcie zamierzonych w walce z socjalizmem celów. Gotowość dialogu ze wszystkimi tworzy najlepsze warunki, by kierując się antysocjalistycznymi zamiarami sami się z tego dialogu wyłączyli. Jest to polityka najbardziej klarowna. Nasza otwartość na porozumienie i demokrację zmiany przeciwników socjalizmu w łagodne baranki, a antysocjalistyczne ośrodki za granicą skłoni do przypatrywania się temu z wyrozumiałością i sympatią. Porozumienie w imię dobra Polski wymaga twardej, bezkompromisowej, pryncypialnej walki.

Nie może być powrotu do wypażeń sprzed sierpnia 1980 roku, ani do antysocjalistycznej anarchii sprzed grudnia 1981 roku. Przypo-

mina się tu jakże mądra sentencja Adama Asnyka: »Daremne żale, próżny trud, bezsilne złóżczenia, przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia...« Nawoływania do »apolityczności gospodarki« są wierutną bzdurą. Ekonomia – zwracał na to uwagę Lenin – jest najbardziej skondensowanym wyrazem polityki. Nikt na świecie nie jest niezależny. Najmniej zresztą ci, którzy się jako niezależni publicznie reklamują.»

WDEPTYWANIE W BŁOTO

Ernest Skalski w *Tygodniku Powszechnym* (2.10.) pisze: »Ludzie czekają na informację o rozmowach Kiszczak-Wałęsa, lecz wprawdzie muszą się dowiedzieć o rozmowie z Dobraczyńskim i innych spotkaniach. Przecież to naprawdę nikogo nie obchodzi, a ośmiesza tegoż Dobraczyńskiego. Wałęsa się uodpornił, lecz odbiorcy informacji czują się znowu zlekceważeni. Propaganda wdeptująca w błoto odpowiadała stanu wojennemu, ale teraz podobno mamy się porozumiewać...»

MARNOTRAWSTWO STALI

Stefan Bratkowski radzi „Zawrócić z drogi katastrofy”: 25% przemysłowego zużycia energii elektrycznej dla kopalnictwa węgla kamiennego i hutnictwa żelaza najlepiej odpowiada na pytanie, co są warte kasandryczne jęki lobbystów ciężko-przemysłowych, na temat spodziewanego niedoboru energii elektrycznej. Przemilczają oni zresztą fakt, że na eksport poszło w 1986 r. bezpośrednio 3203 gigawatogodzin, czyli niewiele mniej, niż zjadł tak prądożerny przemysł materiałów budowlanych. Polska nie ma co produkować 17,1 mln ton stali surowej, jak w roku 1986, jeśli na potrzeby remontów energetycznych polskie hutnictwo może dostarczyć zaledwie 8-10% niezbędnej stali. Dziś ważne jest dla nas, że kilka milionów, tak, kilka, kilka milionów ton stali idzie co roku dla górnictwa. Pod ziemię. Gorzej: zostaje tam! Nie wraca nawet jako złom! Co roku trzeba też dla

produkcji całej tej naszej stali przywieźć kilkadziesiąt milionów ton rudy, polska i czeska praca, żeby najlepsza, najwydajniejsza, najofiarniejsza, nie może niczego nadrobić Szluzi molochowi, który zużywa siły ludzkie, zasoby mineralne i środowiska naturalne w sposób samobójczy. Ten moloch czyni z nas kraje gospodarki »związującej się«.

(*Tygodnik Powszechny*, 2.10)

DESTALINIZACJA SOWIECKIEGO KINA?

W *Kulturze* (5.10.) znajdujemy następujące sprawozdanie: »Referat Ejdelmana zacytowany »Jesteśmy za Polską, bo jesteśmy za Rosją« (cytat z Hercena) otworzył pierwszy dzień obrad seminarium »Film a destalinizacja kultury«, zorganizowanego w Warszawie przez Stowarzyszenie Filmowców Polskich i Stowarzyszenie Filmowców ZSRR. Ciekawy referat pt. »Portret sąsiada w lustrze geopolityki« wygłosił moskiewski filmolog i krytyk, Miron Czernienko, omawiając – jak się wyraził – wkład kina radzieckiego lat 20-tych i 30-tych w fałszowaniu wspólnej historii. W tym czasie zrealizowano w Związku Radzieckim ok. 70 filmów o Polsce i Polakach. Dla porównania – 23 filmy dedykowano Niemcom, a 19 Amerykanom. W roku 1925 pojawia się film »Krzyż i mauzer« w reżyserii Władimira Gardina, opowieść o polskim księdzu, który ma romans z Ukrainką, każe zgładzić urodzone z tego związku dziecko, a w ostatnich sekwencjach dziejących się już po rewolucji zostaje zdemaskowany jako agent polskiego wywiadu i szpieg Watykanu.

W roku 1924 rozpoczęła działalność wytwórnia filmowa w Mińsku (później nazwana Biełorusfilm), która specjalizowała się w filmach o tematyce polskiej i antypolskiej – instruktazowych (dla ludności na wypadek wojny), dokumentalnych i fabularnych. Do końca lat 30-tych nakręcono tutaj 36 utworów fabularnych, z czego 11 o Polakach. Wśród nich »Cienie Belwederu« Aleksandra Moszczenki z karykaturalnymi sylwetkami anonimowo pokazanego

polskiego prezydenta i premiera oraz film »Nienawiść« wymierzony przeciw polskiej socjaldemokracji zwalczającej KPP. Filmy kręcone w ZSRR w latach 1939-41 były jawnie szowinistyczne, negowano w nich istnienie państwowości polskiej. W prestiżowych obrazach, takich jak »Bohdan Chmielnicki« Igora Szewczenki według scenariusza Korniejczuka (1941) rzecz dzieje się w ukraińskiej wsi Łętownia w pobliżu Lwowa w roku 1938. Demoniczna hrabina Przeżyńska i jej rządca Mateusz ściągają od miejscowych chłopów wszelkie możliwe haracze, toczą procesy, w czym wspiera ich aparat sądowy i policja państwowa, nadchodzą jednak wydarzenia roku 1939 — hrabina opuszcza w popłochu swój pałac po wysłuchaniu radiowego przemówienia Mokotowa, polscy ułani palą wiejskie zabudowania, które natchmiast gaszą wkraczające oddziały Armii Czerwonej. W ostatniej scenie odbywa się sąd włościan nad hrabiną».

NAJNOWSZY IMPULS JARUZELSKIEGO

W *Trybunie Ludu* (7.10.) czytamy: »Na zaproszenie I sekretarza KC PZPR, przewodniczącego Rady Państwa PRL Wojciecha Jaruzelskiego 7 bm. przybywa do Polski z oficjalną wizytą przyjaźni sekretarz generalny KC Mongolskiej Partii Ludowo-rewolucyjnej, przewodniczący Prezydium Wielkiego Churału Ludowego — Dżambyn Batmunch.« Zaś w artykule: »Nowy impuls» — »Stosunki polsko-mongolskie przeżywały szczególnie dobry okres. Rozmowy i podejmowane w ich wyniku ustalenia wiele wnoszą do współpracy między obu naszymi krajami, tak sobie bliskimi ze względu na więzi ideowe i umiarkowanie wolności i pokoju. Zwiększyło się także współdziałanie na arenie międzynarodowej, gdzie prestiż Mongolii stale wzrasta».

POCZĘT OPOZYCJI

W *Trybunie Ludu* (10.10) w artykule „Intelektualista-piroman” Je-

rzy Lobman pisze: »Adam Michnik wybrał dość czystego intelektualistę. Jego szczególnym odcinkiem działania były próby wyposażenia wystąpień politycznych jego przyjaciół w zaplecze „intelektualne”, a także kontakty z inteligentnymi ośrodkami antykomunistycznymi na Zachodzie. Jest złośliwy, nie stroni od insynuacji, jego rozważania nie grzeszą jednak oryginalnością, a obiektywizm jest pozorny. Ma służyć jednemu — rozsadzeniu istniejącego w Polsce konstytucyjnego porządku. Michnik, podobnie jak w swych dawniejszych oświadczeniach zapomina o poszanowaniu kompromisów i przechodzi do wcale niepokojowych gróźb. Bo wczoraj jak i dzisiaj cel Michnika pozostaje jeden — atakowanie ustroju.»

Z kolei w *Trybunie Ludu* z 11.10. ten sam autor w artykule „Pełzający Manipulo”: »Pan Janusz Onyszkiewicz zaczynał swą działalność antysocjalistyczną w połowie lat 60-tych, ale można go uważać za postać z trzeciego rzutu zawodowych antypaństwowców. Pan Onyszkiewicz już od 1980 r.»bardzo intensywnie włączył się w organizowanie »struktur związkowych« i jakoś tak, dosyć naturalnie stał się rzecznikiem prasowym »Mazowsza«, a następnie KK. Aż wreszcie w r.b. udało mu się wyruszyć do swojej ziemi obiecanej — przez Anglię do USA. Zaprawdę nikt nie zarzuci p. O., że marnował czas za oceanem. Powtarzane aż do znudzenia dezyderaty »niezależności«, »wolności« itd. stały się akceptacją, więcej wyznaniem do bezceremonialnej ingerencji w sprawy polskie. Interwencji obcego państwa.»

W *Trybunie Ludu* (13.10.) w artykule „Frustrat?” Jerzy Lobman tak zastanawia się nad postacią Stefana Bratkowskiego: »W każdej społeczności muszą się znaleźć jacyś frustraci, którzy na wszystko będą mówili »nie«, tak pisał Stefan Bratkowski w *Życiu i Nowoczesności* z 3. XII 1981 r. Obserwując ewolucję, czy raczej dewolucję autora tej sentencji, trudno nie przyznać mu racji. W pewnym momencie wspiął się nawet do roli członka Komisji d/s Reformy Gospodarczej. W Bratkow-

skim następowały jednak w tym okresie dziwne zmiany. Coraz częściej występował w charakterze wioskowego proroka. Pouczał, nauczał, a gdy kazania jego nie były przyjmowane w dostatecznie nabożnym skupieniu — miał za złe. Coraz częściej głos jego rozbrzmiewał w audycjach dywersyjnych rozgłośni zachodnich. Bratkowski straszy nie tylko stanem wojennym. Może tylko chce straszyć? Stefan Bratkowski ma dziś 54 lata. Cała jego działalność najbardziej warcholska przypada więc na ten okres jego życia, który mieści się okrzakiem na tej fatalnej pięćdziesiątce.

W *Trybunie Ludu* (24.10.) Jerzy Lobman w artykule „Bojownik »na wyrost«” pisze: »Zastępca, potem następca i wreszcie współobwiniony Kornel Morawieckiego — Andrzej Kołodziej objął kierownictwo, ale już w nocy z 22 na 23 stycznia 1988 roku sam znalazł się za kratkami. Groźny i wytrawny konspirator poszedł po prostu przespać się do swojej dziewczyny, której istnienie i adres nie były chyba ściśle strzeżone tajemnicą i został u niej zatrzymany. Rząd polski, ze względów humanitarnych, zgodził się na zwolnienie Kołodzieja i Morawieckiego z aresztu śledczego i wyjazd ich na leczenie do Włoch. Dopiero gdy przebywał »na chorobie«, pojawił się we wrześniowym numerze paryskiej »Kultury« jego artykuł pod znamienym tytułem »Współzrządzić czy konspirować«. Kołodziej opowiada się oczywiście za tym drugim. Korzysta też z okazji, aby przypomnieć o »skandalu z rozdysponowaniem miliona dolarów«, na których ciężem — jak się zdaje — miał ochotę. Pozytywnych propozycji tam nie ma. Jak zresztą we wszystkich materiałach Solidarności Walczącej».

* * *

W *Tygodniku Powszechnym* (2.10.) czytamy, że »Senat Uniwersytetu Wrocławskiego postanowił ponownie swą własną uchwałą z grudnia 1981 r., odrzucającą nadane uczelni w 1952 r. imię Bolesława Bieruta.

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

KRYZYS W JUGOSŁAWII

W dniu 17–19 października odbyło się nadzwyczajne posiedzenie Komitetu Centralnego KP Jugosławii. Szef partii, Kroatczyk Suvar w 70-stronicowym przemówieniu domagał się od 162 delegatów odnowy socjalizmu, odrzucenia wszystkiego co szkodliwe i wsteczne: „Musimy zerwać ze wszystkimi przestarzałymi ideologicznymi dogmatami, a także bezzasadnymi konfrontacjami, które do niczego nie prowadzą. Niekompetentni i skompromitowani muszą odejść. Albo przewalczymy wspólnie kryzys, albo stoczymy się na dno”.

Natomiast szef partii w Słowenii, Kucan, powiedział m.in.: „W czasie gdy partia zajmuje się przestarzałymi narodowymi i ideologicznymi problemami, załamuje się cały system gospodarczy państwa”.

Z kolei szef rządu Mikulic oświadczył, iż jest zaskakujący, że tak wiele burzących, antykomunistycznych i antyjugosłowiańskich elementów przedostało się do wymiaru sprawiedliwości, środków masowego przekazu i kultury (*Tagesspiegel*, 18.10.).

UPADŁE MIT STACHANOWA

Z *Komsomolskiej Prawdy* (17.10.) dowiadujemy się, iż rekord świata Aleksieja Stachanowa w federowaniu był zwykłym oszustwem. Jak przypomina *FAZ* (19.10.), Aleksiej Stachanow 31 sierpnia 1935 r. w kopalni w Doniecku w 5 godz. i 45 min. „wyfodrował” 102 tony węgla — tyle tylko, że nie sam, a przy pomocy niezjakiego Borysenki i Szczigolewa, którym *Komsomolska Prawda* z przekąsem proponuje wystawić pomnik obok istniejącego już monumentu Stachanowa w mieście noszącym jego imię.

Moskiewski dziennik poddaje także w wątpliwość wiarygodność następnego rekordu Stachanowa ustanowionego 19 września, kiedy to miał on wyfodrować 227 ton węgla, a

więc 14 razy tyle, niż przeciętna sowiecka zmiana górnicza.

FAZ przypomina, iż Stalin rok 1936 ogłosił rokiem Stachanowa, a tzw. współzawodnictwo socjalistyczne przeniosło się po wojnie na wszystkie sowieckie kraje satelickie. Stachanow zmarł w 1977 r. i był deputowanym do Najwyższego Sowietu.

W SOWIECKIM WIĘZIENIU

Komsomolskaja Prawda (18.10.) wydrukowała fragmenty wspomnień więźnia Władimira Giedrowicza, skazanego w 1983 r. za rzekome prowadzenie nielegalnych interesów na 10 lat więzienia i amnestionowanego w lecie ub. roku. „Ciągle powracam myślami do pierwszych dni w więzieniu” — pisze Giedrowicz — „w celi o wielkości od 4-6 m² przebywa od 8 do 10 osób. Na cementowej podłodze woda, brud, wszędzie panuje potworny smród”.

Podpisanie obciążających zeznań wymuszono na Giedrowiczu torturami, przy czym torturującymi byli współwięźniowie. „Nie dawali mi spać, bili mnie, utrzymując w ciągłym napięciu i ponieniu” — przypomina sobie Giedrowicz, który w nieogrzewanej sali warsztatowej musiał dziennie od 12 do 15 godzin pleść sieci. „Chorobowe przyznawano tylko w przypadku, gdy temperatura ciała przekraczała 38C. Za spóźnienie na wykład polityczny lub niewypełnienie normy groziły surowe kary. Aby otrzymać nadesłaną z domu paczkę, trzeba było okupić się u strażników (od 3 do 5 rubli lub butelka wódki). Władze obozowe konfiskowały połowę zawartości paczki i wszystkie papierosy. Nawet przysługujące widzenie z rodziną należało strażnikom opłacić łapówką. Kierownik obozu oświadczył, iż osoby piszące skargi na panujące tam warunki będą wykreślone z listy przeznaczonych do wcześniejszego wypuszczenia na wolność, jak i nie będą otrzymywać zastrzyków z witamin (*Tagesspiegel*, 20.10.).

„PRAWDA”

OSTRZEŻGA BALTÓW

W dn. 21.10. na dworcu w Wilnie dziesiątki tysięcy Litwinów powitały powracającego z Watykanu biskupa Esteponaviciusa, któremu władze po raz pierwszy od 27 lat zezwoliły na opuszczenie terytorium Sowietów. Dało to początek masowym demonstracjom, trwającym także 22 i 23.10.

Demonstranci domagali się większej autonomii dla Litwy. Tymczasem już 21.10. w *Prawdzie* ukazał się artykuł nawigujący do ostatnich wydarzeń w republikach bałtyckich, gdzie wymieniono wszystkich szefów partii. Artykuł napomina, iż „pieriestrojka” pozwala rosnąć zarówno trawie jak i pasozytniczemu chwastom. Chodzi tu szczególnie o żądania Łotyszy i Estończyków, domagających się formalnego i prawnego przyznania im własnej przynależności narodowej, co wg *Prawdy* dyskryminowałoby inne narody Sowietów.

Zgromiono także organizacje partyjne w krajach bałtyckich, a to ze względu na dopuszczenie do głosu krzykaczy i demagogów. Według *Prawdy* „narodowy nihilizm niedawnej przeszłości nie powinien być zastępowany przez nacjonalizm. Przyszłość powinna należeć do internacjonalizmu.” (*FAZ*, 22.10.)

WZROST LICZBY

PRZESIEDLEŃCÓW W RFN

Według statystyk podanych przez *FAZ* (22.10.) w okresie od 1.01. do 31.08. br. przybyło do RFN 72 tysiące przesiedleńców z Polski, 25 tys. z ZSRS, około 8 tys. z Rumunii — w sumie 106 tys. osób. Dane wyrzykowe za okres od 1 do 15.09. br.: 7724 osoby z Polski, 2.138 z Sowietów, 4.128 z Rumunii. Z Węgier i Jugosławii przybyło w tym czasie 80 osób. W związku z tym władze RFN liczą się z 200 tys. przesiedleńców w roku 1989, co stanowi znaczny wzrost w porównaniu z rokiem 1987,

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

kiedy to przybyło 43 tys. przesiedleńców, a w '86 — 40.000.

„FAZ” O SYTUACJI W RUMUNII

Frankfurcki dziennik (24.10.) w artykule wstępnym pióra Viktora Meiera pod tytułem „Konduktorzy odejść” pisze m.in.: „W dzisiejszej Europie takie zachowanie jest nie do przyjęcia: Ceaușescu po spotkaniu z Groszem w mieście Arad po prostu wycofuje się z minimalnych ustępstw, jakie tam uczynił. Jeśli chodzi o politykę zagraniczną, Ceaușescu odizolował się zarówno od Wschodu jak i Zachodu.

Naturalnie los konduktora leży w rękach Rumunów. Bieda, obojętność i rezygnacja osiągnięte tam takie rozmiary, że nie można sobie wyobrazić jakiegś poważnej opozycji. Jednakże demonstracje w Siedmiogrodzie w ub. roku odniosły jakiś skutek. Zbliżająca się zima będzie dla mieszkańców tych terenów nieco łagodniejsza.

Propagandziści Ceaușescu szerzą wśród narodu tezę, iż biedzie Rumunów winni są zachodni kapitaliści domagający się bezwzględnie punktualnego zwrotu zadłużenia”.

LITEWSKIE POPARCIE DLA „PIERESTROJKI”

Z żądaniem większej autonomii dla Litwy zakończył się 24.10. dwudniowy Kongres Założycielski Ruchu Reformatorskiego dla poparcia „pierestrojki” w Wilnie. Przemawiający tam nowo wybrany szef litewskiej partii Algirdas Brazauskas nawoływał do umiarkowania w żądaniach.

W rezultacie delegaci wycofali żądanie prawa do odłączenia się od ZSRS. Niewielką tylko większością głosów uczestnicy kongresu zdecydowali się nie zwracać do lokalnego sovietu o votum nieufności dla rządu. 1100 delegatów ruchu wbrało parlament składający się z 210 członków, jak i radę wykonawczą z 31 członkami. Postanowiono nie wy-

bierać przewodniczącego ruchu. W 40 uchwalonych rezolucjach domagano się gospodarczej niezależności Litwy, ograniczenia napływu ludności obcej, uznanie prawa obywateli Republiki do posiadania statusu narodowościowego, jak i powołania grupy ekspertów do zbadania bezpieczeństwa elektrowni atomowej w Ignalina.

Po za tym domagano się wolnych wyborów do lokalnego Sovieta, jak i zlikwidowania przywilejów dla czołowych przywódców partyjnych. Opowiedziano się także za współpracą z innymi frontami narodowymi w sąsiedzkich republikach Łotwy i Estonii, aby wspólnie rozwiązywać najważniejsze problemy regionu. Według słów przywódców ruchu, jest on popierany aktywnie przez około 180 tys. osób. (Ruch powstał w czerwcu tego roku, orientując się na podobne inicjatywy powstałe wcześniej w Łotwie i Estonii) (*Süddeutsche Zeitung* 25.10.).

WIZYTA KOHLA W MOSKWIE

W dn. 24-27.10. przebywał w Moskwie kanclerz RFN Kohl. Jakkolwiek wszelkie sugestie Kohla co do zmiany statusu Berlina Zachodniego i zjednoczenia Niemiec spotkały się ze zdecydowaną odmową Gorbaczowa, podpisano w sumie 34 umowy o współpracy gospodarczej, w tym także budowy przez RFN reaktora jądrowego na terenie ZSRS. Podczas wizyty, w dn. 25.10. Kohl spotkał się z Andriejem Sacharowem i jego małżonką Jeleną Bonner.

27.10. doszło też do spotkania Kohla z przedstawicielami niemieckiej mniejszości narodowej, wśród nich także tymi, którzy złożyli podanie o wyjazd na stałe do RFN. Moskiewska *Prawda* przedzłukowała w całości mowę Kohla, którą wygłosił w czasie bankietu, natomiast w prasie NRD oceniano fragment, w którym kanclerz Kohl mówił o „nie-naturalnym podziale Niemiec”. Poza tym Gorbaczow 26.10. obiecał Kohlowi, iż do końca roku wypuści

wszystkich więźniów politycznych. (*Die Welt* 27.10.).

ENERDOWCY CENZURUJĄ SOWIETÓW

Październikowe wydanie miesięcznika *Sputnik* w mutacji niemieckiej nie zostało rozprowadzone na terenie NRD. Nie otrzymało go nawet sowieckie centrum kulturalne przy Friedrichstrasse. Co ciekawe, *Sputnik* jest zbiorem artykułów wydrukowanych poprzednio w prasie sowieckiej. Wydanie październikowe poświęcone było w głównej mierze Stalinowi, a artykuł tytułowy „Stalin i wojna” zawierał szereg krytycznych uwag pod adresem generalissmusa. Podający tę informację *Tagesspiegel* (27.10.) przypomina, iż jest to już drugi przypadek zastosowania debitu wobec wydawnictw sowieckich w NRD. Na początku br. enerdowcy zatrzymali trzy kolejne wydania czasopisma moskiewskiego w jęz. niemieckim *Neue Zeit*, gdzie przedrukowano dramat Michaiła Szatrowa „Dalej, dalej, dalej” krytykujący Lenina.

PROTEST KRDL

Korca Północna ostro zaprotestowała w Budapeszcie przeciwko otworzeniu tam w dn. 25.10. oficjalnego przedstawicielstwa dyplomatycznego Korei Południowej. Z oświadczenia MSZ KRDL wynika, iż Węgry ponoszą całą odpowiedzialność za konsekwencje tego kroku. Wyjaśnienia strony węgierskiej, iż podjęcie oficjalnych stosunków dyplomatycznych z Koreą Południową wynika ze skonstruowania rzeczywistości, ponieważ Korea Płd. istnieje, MSZ Korei Płn. określiło jako „czystą głupotę” (*Tagesspiegel*, 27.10.).

DEMONSTRACJE W PRADZE

Mimo profilaktycznego aresztowania przywódców opozycji w Pradze w przeddzień obchodów 70-

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

lecia odzyskania niepodległości przez Czechosłowację (28.10.), w Pradze odbyły się masowe demonstracje. Kilka tysięcy demonstrantów zebranych na historycznym placu Wenzla zdażyło odśpiewać hymn narodowy, a następnie do akcji wkroczyła policja z armatkami wodnymi i pałkami. Demonstrantów rozprędkowano i zatrzymano 87 osób (*Tagesspiegel*, 29.10.).

NRD PO RAZ PIERWSZY KRYTYKUJE STALINA

W dn. 30.10. w przemówieniu do dyrektorów szkół wygłoszonym przez członka wschodniemieckiego politbiura Hagera, a przedrukowanym przez *Neues Deutschland*,

mówca stwierdził m.in.: „Obok masowego herotizmu »rosyjskiego cudu« w ZSRS rozwinęły się także administracyjno-biurokratyczne metody, doszło do kultu jednostki i poważnych naruszeń prawa”. W dalszym ciągu przemówienia mówca stwierdził, iż kopiowanie reform Gorbaczowa jest w NRD niemożliwe i niepotrzebne, ponieważ SED od 1971 roku, kiedy szefem partii został Honecker, kroczy właściwą drogą (*FAZ*, 31.10.).

SOWIECI BĘDĄ ODKRYWAĆ ŚLADY STALINIZMU

W dniach 29 i 30.10. doszło w Moskwie do dwudniowego zebrania stowarzyszenia Memorial, zajmują-

cego się zbieraniem dokumentów dotyczących ofiar stalinizmu, jak i zbieraniem funduszy na pomniki, które wzniesione mają być ofiarom w różnych miastach ZSRS. Stowarzyszenie cieszy się poparciem Gorbaczowa, a jego horrorowym prezydentem jest Andriej Sacharow. Podczas spotkania będącego przygotowaniem do kongresu założycielskiego stowarzyszenia podjęto szereg rezolucji, a w jednej z nich domagano się wyboru Sacharowa do Najwyższego Sowietu. Odbyło się też szereg spotkań roboczych, przedstawiono także dokumenty, z których wynika, że Stalin był agentem carskiej policji (*Süddeutsche Zeitung*, 31.10.).

Nowa pozycja książkowa »**Pokolenia**«

WILEŃSKI *MATECZNIK* 1939 – 1944

Bronisława Krzyżanowskiego

(ograniczony nakład)

Do nabycia:
u kolporterów
jeszcze w tym
ROKU!

LITERACKA NAGRODA NOBLA 1988

Również i w tym roku werdykt Szwedzkiej Akademii w dziedzinie literatury zaskoczył wszystkich. Nagrodę otrzymał 77-letni Egipcjanin Nagib Mahfuz, który jest jednym z najbardziej cenionych pisarzy w świecie arabskim. Dotychczas opublikował ponad 40 powieści i opowiadań oraz ok. 30 scenariuszy filmowych. Niestety, w Europie ukazała się tylko znikoma część jego dorobku literackiego. FAZ (14.10) w swoim dość złośliwym komentarzu krytykuje werdykt szwedzkich jurorów: „[...] Gratulacje dla Nagiba Mahfuz. Z pewnością najwyższy czas, aby bardziej przybliżyć arabską literaturę czytelnikom. Lecz również życzenia dla Szwedzkiej Akademii: więcej szczęścia w przyszłym roku. Jeśli znów zapadnie podobny werdykt, wówczas jest ona na najlepszej drodze, aby na zawsze stracić swą reputację. [...] Nieumiejętność wobec tegorocznego wyróżnienia nie bierze się stąd, iż Mahfuz jest Egipcjaninem, lecz stąd, iż mimo 50 lat działalności nie przebił się na rynek księgarski w Europie czy Ameryce. Również przyznanie literackiej nagrody Nobla Goldingowi, Soyincac czy Seifertowi były jaskrawą pomyłką”.

* * *

Władze sowieckie wycofały październikowy numer miesięcznika literackiego *Nowyj mir*, w którym zapowiedziano publikację dzieł Sołżenicyna. Gotowych było już ponad 1,3 mln egzemplarzy, kiedy nagle „z góry” zadzwonił telefon i wprowadzono cenzurę. Redakcja zamierzała opublikować „Archiipelag GULag”, „Oddział chorych na raka” i „Pierwszy krąg” (FAZ 21.10).

* * *

Władze czechosłowackie zezwoliły na prezentację wszystkich filmów Milosa Formana nakręconych przez niego na Zachodzie. Przypomnijmy, iż Forman wyemigrował z Czechosłowacji po zdławieniu „praskiej wiosny”. Od 1971 r. pracuje w Hollywood i jest dwukrotnym laureatem Oscara za filmy „Lot nad kukulkanym gniazdem” i „Amadeusz” (FAZ 21.11).

JURIJ ORŁOWO „PIERIESTROICE”

Rosyjski fizyk i obrońca praw człowieka, Jurij Orłowo, opublikował w czasopiśmie *Kontinent* (nr 3/88) rozważania na temat sensu reform Gorbaczowa. Pisze on m.in.: „Nic na tym polega nieodzierżemność tej sytuacji. Nieodzierżemność to fakt, iż znaczna część przywódców najwyraźniej pojął, że nie można osiągnąć geopolitycznych celów tak długo, dopóki sowiecki model socjalizmu zachowa dotychczasową formę. Wszystko przemawia za tym, iż na najwyższym szczeblu podjęto decyzję przebudowy tego modelu, jak również intensyfikacji propagandy nowego stylu na granicę aby wyprowadzić kraj z kryzysu” (FAZ 9.11).

50 ROCZNICA „REICHSKRISTALLNACHT”

W obydwu państwach niemieckich odbyły się uroczystości poświęcone rocznicy „Reichskristallnacht” (Noc kryształowa), 10 listopada 1938 r. na terenie III Rzeszy doszło do pogromów niemieckich obywateli pochodzenia żydowskiego. Podpalano większość synagog oraz spłądowano rozliczne

sklepy, których właścicielami byli Żydzi. Pogromy były inscenizowane przez propagandę Goebbelsa. W ulicznych utarczках zginęło ponad 100 Żydów. W niektórych miastach oddziały SS zorganizowały specjalne pochody, na które spędzono obywateli pochodzenia żydowskiego.

Fundacja berlińskiego dziennika *Tagesspiegel* zorganizowała wystawę wystawę dokumentów oraz zdjęć zatytułowaną „Vor aller Augen” (Na oczach wszystkich), przedstawiającą te tragiczne wydarzenia. W wielu okolicznościowych przemówieniach padło pytanie, dlaczego w ogóle mogło dojść do zbrodni ludobójstwa wobec Żydów.

Również bardzo uroczysto obchodzono rocznicę tę w NRD. Władze wschodniobermberskie zamierzają odbudować jedną z największych synagog oraz urządzić tam stałą wystawę martyrologii niemieckich Żydów.

NIE KRYTYKOWAĆ LENINA!

Monika Zimmermann w felietonie zamieszczonym w FAZ (4.11) stawia pytanie: Dlaczego artyści w NRD nie wychodzą na ulicę? Pytanie wyściska jej rozważania jest opis reakcji na wschodniobermberską inscenizację sztuki Michaiła Szatrowa „Dyktatura sumienia”. Jest to opis fikcyjnego procesu wytoczonego Leninowi przez młodych ludzi, którzy nie chcą nfać dotychczas propagowanym hasłom. Recenzje sztuki były utrzymane zaledwie w ciepłym tonie. Absolutną sensacją była natomiast krytyka zamieszczona w *Die Kirche*, organie Kościoła ewangelickiego w NRD. Czasopismo to na własnej skórze doświadczyło już ingerencji cenzury władz NRD. Dlatego absolutnym szokiem dla wszystkich była totalna krytyka sztuki Szatrowa. „Nie jest moim zadaniem roztrząsanie, gdzie i jak mogła powstać ta sztuka. Pytam się jednak, dlaczego została pokazana naszym ludziom. Czy nie mamy dość zadań przed nami? Czy rzeczywiście mamy tyle czasu, aby patrzeć wstecz? Czy w ten sposób nie odwraca się naszej uwagi od zadań stojących przed nami?”

Ten ten musi wywołać zdziwienie, gdyż właśnie Kościół ewangelicki w NRD ze wszystkich sił udziela poparcia tym grupom, które są niewygodne władzom. W kościołach organizuje się wieczorki oraz tzw. „modlitwy o wsparcie”. Niestety, pisarze czy aktorzy ewangelicy bardzo rzadko biorą udział w imprezach kościelnych. Felietonista frankfurckiego dziennika stwierdza, iż artyści w NRD korzystają ze znacznych przywilejów. Do pewnego stopnia dopuszcza się nawet niezależne myślenie.

KONGRES HISTORYKÓW NIEMIECKICH

W Bambergu odbył się kolejny kongres historyków zachodniemieckich. Tym razem była to „cisza po burzy”, jak zanawa felietonista *Süddeutsche Zeitung* (18.10). Chodzi o słynny spór historyków, dotyczący niemieckiej przeszłości, a spowodowany przez Ernsta Noltego.

Do zebranych wygłosił przemówienie prezydent Richard von Weizsäcker, który stwierdził iż dyskusja ta przyczyniła się do podniesienia kultury politycznej. Nowym akcentem były natomiast rozliczne referaty zajmujące się procesem przemian w ZSRR. Profesor Dietrich Geyer mówił o reperkach psychologicznych, wywołanych „piercestrajką” w kołach intelektualistów sowieckich, jak również o granicach „głębokości” oraz o zinstytucjonalizowanej niemrawości oficjalnych czynników zajmujących się badaniami historycznymi.

WYMIANA HANDLOWA ZSRS

Według statystyki podanej w *Süddeutsche Zeitung* (8.10.), w roku 1970 RFN wyeksportowała do ZSRS towarów na 1,5 mld marek a importowała za 1,3 mld marek. W następnych latach odpowiednio: 1975 — 6,9, 4.4, 1980 — 7,9, 7.4, 1983 — 11,2, 11,4. Rok 1987 — 7,8, 7,3. RFN eksportowała do ZSRS maszyny, samochody, artykuły elektrotechniczne, jak i chemiczne, natomiast importowała gaz ziemny, ropę naftową, drzewo, miedź.

NAJWIĘCEJ ZAROBILI:

W roku 1987: Japończycy 23.022 dolarów na głowę, Niemcy Zachodni 21.022 dol., Amerykanie 18.163, Francuzi 17.657, Włosi 14.903, Brytyjczycy 13.395 (*Süddeutsche Zeitung*, 18.10.).

SOWIECI ZAMYKAJĄ ELEKTROWNIE ATOMOWE

Moskiewska korespondentka *Süddeutsche Zeitung* Barbara von Owu, donosi (21.10.), iż radio Moskwa 17 bm, nadało audycję, w której wypowiedział się Władimir Piwowarow, szef katedry fizyki uniwersytetu w Simferopolu, nazywając planowany jeszcze w tym roku rozruch elektrowni atomowej na Krymie straszliwym przestępstwem, a to ze względu na występujące tam często trzęsienia ziemi.

W dwa miesiące po katastrofie czarnobylskiej Sowicci zatwierdzili dalszy plan rozwoju elektrowni atomowych do 1990 roku, z którego wynika, iż uzyskiwane w 1985 roku z elektrowni atomowych 167 mld KWh winno wzrosnąć w roku 1990 do 390 mld KWh. Tymczasem jednak już w 1987 roku elektrownię atomową pod Kijowem przestosowano na konwencjonalną. Zamknięto także rozpoczętą budowę reaktora w Krasnodarze, chociaż zainwestowano w nią do tej pory 14 mln rubli. We wrześniu br. zamknięto również elektrownię atomową w pobliżu Mińska, a to ze względu na protesty miejscowej ludności. W najbliższym czasie zostanie zamknięta elektrownia atomowa w okolicach Erywania.

KOBIETY SŁABIEJ PŁATNE

Süddeutsche Zeitung (21.10.) podaje, ile w poszczególnych krajach zarabiają kobiety zatrudnione w przemyśle na identycznych stanowiskach co mężczyźni (lata 1986-87): Szwecja — 90%, Dania — 86%, Norwegia — 84%, Włochy — 84%, Francja — 81%, Holandia — 74%, RFN — 73%, Szwajcaria — 71%, Wielka Brytania — 70%, Austria — 67%.

AKCJE W SOWIETACH

Sowiecka rada ministrów wydała 18.10. dekret regulujący kwestię obligacji. I tak osoby prywatne mogą nabyć akcje przedsiębiorstwa w którym pracują, natomiast zakłady pracy mogą je kupować i rozprowadzać między sobą. Można nabywać też akcje banków.

Agencja TASS zwraca uwagę na różnicę pomiędzy modelem sowieckim a zachodnim. W Związku Sowieckim w zakładzie pracy akcjonariusze, jak i nieakcjonariusze mają identyczne prawo głosu. Osoba prywatna może nabyć akcje za maksymalną wartość 20 miesięcznych zarobków lub 10.000 rubli. Przedsiębiorstwo może sprzedawać akcje do 30% szacowanej wartości. Podająca tę informację *Süddeut-*

sche Zeitung (24.10.) wymienia również, jak stoją akcje sowieckie wobec krajów rozwiniętych. I tak w roku 1986 w Związku Sowieckim na 1000 mieszkańców przypadały 42 samochody osobowe, w RFN 427, w USA 599. Mieszkaniec Sovietów na cele konsumpcyjne w roku 1986 wydał 2.160 dol., obywatel Niemiec Zachodnich 7.370, Amerykanin 11.590. W latach 1980-86 standard życia w związku sowieckim podniósł się o 10%, w RFN o 15%, w USA o 16%.

* * *

Po raz pierwszy w historii Sovietów 24.10. agencja TASS podała do wiadomości, iż budżet państwowy jest niezrównoważony, „wydatki rządu są wyższe, niż wpływy”. Z informacji wynika, iż najwyższy Soviet w dniu 27.10. będzie się zajmował tym problemem (*Süddeutsche Zeitung*, 25.10.).

* * *

Specjalnym dekretem rządu 22.10. Rada Państwa w Pekinie zabroniła spensjonowanym funkcjonariuszom rządu i partii brać udział w jakichkolwiek interesach o charakterze komercyjnym. Osoby te nie mogą same zakładać firm, nie mogą służyć jako pośrednicy (*Süddeutsche Zeitung*, 25.10.).

ERA REAGANA W CYFRACH

Süddeutsche Zeitung (3.11.) zauważa, iż prezydent Reagan obejmując swój urząd w roku 1980 przyrzekł ożywienie gospodarki, co mu się udało. Koncepcja obniżenia podatków celem osiągnięcia ożywienia gospodarczego powiodła się. Przeciętnie wzrost gospodarczy w skali rocznej wynosił 3%, wzrosła liczba zatrudnionych, powstrzymano inflację. Z drugiej jednak strony wzrosło zadłużenie państwa i bilans handlowy jest od kilku lat stale ujemny. W czasie prezydentury Reagana liczba zatrudnionych wzrosła o 15 mln, a bezrobocie spadło z 7,2% do 5,5%. W roku 1980 inflacja wynosiła 13,5%, obecnie tylko 3,8%.

CENY ROZMÓW TELEFONICZNYCH W EUROPIE ZACHODNIEJ

Die Welt (4.11) podał, ile w poszczególnych krajach Europy Zachodniej kosztuje 3-minutowa rozmowa telefoniczna na odległość 320 km. W przeliczeniu na marki zachodniemieckie najdrożej płać mieszkańiec RFN — 3,45, następnie Francuz — 2,45, Włoch — 2,35, Belg — 1,07, Brytyjczyk — 1,04 i Holender — 0,51. ■

Dlaczego urodziłeś się?

Sens i cel naszego życia na Ziemi.



Bezpłatnej informacji udziela:
Universelles Leben

Postfach 5643, D-8700 Würzburg, BRD

MOSKWA. Jak podał do wiadomości rzecznik sowieckiego MSZ Gierasimow 21-25.11. odbędzie się w Moskwie konferencja krajów bloku wschodniego, poświęcona zagadnieniom praw człowieka (FAZ, 19.8.88).

BONN. 18.10. podano tam do wiadomości, iż w przyszłym roku na pokładzie sowieckiej stacji orbitalnej znajdzie się astronauta zachodniemiecki (Tagesspiegel, 19.10.).

BERLIN WSCHODNI. Jak oświadczył prezydent Światowego Kongresu Żydów, Edgar Brontman, w dniu zakończenia trzydniowej wizyty w NRD, 18.10. strona wschodniemiecka zgodziła się wypłacać odszkodowania żydowskim ofiarom narodowego socjalizmu, uznała prawa państwa izraelskiego do istnienia, jak i dopatryła się możliwości nawigacji dyplomatycznych stosunków między dwoma krajami w najbliższej przyszłości (Süddeutsche Zeitung, 19.10.).

MONACHIUM. W dn. 19.10., w 6 dni po śmierci Franza Josepha Straussa na stanowisko premiera Bawarii powołano dotychczasowego bawarskiego ministra finansów Maxa Streibla (Süddeutsche Zeitung, 20.10.).

MOSKWA. 18.10. na łamach czasopisma wydawanego w Związku w języku niemieckim „Neues Leben” żądano utworzenia na nowo, zlikwidowanej w czasie II wojny światowej autonomicznej Republiki Niemców Nadwołżańskich (Tagesspiegel, 20.10.).

SANTIAGO DE CHILE. W dn. 18.10. po 16 miesiącach pobytu w więzieniu wypuszczony został na wolność były minister spraw zagranicznych w rządzie prezydenta Allende, Alcmeida, który w marcu ubiegłego roku nielegalnie przybył do ojczyzny (Tagesspiegel, 20.10.).

NOWY JORK. Na zgromadzeniu ogólnym ONZ w dn. 19.10. przedstawiciel KRLD, Kang Sok Ju, zaproponował połączenie obu państw koreańskich na zasadzie federacji przy utrzymaniu systemu kapitalistycznego w Korci Południowej (Tagesspiegel, 20.20.88).

KABUL. 17.10. po ataku raketowym ze strony Mudżaheddinów władze zmuszone były do zamknięcia portu lotniczego w Kabulu (Tagesspiegel, 20.10.).

MOSKWA. W dn. 19.10. podano tam do wiadomości, iż był ambasadorem Związku w Bonn, Falin objęcie stanowisko szefa wydziału zagranicznego sowieckiego KC, zastępując Dobrynina (FAZ, 20.10.).

MOSKWA. Laureat pokojowej nagrody Nobla i bójownik o prawa człowieka, Andriej Sacharow został w dniu 20.10. ponownie przyjęty do sowieckiej Akademii Nauk (Tagesspiegel, 22.10.).

WASZYNGTON. Amerykański wymiar sprawiedliwości w dn. 21.10. podjął dochodzenia w sprawie malwersacji oszustw finansowych byłego prezydenta Filipin Marcosa (Tagesspiegel, 22.10.).

WILNO. Komitet Centralny litewskiej partii komunistycznej w dn. 21.10. swym pierwszym sekretarzem wybrał 56-letniego Brasauskasa, określonego przez TASS jako „prawdziwego zwolennika reform”, czym ma różnić się od swojego poprzednika, który sprawował urząd jedynie przez 9 miesięcy (Tagesspiegel, 22.10.).

MOSKWA. Z „Literaturnoj Rossiji” dowiadujemy się, iż w najbliższym czasie ilość obozów przymusowej pracy zostanie zmniejszona o połowę, przy czym tygodnik donosi, że w ostatnich dwóch latach zamknięto już dwadzieścia takich obozów, a 320 tys. skazanych wypuszczono przed upływem kary (Tagesspiegel, 22.10.).

MOSKWA. Andriej Sacharow po raz pierwszy od 30 lat otrzymał pozwolenie na opuszczenie ZSRS i uda się do

USA (Die Welt, 22.10.).

WASZYNGTON. Sowiecki związek neuropatologów i psychiatrów sowieckich zgłosił akces do światowego związku psychiatrów, z którego Sowieci wystąpili dobrowolnie w roku 1983 obawiając się oficjalnego wykluczenia ze względu na umieszczanie w klinikach psychiatrycznych umysłowo sprawnych, a to politycznie niewygodnych (FAZ, 22.10.).

MOSKWA. W dn. 23.10. agencja TASS ujawniła, iż w roku 1978 w okolicy Swierdłowska na Uratu miała miejsce katastrofa elektrowni atomowej porównywalna rozmiarami z czernobylską (Süddeutsche Zeitung, 24.10.).

BERLIN ZACHODNI. Według zachodniobermberskiej grupy „13 sierpnia”, od czasów wprowadzenia w NRD przed 10 miesiącami amnestii, z powodów politycznych aresztowano na nowo 1800 osób (Tagesspiegel, 27.10.).

SZTOKHOLM. W dn. 26.10. rzecznik władz szwedzkich d/s uchodźców oświadczył, iż uchodźcy ze Związku Sowieckiego od przyszłego roku nie będą otrzymywali azylu politycznego w Szwecji i wydalani będą do ojczyzny (Tagesspiegel, 27.10.).

ISLAMABAD. 27.10. przedstawiciele Mudżaheddinów afgańskich zgodzili się na bezpośrednie rokowania z pierwszym wiceministrem obrony narodowej Związku, Woroncowem, co oznacza, iż obie strony zrezygnowały z dotychczasowej zasady unikania bezpośrednich rozmów (FAZ, 28.10.).

MOSKWA. Agencja TASS podała do wiadomości 28.10., iż Dobrynin usunięty we wrześniu z Komitetu Centralnego, jak i stanowiska wicekierownika wydziału międzynarodowego KC został jednym z doradców Gorbaczowa d/s polityki zagranicznej (Tagesspiegel, 29.10.).

BUDAPEST. Zgodnie z doniesieniem agencji MTI od 1.01. 1989 dojdzie do liberalizacji prawa do posiadania broni palnej, która w przypadkach szczególnego zagrożenia będą mogły posiadać osoby prywatne (Süddeutsche Zeitung, 31.10.).

MOSKWA. Na spotkaniu z młodymi komunistami, w dn. 30.10. Gorbaczow powiedział m.in.: „kwestię długości trwania służby wojskowej musimy przedyskutować i myśleć, że będzie można ją skrócić” (Tagesspiegel, 1.11.).

PEKIN. Minister spraw zagranicznych RFN Genscher otworzył 1.11. zachodniemiecką placówkę kulturalną, Instytut Goethego, jedną z 140 takich ośrodków w 60 krajach świata (FAZ, 2.11.).

MOSKWA. „Moskowskie Nowosti” (2.11.) opublikowały artykuł pułkownika Sawinkowa, w którym domagał on się stworzenia mniejszej, elastyczniejszej, ale zawodowej armii w Związku (Tagesspiegel, 3.11.).

BELGRAD. Podczas konferencji przedstawicieli krajów RWPG w Belgradzie w dn. 2.11. podjęto tam decyzję o ujawnianiu w przyszłości wszelkich defektów i katastrof związanych z użytkowaniem energii atomowej (Tagesspiegel, 3.11.).

BONN. Andriej Sacharow w wywiadzie oświadczył, mając na myśli Gorbaczowa, iż zgropowuje w jednym ręku przywództwa partyjnego i władzy administracyjnej jest „szaleństwem i niebezpiecznym powrotem do centralizmu” (Die Welt, 3.11.).

MOSKWA. Na przedwczesną emeryturę przeniesiony został marszałek Ugarkow, głównodowodzący wojsk układu warszawskiego w Europie Środkowej (FAZ, 8.11.).

PORTRETY

WANDA FALKOWSKA

Romaszewscy

Zofia i Zbigniew Romaszewscy. W ostatnich latach nazwisko ich stało się znane w kraju i poza jego granicami. Niezwykle dynamiczni i ofiarni w niesieniu pomocy osobom represjonowanym, są nierozzerwalnie związani z walką o prawa człowieka w PRL. Od blisko dwóch lat Zbigniew Romaszewski stoi na czele Komisji do spraw Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność” powołanej do życia przez Lecha Wałęsę w dniu 10 grudnia 1976 r., obchodzonym jako Międzynarodowy Dzień Praw Człowieka. Jest też przewodniczącym Rady Polskiego Funduszu Praworządności. Wszystkie inicjatywy i zadania podejmuje wraz z żoną Zofią.

W grudniu 1987 r. wieloletnią działalność Zofii i Zbigniewa Romaszewskich uwieńczyła nagroda Amerykańskiej Fundacji Aurora, przyznawana rokrocznie za wybitne osiągnięcia w dziedzinie walki o prawa człowieka.

Zaczęło się od grypsu.

Zofia i Zbigniew Romaszewscy nie są prawnikami, choć z prawem stykają się na codzień. Znajomość praw i antypraw obowiązujących w PRL nabyli nie w murach uczelni, ale w długoletnim działaniu, w zetknięciu z bolesnymi ludzkimi problemami, które starali się rozwiązać. Gdy byli młodzi, pociągali ich nauki ścisłe. Oboje ukończyli w roku 1963 Wydział Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Zbigniew Romaszewski rozpoczął następnie pracę w Instytucie Fizyki Polskiej Akademii Nauk, gdzie w r. 1980 bronił doktorat. Zofia udzielała lekcji matematyki, jako prywatna nauczycielka, przygotowując młodzież na studia. (Trzeba było przecież z czegoś żyć — komentowała później). Długo, bo aż do lat siedemdziesiątych, nie interesowali się prawem bardziej niż inni obywatela ani nie zastanawiali nad istotą peerelowskiej praworządności. Zmianę zainteresowań,

która wywarła decydujący wpływ na ich życie spowodował, jak to często bywa, przypadek.

Pewnego dnia los zetknął ich z matką młodego chłopca skazanego za kradzież na karę pozbawienia wolności. Chłopcu temu, przebywającemu w zakładzie karnym w Czarnem, udawało się od czasu do czasu przysyłać do domu grypsy, w których opisywał życie za murem. Treść tych listów była wstrząsająca. Młody człowiek pisał o znęcaniu się nad więźniami, o tajemniczych zgonach swoich towarzyszy, którzy narazili się władzom więziennym. Wyrażał też obawę o własne życie, prosząc matkę o pomoc. Romaszewscy po zapoznaniu się z treścią tych grypsów rozpoczęli poszukiwania kolegi więźnia, który już odzyskał wolność i dostarczył jeden z nich. Początkowo chętnie opowiadał o przeżyciach więziennych, nie kryjąc, w jaki sposób traktowani są ludzie pozbawieni wolności. Nie tał też, że w więzieniu w Czarnem popełniano zwykłe zbrodnie na więźniach, a nawet opisał sposób, w jaki ich dokonano. Polegać miały m.in. na wywołaniu zawałów serca z reguły kończących się śmiercią.

Romaszewscy nie pozostali bierni wobec tych informacji. Postanowili nadać sprawie szerszy rozgłos, choć w owych latach nie było to łatwe. Udało im się jednak zainteresować sprawą dziennikarza z *Polityki*. Były więzień obiecał przyjść na spotkanie, które odbyć się miało poza lokalem redakcji i opowiedzieć o znanych sobie faktach, ale zapewne w ostatniej chwili opuściła go odwaga. Nie pojawił się w umówionym miejscu i zaginął po nim wszelki ślad. Wysiłki, aby go odnaleźć, nie dały rezultatu. Można było oczywiście wierzyć jego opowieściom lub uznać je za wymysł fantazji. Tyle tylko, że syn znajomej Romaszewskich nie powrócił na wolność. Po pewnym czasie jego matka dostała zawiadomienie, że syn zmarł w więzieniu na zawał serca.

To pierwsze zetknięcie się z „praworządnością” zwróciło uwagę Romaszewskich na problem

bezprawia. Drugie nastąpiło w parę lat potem, w roku 1975.

Byli wówczas na urlopie w Wiśle, gdzie poznali pewną młodą kobietę pochodzącą ze Śląska. Kobieta owa, matka trzech córeczek, które towarzyszyły jej w podróży, znajdowała się we wręcz niewiarygodnej sytuacji życiowej. Była de facto bezdomna, uciekła bowiem od męża, który maltretował ją i dzieci, ponadto strasząc i szantażując. Mąż, poprzednio zresztą karany za znęcanie się nad rodziną, miał na Śląsku rozległe znajomości i chody, które wykorzystywał bez skrępowań w walce z rodziną. Potrafił nawet doprowadzić do zaoznego skazania swej żony za niepłacenie alimentów na córki, które miała przy sobie, a następnie do ściganie jej listami gończymi.

Pani M. i jej córki stały się pierwszymi podopiecznymi Zofii i Zbigniewa Romaszewskich. Zabrali je ze sobą do Warszawy, ulokowali początkowo u swej rodziny, potem zaś we własnym domu i cierpliwie dopomagali w rozwiązaniu życiowych problemów. Sprawa opiekuńcza przeniesiona do warszawskiego sądu, doczekała się wreszcie prawidłowego rozstrzygnięcia. Matce przywrócono prawa rodzicielskie, których poprzednio pozbawił ją mąż, nie interesujący się w ogóle swoimi dziećmi. Udało się też pokonać barierę w postaci braku stałego zameldowania (mąż wymeldował żonę donikąd), która zamykała przed panią M. możliwość znalezienia jakiegokolwiek pracy i dachu nad głową. Wreszcie udało jej się jakoś urządzić i podjąć pracę zawodową. Wszystkie jej córki otrzymały wychowanie i wykształcenie, zapewniające możliwość zarobienia na życie. Ich kontakt z Romaszewskimi jest żywy, aż po dzień dzisiejszy.

To drugie, znacznie dłuższe i bliższe, zetknięcie z codziennym obliczem praworządności a także wręcz surrealistyczne perypetie pani M. wzmogły zainteresowanie Romaszewskich przypadkami bezprawia. Wkrótce zresztą mieli się przekonać, że nie stanowią one rzadkości.

W obronie robotników

Na początku 1976 r. rozpoczęła się tzw. dyskusja nad projektowanymi zmianami w Konstytucji PRL i podpisywanie listów protestacyjnych w związku z zamiarem (później zresztą wprowadzonym w życie) konstytucyjnych zapisów o przewodniej roli partii, sojuszu z ZSRS i ograniczeniu praw obywatelskich przez kreowaną wówczas

teorię jedności praw i obowiązków. Wedle jej założeń prawa owe powinny przysługiwać jedynie obywatelom, którzy należycie wywiązują się ze swych obowiązków wobec państwa. Zofia i Zbigniew Romaszewscy brali czynny udział w zbieraniu podpisów wspólnie z Henrykiem Wujcem, jednym z inicjatorów tej akcji. W czerwcu tego samego roku doszło do wiosennych protestów robotników Ursusa i Radomia w związku z wprowadzoną przez rząd podwyżką cen. Z podwyżki tej wycofano się wprawdzie dosyć szybko pod wpływem nastrojów społecznych, ale na strajkujących i protestujących spadły represje.

Rozpoczęły się aresztowania, którym towarzyszyło maltretowanie fizyczne uwięzionych; niepokornych wyrzucano też z pracy. Sposób, w jaki władze potraktowały strajkujących robotników, prześladowania ich i obrzucanie inwektywami wywołało oburzenie w wielu środowiskach, w tym zwłaszcza wśród inteligencji. Wtedy właśnie zawiązał się Komitet Obrony Robotników, co dało początek powstaniu opozycji demokratycznej w Polsce. Zofia i Zbigniew Romaszewscy od początku współpracowali z KOR, biorąc czynny udział w pomocy robotnikom Radomia, której głównym organizatorem był Mirosław Chojecki. Trzeba było starać się o obrońców dla robotników, którym wytoczono procesy sądowe, otoczyć opieką ich rodziny, niejednokrotnie znajdujące się bez środków do życia, nieść pomoc wyrzuconym z pracy. Dla Romaszewskich był to trudny okres. Trzy razy w tygodniu jeździli do Radomia, by uczestniczyć w sprawach karnych (obecność publiczności na sali zawsze w pewnym stopniu stanowiła czynnik utrudniający sądowi naruszanie prawa), odwieździ prześladowanych i ich rodziny, służąc pomocą i radą. Z czasem powstała radomska grupa KOR, którą wspomagała młodzież z Klubu Inteligencji Katolickiej, również biorąca udział w peregrinacjach do Radomia. Działalność ta przynosiła pomyślne rezultaty. Z biegiem czasu zdołano doprowadzić do zwolnienia aresztowanych i skazanych, a co zapewne nie mniej istotne, po raz pierwszy nawiązana została trwająca aż do dziś więź między środowiskiem robotniczym a intelektualnym, sprawiając, że prześladowani robotnicy i ich rodziny przestali czuć się izolowani w społeczeństwie.

Po roku działania, w związku z zmianą sytuacji, Komitet Obrony Robotników przekształcił się w Komitet Samoobrony Społecznej KOR, do którego wszedł Zbigniew Romaszewski. Powstało

też Biuro Interwencji KSS KOR, prowadzone przez małżonków Romaszewskich.

Celem działalności biura była walka z panoszącymi się w drugiej połowie lat siedemdziesiątych wypadkami bezprawia, głównie nadużyciami milicyjnymi i w aparacie wymiaru sprawiedliwości, oraz niesienie pomocy ich ofiarom. W owym okresie na Zofię i Zbigniewa Romaszewskich spadać zaczęły pierwsze szykany w postaci zatrzymań (zwłaszcza Zbigniewa) oraz rewizji domowych.

Esbecja, która stosunkowo długo nie orientowała się w charakterze ich działalności, zaczęła energicznie deptać im po piętach. W miarę, jak KSS KOR stawał się coraz bardziej znany w społeczeństwie, na ręce jego członków, zwłaszcza prof. Edwarda Lipińskiego i Jana Kielanowskiego, wpływać zaczęły skargi od pokrzywdzonych obywateli. W 1970 r. Biuro Interwencyjne sporządziło listę 28 osób zabitych w komendach MO, więzieniach czy też zgładzonych przez nieznaną sprawców. Byli to przeważnie ludzie, którzy w jakiś sposób narazili się władzy lub byli jej niewygodni, choć nie tylko. Pomimo zwracania się do różnych instancji z żądaniem podjęcia śledztwa w sprawie wyjaśnienia zagadkowych zgonów i wielokrotnego molestowania, nigdy nie udało się do końca rozsupłać żadnej z tych spraw, nikogo też nie pociągnięto do odpowiedzialności. Te i inne przypadki drastycznego naruszania praw obywatelskich stały się tematem Księgi Bezprawia wydanej w drugim obiegu u schyłku lat siedemdziesiątych.

W 1980 r., jeszcze przed przełomem sierpniowym, powstała też Polska Komisja Helsińska, zajmująca się sytuacją w dziedzinie praw człowieka, w skład której weszli niektórzy członkowie KSS KOR: Edward Lipiński, Aniela Steinsbergowa, Ludwik Cohn i Zbigniew Romaszewski. Pierwszy raport na Konferencję Madrycką kończono już w zgiełku wydarzeń rozgrywających się w związku z powstaniem „Solidarności”. Był to pierwszy tego rodzaju dokument opracowany w Polsce. Przed jego ukończeniem w sierpniu 1980 r. Zbigniew Romaszewski został aresztowany za swą działalność, następnie zaś w wyniku porozumień gdańskich zwolniony wspólnie z innymi więźniami politycznymi.

Do „Solidarności” wstąpił wraz z żoną 1 września 1980 r., czyli w pierwszym dniu jej istnienia, po czym oboje zaczęli czynnie uczestniczyć w pracach Związku.

Mniejsze zło

Teraz rozpoczął się dla Romaszewskich nowy etap życia. Jesienią powstała Komisja Interwencyjna Regionu Mazowsze, której kierownictwo objęła Zofia Romaszewska. Wkrótce warszawskie biuro urosło do rangi największej tego rodzaju placówki w kraju, skupiając szeroką rzeszę współpracowników, w tym również adwokatów i radców prawnych. Komisja niosła pomoc tysiącom obywateli, prowadziła też szkolenie członków komisji z całego kraju.

Podczas gdy Zofia pochłaniała działalność interwencyjną, Zbigniew działał we władzach Regionu, następnie zaś na Zjeździe „Solidarności” wszedł w skład Komisji Krajowej. Przedtem, jeszcze z ramienia „Solidarności”, podjął negocjacje z przedstawicielami władz w sprawie wypłaty odszkodowań dla represjonowanych w 1976 r. robotników Radomia. Negocjacje tych nie zdołano zakończyć, przerwało je wprowadzenie stanu wojennego. Oboje Romaszewscy należeli też do inicjatorów reaktywowania Towarzystwa Opieki nad Więźniami i ich Rodzinami „Patronat”, które po długich przetargach i oporach ze strony władz uzyskało rejestrację i rozpoczęło działalność w 1981 r.

Wszystkie te prace i inicjatywy przerwało wprowadzenie stanu wojennego, nazwanego przez gen. Jaruzelskiego „mniejszym złem”. Noc z 12 na 13 grudnia Romaszewscy spędzili każde w inny sposób. Zbigniew wracał właśnie z Gdańska, z posiedzenia Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” i w pociągu jadącym do Warszawy dowiedział się od spotkanych adwokatów Władysława Siły-Nowickiego i Jana Olszewskiego o pierwszych zatrzymaniach. Dzięki temu udało mu się ukryć i uniknąć losu innych działaczy „Solidarności”.

Zofia była wieczorem poza domem, gdy w ich mieszkaniu zjawiła się milicja. Internowano jednak dziesięcioletnią w owym czasie córkę Romaszewskich — Agnieszkę — i jej narzeczonego, Jarosława Guzy, przewodniczącego Niezależnego Związku Studentów. Gdy Zofia powróciła do domu, zastała swoje mieszkanie puste i splądrowane. Przerwane połączenia telefoniczne uniemożliwiły skontaktowanie się z kimkolwiek. Zdecydowała się pójść do przyjaciół, u których również się ukryła. Z mężem skontaktowała się dopiero następnego wieczoru, po jego powrocie do Warszawy.

Radio „Solidarność”

Teraz rozpoczęły się czasy ukrywania, bynajmniej jednak nie bezczynności. Wczesną wiosną 1982 r., dzięki staraniom Romaszewskich, zaczęło działać radio „Solidarność”, cieszące się niezwyczajną popularnością wśród mieszkańców Warszawy. Zofia i Janusz Klekowski byli jego pierwszymi spikerami. Celem audycji nadawanych nieregularnie i zapowiadanych ulotkami, było rozproszenie grozy, jaką niósł z sobą stan wojenny, przełamanie bariery strachu, tchnięcie odrobiny optymizmu w zgnębionych mieszkańców miasta. Sygnałem muzycznym audycji była melodia jednej z najbardziej znanych piosenek okupacyjnych, z czasów II wojny światowej: „Siekiera, motyka, bimber, szklanka, w nocy nalot, w dzień łapanka.”

Pierwsza audycja, nadana na falach ultrakrótkich z dachu jednego z budynków w centrum Warszawy, była doskonale słyszalna, z następnymi bywało różnie w rozmaitych dzielnicach miasta. Ta pierwsza audycja była radosnym zaskoczeniem dla warszawiaków, znacznie mniej przyjemna dla milicji i SB, choć te ostatnie wiedziały wcześniej o zamiarze uruchomienia radia „S”, choćby z rozrzucanych ulotek. Pomysł jednak uznano za nierealny, a tym samym nie zasługujący na poważne traktowanie. Inaczej było już z następną audycją. Jej zapowiedź spowodowała ogromne zgromadzenie sił milicyjnych, pojawienie się kolumn samochodowych na ulicach i helikopterów krążących nad miastem. Pomimo tego mieszkańcy Warszawy usłyszeli tę audycję, nadaną z jednego z domów przy ul. Żelaznej. Potem audycji było znacznie więcej, nadawano je niemal co tydzień. Przynosiły najważniejsze informacje, w tym również o podziemnej „Solidarności”, a także słowa otuchy. W końcu kwietnia 1982 r. radio popularyzowało niezależny pochód, który odbył się 1 maja w Warszawie, z dużym zresztą rozmachem. Wkrótce potem, gdy nadawano przemówienie Bujaka, radio nagle zamilkło. Przypuszczano, że nastąpiła wpadka. W rzeczywistości jednak doszło jedynie do usterki technicznej, polegającej na zerwaniu się źle sklejonej taśmy.

Latem 1982 r. esbekom udało się jednak ująć Romaszewskich. Zofię aresztowano w dniu 5 lipca, Zbigniewa w kilka tygodni później, 29 sierpnia 1982 r. Oboje umieszczono w areszcie śledczym przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, gdzie przetrzymywano więźniów politycznych. Z

chwilą ich aresztowania, radio „S” nie zaniechało jednak działalności, audycje nadawano nadal, choć nie zawsze w regularnych odstępach czasu. Jedną z nich Romaszewskim było dane usłyszeć za murami. W Sylwestra 1982 r. radio nadało na teren więzienia specjalny program przeznaczony dla przebywających tam więźniów politycznych. Przemawiał do nich Z. Bujak, przekazywano także indywidualne pozdrowienia dla poszczególnych osób, w tym oczywiście także dla twórców radia. To był najpiękniejszy Sylwester – wspomina Zofia Romaszewska, która nagle usłyszała płynący z taśmy swój własny głos. Audycję nadały jakby na ironię włączone w tym dniu radiowęzły.

Wkrótce potem, 13 stycznia przed sądem w Warszawie, rozpoczął się proces radia „Solidarność”. Zofia i Zbigniew Romaszewscy zasiedli na ławie oskarżonych wraz z Danutą Jędrzak, Markiem Rasińskim i jego matką Ireną (jedyną oskarżoną odpowiadająca z wolnej stopy), Zbigniewem Pietrzakiem i innymi. Obrońcami Romaszewskich byli: obojga – adw. Jacek Taylor z Gdańska, ponadto Zofii – adw. Władysław Siła-Nowicki, Zbigniewa – Jan Olszewski. Proces trwał miesiąc i zakończył się wyrokami skazującymi: Zbigniew Romaszewski skazany został na 4,5 roku więzienia, Zofia – na 3 lata. Wyszła z więzienia w końcu lipca 1983 r. nas mocy ogłoszonej amnestii.

Ze Zbigniewem sprawa okazała się bardziej skomplikowana. Jesienią 1983 r. władze śledcze przystąpiły do montowania procesu dziesięciu czolowych działaczy „Solidarności”, zarzucając im... usiłowanie obalenia ustroju siłą w okresie przed wprowadzeniem stanu wojennego. Ostatecznie w stan oskarżenia postawiono cztery osoby: internowanych wówczas Jacka Kuronia, Adama Michnika i Henryka Wujca, których przeniesiono z obozu internowanych do aresztu przy ul. Rakowieckiej, a także odbywającego wówczas karę więzienia Zbigniewa Romaszewskiego. Ostatecznie wszyscy czterej oskarżeni stanęli przed Okręgowym Sądem Wojskowym w Warszawie w lipcu 1984 r. Po trzech dniach postępowanie sądowe przerwano z powodu ogłoszenia amnestii. Odzyskali wówczas wolność wraz z wieloma innymi więźniami politycznymi.

Walczyć z bezprawiem

Po wyjściu na wolność Romaszewscy powrócili do swojej poprzedniej działalności. Wiele

osób przebywało wówczas w więzieniach i aresztach PRL, innych spotykały najrozmaitsze prześladowania i szykany. Starali się znów nieść im pomoc, wyszukując obrońców, asystując procesom politycznym, a także wspomagając rodziny represjonowane. Działalność ta po pewnym czasie doczekała się formy instytucjonalnej.

10 grudnia 1986 r. Lech Wałęsa powołał do życia Komisję do spraw Interwencji i Praworządności, na czele której stanął Zbigniew Romaszewski. Organizował ją wraz z żoną. W styczniu Komisja liczyła już 27 członków, działających w całym kraju. Obecnie liczba ich wzrosła do około 40, działalność Komisji zaś wspiera szerokie grono współpracowników i sympatyków. Rozpoczynając działalność, Komisja postawiła przed sobą przede wszystkim cel „zapewnienia opieki prawnej ludziom, którzy padli ofiarą represji bądź bezduszności ze strony władz, a także umożliwienie reagowania przez Związek na wszelkie przejawy niesprawiedliwości i krzywdy ludzkiej”²; nie rezygnując równocześnie z zamierzeń dalekosiężnych, jak przywrócenie praworządności w Polsce. Za jeden ze środków walki z bezprawiem Zbigniew Romaszewski uznał „mobilizowanie opinii publicznej wokół indywidualnych krzywd ludzkich”.

Choć Komisja powstała wkrótce po ogłoszeniu ustawy z dnia 17 lipca 1986 r. o szczególnym postępowaniu wobec sprawców niektórych przestępstw, którą we wrześniu Minister Spraw Wewnętrznych Czesław Kiszczyk podniósł do rangi amnestii dla więźniów politycznych, działaczom jej nigdy nie brakowało pracy. U schyłku 1986 r. w zakładach karnych PRL przebywało wprawdzie tylko paru więźniów politycznych, ale zaniechano także wytaczania spraw sądowych. Od końca października delikty polityczne zaczęły sędzić kolegia do spraw wykroczeń (na mocy ustawy z dnia 26 października). Wprowadzone zmiany i rozszerzenie kompetencji kolegiów określono oficjalnie jako depenalizację. W rzeczywistości jednak przy złagodzeniu sankcji karnych (z przepisów kodeksu karnego przestano korzystać w stosunku do sprawców przestępstw politycznych, choć nadal utrzymano je w mocy) ilość osób dotkniętych represjami, znacznie się zwiększyła.

Tylko w pierwszym roku działania nowej ustawy kolegia osądziły około 900 osób za wykroczenia o charakterze politycznym, wymierzając kary aresztu, grzywny, a także w wielu wypadkach konfiskaty mienia. Komisja znów starała się pomóc poszkodowanym, organizując dla nich za-

stępstwo prawne a także obserwując rozprawy (co było utrudnione, ponieważ jawne posiedzenia kolegiów odbywały się często przy drzwiach zamkniętych), przede wszystkim zaś placąc grzywny, koszty i honoraria obrońców. W 1988 r. ilość spraw rozpatrywanych przez kolegia znacznie się zwiększyła. Były to głównie sprawy o rozpowszechnianie wydawnictw drugiego obiegu, o udział w pokojowych manifestacjach, a potem wiosną i latem – w strajkach, przy czym kary spadały przede wszystkim na osoby wspomagające.

Drugim ważnym nurtem działalności Komisji było udzielanie pomocy materialnej osobom zwalnianym z pracy z przyczyn politycznych, głównie z powodu ich działania w „Solidarności”. W październiku 1987 r. Komisja objęła pomocą materialną wszystkich zwolnionych z pracy członków komitetów założycielskich „S”, a także nauczycieli, którym z przyczyn politycznych uniemożliwiono wykonywanie zawodu. Przez pół roku po zwolnieniu (w uzasadnionych przypadkach dłużej) otrzymują oni pełne wynagrodzenie z zasobów Polskiego Funduszu Praworządności. W 1988 r., w związku z falą strajkową, która objęła Polskę wiosną i latem, Komisja wzięła na siebie również pokrywanie strajk, jakich doznali strajkujący robotnicy wskutek potrącenia zarobków za okres powstrzymywania się od pracy, a także osoby dyscyplinarnie zwolnione. Akcja ta, trwająca do dziś, objęła tysiące osób i pociągnęła za sobą wydatki kilkudziesięciu milionów złotych.

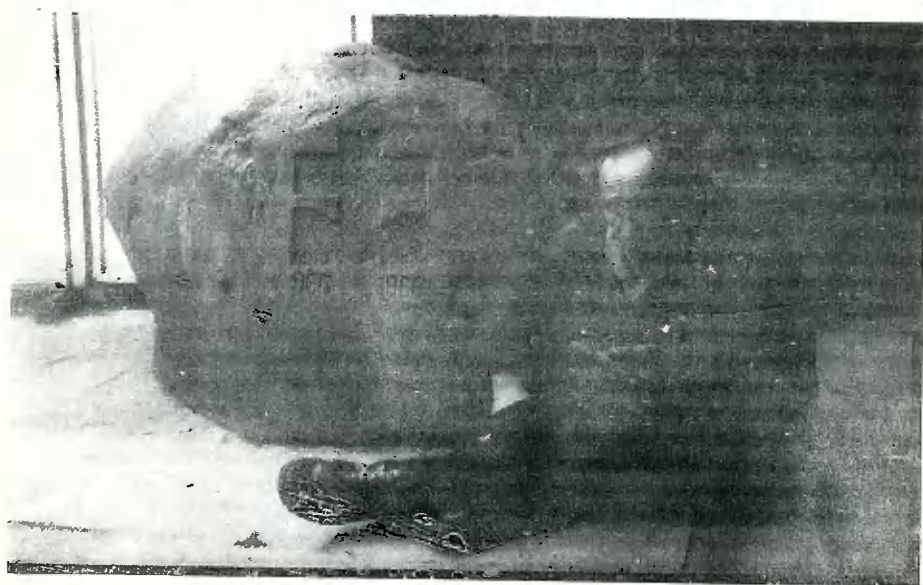
Przed rokiem działalność Romaszewskich doczekała się międzynarodowego uznania. Oboje otrzymali nagrodę amerykańskiej Fundacji Auro-ra w Kalifornii, przyznaną dorocznie za wybitne osiągnięcia w dziedzinie walki o prawa człowieka. 10 grudnia 1987 r. na Uniwersytecie w Standford odbyło się uroczyste wręczenie tej nagrody. Władze PRL odmówiły im wydania paszportów. Nagrodę odebrał w ich imieniu Czesław Miłosz. Odczytano też przemówienie Romaszewskiego. W ostatniej chwili do Standfordu udało się dotrzeć córce Romaszewskich.

„Powodzenie ruchu w obronie praw człowieka i przywrócenie praworządności – powiedziała Zofia Romaszewska po otrzymaniu nagrody w wywiadzie dla podziemnego pisma *Prawo i Bezprawie* (nr 12/13) – zależy od integracji społecznej; od tego, aby wysuwane przez nas idee znalazły szeroki odzew w społeczeństwie, które musi przecież samo upominać się o swoje prawa, jeśli kiedykolwiek ma je odzyskać.”

WARSZAWSCY



KLOSZARDZI



BEZDOMNI W PRL

PAWEŁ SMOLEŃSKI

Bez dachu nad głową

Kiedy przed kilku laty rzecznik rządu PRL, Jerzy Urban, ogłosił akcję „wsparcia” Stanów Zjednoczonych partią 5 tys. śpiworów, przeznaczonych dla nowojorskich kłoszardów, w Polsce zareagowano na propozycję dowieciem stylizowanym na gazetowe ogłoszenie: „Zamienię M-3 na śpiwór w Nowym Jorku”. Bo dla przeciętnego rodaka zamiast „wspomożenia” najbogatszego państwa świata przez jednego z największych światowych bankrutów musiał zabrzmieć jak surrealistyczny żart.

A jednak cała sprawa ma głębszy wymiar. Przeciętny Polak nie bardzo wie, że w jego sąsiedztwie żyją prawdziwi bezdomni, partia śpiworów zaś, dekretem Urbana, starczyłaby — i to przy optymistycznych warunkach — na obdzielenie co czwartego z warszawskich włóczęgów. Tylko w stolicy jest ich 20 tys., a może znacznie więcej. Zresztą Warszawa to nie centrum „gigantki”. Na Śląsku liczbę bezdomnych szacuje się na 100 tysięcy ludzi.

Na warszawskich dworcach kolejowych często, zwłaszcza w godzinach nocnych, kiedy ruch jest jakby mniejszy, można oglądać i takie sceny. Do talerzy z resztkami podłej zupy, pozostawionej w brudnym, dworcowym barze przez spieszących się podróżnych, podchodzi obdarty mężczyzna. Jego cały majątek to torba ze stertą gazet i dwie szklane flaszki. W pierwszą wlewa resztki pomidorowej, w drugą — zlewki cienkiej herbaty, do kieszeni wsunie ogryzek chleba. Pokręci się chwilę, przysiadzie w towarzystwie podobnych do niego ludzi, później wytoczy się przez dworcowe drzwi na pustawą ulicę. Przez woń niemytego ciała przesączą się smród płynów zawierających alkohol: denaturatu, wody brzozowej czy preparatu do mycia szyb „Kryszał”. Bo bezdomni, to w głównej mierze nałogowi alkoholicy, którym choroba — prócz innych spustoszeń — zabiła także zmysł smaku i powonienia. Dworce kolejowe są ich ulubionym siedliskiem. Mieszkają

też w śmietnikach, w piwnicach walących się ruher, w lecie koczują po skwerach i parkach. W Warszawie często goszczą przy wlotach trakeji ciepłowniczych — w kanałach, którym ciepło daje płynąca w ogromnych rurach gorąca woda. Akurat tam śpiwory są całkiem zbędne, tylko nasiąkną kipiącym z rur wrzątkiem. A za posłanie wystarczy rozłożona gazeta.

Do ciepłowniczych kanałów trafili w różny sposób. Są tacy, którzy twierdzą, że bezdomnych alkoholików produkuje system, inni — że tylko wódka, jeszcze inni tę społeczną chorobę przypisują znieczulicy. Wśród bezdomnych jest wielu byłych więźniów, którzy po odbyciu kary nie mieli dokąd iść, bo rodziny wyrzekły się ich, wyrzuciły za drzwi. Są również tacy, których bezduszni krewni pozbawili dachu nad głową, bo byli jedynie „obciążeniem” — ludzie niedołężni, ociążali umysłowo. Zapewne każda z tych przyczyn jest prawdziwa, choć o „zejściu w kanał” zadecydował indywidualny, tragiczny spłot okrutnych okoliczności. Wiadomo natomiast, że wśród bezdomnych więcej jest mężczyzn niż kobiet i że — sprawa może najbardziej spektakularna — są wśród nich ludzie młodzi, przed trzydziestką, którzy już zdążyli utopić krótkie życie w dworcowej beznadziei i denaturacie.

Bezdomni właściwie nie mają przyjaciół. Albo inaczej — mają w zasadzie samych wrogów. Wrogiem dla nich jest milicjant: często siedzą w przydworcowych aresztach po 48 godzin, bo mogli kraść, krzyżeć po pijanemu, wymyślać, bo wreszcie dyłdo pod ręką. W końcu za sam wygląd można zdrowo oberwać, trafić za kratki, bo o obdartusa nikt się przecież nie upomni. Bezdomnych nie znosi obsługa dworcowych knajp, przeganianie ich za drzwi już wtedy, gdy się pojawiają, choć od takiego zabiegu kategoria lokalu wcale nie wzrasta. Tak zwana normalna większość w najlepszym razie ich nie dostrzega, ale z reguły przykleja etykiety: łumpy, pijacy, złodzieje, „kary boskiej na

nich nie ma, zagnać do roboty, do wzięcia powsadzać". Dla siebie też nie są przyjaciółmi — wobec podróżnych spokojni, z rzadka żebrający o pieniądze — potrafią pobić się o resztki z dworcowej kuchni. Brudni, nieogoleni, zamroczeni alkoholem, psują jaśniejszy obraz rzeczywistości, więc lepiej zaprzeczyć ich istnieniu, nie wiedzieć nic.

W ostatnich latach bezdomni zostali przegarnięci przez Kościół. Też niezbyt chętnie, z oporami, ale jednak. W Polsce działa obecnie kilka schronisk im. Brata Alberta, gdzie ludzie pozabawieni dachu nad głową, bez szans na uczciwe zjedzenie czegokolwiek mogą liczyć na pomoc i zrozumienie. W Warszawie dom opieki nad bezdomnymi prowadzą także siostry ze Zgromadzenia Miłosierdzia Bożego, założonego w Kalkucie przez Matkę Teresę, wyróżnioną za charytatywną działalność Pokojową Nagrodą Nobla. Siostry zajmują szpetny, zrujnowany budynek, mając za sąsiedztwo szkołę dla „młodzieży społecznie nieprzystosowanej”. Ludzie odrzuceni i ich opiekunowie nie mogą liczyć na nic lepszego.

Każdego dnia, w porze obiadowej, kaplica zakonnic zamienia się w stołówkę. Tu każdy może przyjść, zjeść talerz gorącej zupy. Jeżeli jest chory, dostanie pastylkę albo siostry opatrzą mu zranioną rękę. Kiedy stan zdrowia nie pozwala na najmniejszą nawet samodzielność i opuszczenie schroniska, można zanoć. Dom dysponuje mniej więcej trzydziestoma łózkami, tyle tylko, że potrzebujących jest znacznie więcej. Siostry Miłosierdzia Bożego są niesychanie życzliwe, zawsze uśmiechnięte, przepelnione miłością do każdego ze swoich podopiecznych. Nie pytają, kto skąd pochodzi, pomogą każdemu; i zapijaczonemu mężczyźnie, choć zamiast podziękowań często usłyszą wyzwiska, i samotnej staruszce, latającej nader skromny budżet emerytki darmowym obiadem. Dla siebie nie chcą niczego. Ich ubogie habit, hinduskie sari, są tak samo liche jak ubrania podopiecznych zakonu.

Co niedzielę w domu sióstr Miłosierdzia Bożego odprawiana jest msza, którą celebryje ksiądz Orlikowski, warszawski opiekun Duszpasterstwa Bezdomnych. Powagi mszy nie zakłóci głośna czkawka. Księdzu Orlikowskiemu nie przeszkodzi też człowiek, któremu akurat zebrało się na wymioty, natychmiast starte z podłogi kaplicy przez uśmiechnięte zakonnice. Tylko kiedy liturgia wymaga, by kapłan wypowiedział formułkę nawiązującą do ofiary wina, ksiądz Orlikowski ścisza głos do szeptu.

Ksiądz Orlikowski twierdzi, że wszystkim społeczeństwu, Kościołowi, władzy należy uświadomić, iż ludzie bezdomni, zagubieni w alkoholu, muszą mieć takie miejsce, gdzie zawsze mogą przyjść i nikt ich nie odrąci. Wie, że zdecydowana większość z nich ma za sobą trudną przeszłość, bez rodziny, znajomych, przyjaciół. Nie mają się gdzie podziać, o co zacząć. Czy chcą żyć inaczej? Nawet jeśli tak, to pozbawieni pomocy bliskich, przyjmowali wsparcie tam, gdzie gorzała leje się nazbyt wartkim strumieniem — „łyknem, bo odwyknem, chluśnem, bo uśnien”.

— Nie uratujemy nawet połowy z nich — mówi ksiądz Orlikowski. — Ale próbować trzeba. To przecież także ludzie, a my zbyt łatwo i zbyt często o tym zapominamy.

(Materiał dostarczony z kraju przez Agencję MOST)

FUNDUSZ WYDAWNICZY „POGLĄDU”

Każde wydanie „Poglądu” ukazuje się również w wersji zminiaturyzowanej z przeznaczeniem dla Czytelników w kraju.

Los wolnego słowa w Polsce zależy więc również od Czytelników i Prenumeratorów „Poglądu”.

Każda, nawet najmniejsza wpłata na fundusz wydawniczy pozwoli zwiększyć nakład naszego miesięcznika na kraj.

„Gesellschaft Solidarność” e.V.	lub
„Pogład”	Postcheckkonto
Sparkasse der Stadt Berlin West	586 90-102
Konto Nr 122 001 238 2	.BLZ. 100 100 10
BLZ 100 500 00	Postcheckamt
	1000 Berlin (West)

Na Towarzystwo Solidarność

1. R. H. Zwoliński, Ulm	DM 40,-
2. K. Lenkiewicz, Hamm	DM 30,-
3. R. Bak, Witten	DM 30,-
4. K. Bak, Witten	DM 30,-
5. I. Sosnowska, Bonn	DM 50,-
6. K. Rybak, Münster	DM 30,-
7. T. Rybak, Münster	DM 30,-
8. S. Wrens, Heilbronn	DM 80,-
9. M. i K. Filipczak, Kiel	DM 20,-
10. St. Rejman (po raz piąty)	DM 10,-

Na „Solidarność Walczącą”

1. K. Lenkiewicz, Hamm	DM 20,-
2. W. Kaszubski, Vannes (Francja)	FF 100,-
3. M. Bil, Goslar	DM 15,-

Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy!

NOMENKLATURA

ERNEST SKALSKI

Zółte firanki

W szeroko rozpowszechnionej „Nomenklaturze” Woslenskiego wspomina się, że jeszcze w latach wojny domowej w Rosji wierchuszka władzy sowieckiej urzędowała sobie tajne enklawy dobrobytu w pałacach opuszczonych przez arystokrację. Nie mieści się to zupełnie w lansowanej poetyce tego okresu: wojna, nędza, głód, tyfus, ruina gospodarcza. Nie pasuje też do obrazu Lenina, pilnującego, aby nikt w aparacie nie miał pensji wyższej, niż wykwalifikowany robotnik, czyli 500 rubli miesięcznie i który udzielił nagany szefowi własnej kancelarii, niejakiemu Ciurupie, za to, że ten samowolnie podniósł mu uposażenie ponad ten pułap.

Na samym początku tworzy się, po części może nawet uzasadniony, mit o ofiarnej i ideowej kadrcze, która spała się „na robocie”, nie pytając o wynagrodzenie, nie patrząc na godziny, co najwyżej fasując miskę stawy czy mundur lub ubiór roboczy. W Chinach — latem drelichowy, na zimę z bawełny, w Rosji — sorty mundurowe bez dystynkcji, noszone aż do śmierci przez Stalina, który od rewolucji nie pokazał się w niczym cywilnym. Dość szybko jednak towarzysze doszli do wniosku, że za tę harówkę i poświęcenie coś się przecież należy. W tym momencie byli jednak już niewolnikami stworzonego przez siebie mitu o sobie i ogólnej atmosfery egalitaryzmu. Tak dalece, że kiedy na kolejnym etapie doszło do nieuniknionej walki z „urawniłową” i powstał system bodźców, nie włączono do oficjalnie aparatu partyjnego i nie wspomniano, jak jest wynagradzane kierownictwo państwa. Bądź, jak to ma miejsce w Polsce, w latach 80-tych, podaje się jedynie wysokość uposażenia, co oczywiście niczego nie mówi o faktycznych warunkach życia i związanych z nim kosztach.

Kiedy na XX Zjeździe KPZS Moskwa przeprosiła się z Belgradem, podczas jednej z wizyt w ZSRS Tito przeszedł się raz po moskiewskiej ulicy Gorkiego z Chruszczowem, który zaprosił go

na lody do kawiarni. Gdy doszło do zapłacenia rachunku, okazało się, że obaj nie mieli przy sobie żadnych pieniędzy. Na tym szczeblu ma się wszystko nie sięgając po pugilares. Odpowiada to klasycznemu wynagradzaniu elity w naturaliach, a nie pieniędzmi, co wynika z konieczności jak i z zamysłu, czy raczej nieświadomionej logiki systemu.

W socjalizmie przeważnie nie ma rynku towarów i usług, a przecież mając pieniądze można bez kłopotów zaspokoić wszystkie potrzeby. Nie ma odpowiedniej infrastruktury pozwalającej klientowi na proste i przyjemne załatwienie takich spraw, jak podróże, wypoczynek, rozrywka, sprawne leczenie. Wybrańcom zatem trzeba dostarczyć odpowiednie towary z dostawą do domu lub w wydzielonych sklepach bez szyldów, które w latach 50-tych w Polsce nie wiedzieć czemu wyróżniały się akurat żółtymi firankami, stąd popularne do dziś określenie. Trzeba też wyłącznie dla nich stworzyć specjalną sferę wszelakich usług we wszystkich możliwych dziedzinach. Tylko tak, w sferze nędzy lub szarej bylejakości, można tym ludziom zapewnić wysoki poziom konsumpcji.

Zamysł zaś polega na tym, że się ich tym samym uzależnia od aparatu. W jego strukturze zapewnia się im wszystko, poza dużymi pieniędzmi, gdyż one pozwoliłyby może na stworzenie sobie pewnej niezależności, na możliwość wyjścia z aparatu w wyniku zniechęcenia czy też protestu, z poczuciem zabezpieczonej przyszłości — tam, gdzie nie zagraża to gwałtowną śmiercią. System naturalistów pozwala też izolować warstwę rządzącą od społeczeństwa. Ludzie na wysokich pozycjach w aparacie przez dziesiątki lat nigdy nie stoją w kolejce po normalny towar, w normalnym sklepie; nie czekają przed gabinetem lekarza w zatłoczonej przychodni; nie wyczekują przed okienkiem na poczcie; nie używają normalnych telefonów, przez które nie można się połączyć; nie korzystają z koszarnej komunikacji publicznej i nie szukają

części do własnego samochodu; nie starają się o zwykły urlop, nie załatwiają niczego w urzędach, nie dają nikomu łapówek. Jednym słowem, nie mają do czynienia z tym, co normalnemu człowiekowi pochłania ogromną część czasu, większość energii, co go nieustannie stresuje i odbiera mu ochotę do życia. Nie mówiąc o tym, że nie trapi ich zwykły, a dość powszechny, niedostatek, kiedy po prostu nie starcza na potrzeby traktowane jako niezbędne.

Dla wielu prominentów normalne życie, z którym niekiedy spotykają się dopiero na emeryturze, jest egzotyką, nieomal jak życie tubylców w Czarnej Afryce. Wywołuje ich zaciekawienie, obrzydzenie, może współczucie, ale dość abstrakcyjne. Mówi się wówczas, że „nie wszyscy jeszcze żyją na należytym poziomie”, „występują jeszcze trudności życiowe” i daje się do zrozumienia, że wkrótce stosowne plenum KC zajmie się tymi problemami...

Ta niewiedza, celowa w ramach systemu, umożliwia zachowanie zdrowia psychicznego i funkcjonowanie aparatu. Świadomi cynicy stanowią w nim, jak wszędzie, znikomą mniejszość. Większość „chce dobrze” i nie mogłaby funkcjonować przy pełnej świadomości tego, jak nieskuteczne jest to chcenie.

Drugim sposobem samospokajania i samousprawiedliwiania się jest żywione przekonanie, że te warunki należą się im za ofiarność i że tak są skromne w porównaniu z tymi, jakie mają promienci w innych bratnich krajach — to polski punkt widzenia — a już szczególnie na porównywalnych stanowiskach w kapitalizmie. Ten ostatni pogląd szeroko rozpowszechnił się za Gierka w kadrze kierowniczej gospodarki, porównującej siebie z zachodnimi managerami i ich kolosalnymi dochodami. Nasi jednakoż zupełnie nie rozumieją, że to nie są uposażenia, bo nie ma pracy, która by na nie zasługiwała, lecz forma udziału w zyskach, które w dużym stopniu od tych managerów zależą. Od naszego zaś managera nie zależy ani zysk, ani planowy deficyt, jedno i drugie wynika z odgórnych ustaleń.

Faktem jest natomiast, że w stosunku do kolegów z bratnich krajów nasz prominent ma gorzej. Może wpłynęło na to uczulenie opinii, lecz na pewno powstrzymało bogacenie się elity 14 lat rządów Gomułki, który sam będąc surowych obyczajów nie tolerował dorabiania się w aparcie. Zmuszało to do kamuflażu i — jednak — do miarkowania się w korzystaniu z przywilejów. Hamul-

ce te odpadły w epoce Gierka, kiedy wszystkim miało być dobrze, więc co dopiero tym, którym ogół miał dobrobyt zawdzięczać. Wówczas to wystąpiła wśród prominentów zdecydowana chęć zawłaszczania dóbr, które się użytkuje i zdobycia niezależności materialnej. W tym okresie było to nawet zalecane przez centrum i dokonywane w sposób planowy. Polityka ta znajdowała swe odbicie w przepisach takich jak, ostro potem krytykowane, ustawy o specjalnym wynagrodzeniu i o uposażeniu emerytalnym osób piastujących najwyższe stanowiska, czy też w innych, nieznanach, jak specjalne ułatwienia kredytowe, przydział walut, pomoc przy budowaniu się.

O przywódcach ZSRS mówi się, że oni już dawno zbudowali dla siebie komunizm, w którym mogą mieć za darmo wszystko, na co mają ochotę. W Polsce natomiast elita wołała kupować i wtedy okazywało się, że promienna złotówka jest warta o wiele więcej od tej, którą rozporządza zwykły obywatel. Można bowiem mieć np. samochód na własność praktycznie za darmo, a nawet na nim zarabiać, jeśli się otrzymuje przydział odpowiednio często i sprzedaje stary na wolnym rynku za sumę wyższą, niż wynosi oficjalna cena nowego. Przedsiębiorstwa budowlane, nie dające sobie chronicznie rady z wykonaniem zadań planowych, mają luksusowe materiały oraz moce wykonawcze, by szybko i sprawnie budować wspaniałe domy, już nie z mieszkaniami, lecz apartamentami, a także wille i domy letniskowe za śmiesznie niską cenę. Za równie niską cenę nabywa się grunt czy budynek odstępowane przez administrację terenową, nieraz po przeprowadzeniu przebudowy odnotowanej jako remont. Za pieniądze prominentów są też do nabycia luksusowe towary krajowe i zagraniczne, których praktycznie nie ma w obrocie. Zarząd domów towarowych w Warszawie wydzielił dla nich na przykład specjalnie zamknięty oddział sprzedaży. Dostępne są dla nich nawet dewizy po oficjalnym kursie, zawsze 4-5 razy niższym od faktycznego.

Producenci i dostawcy spieszą z drogimi podarunkami. Często się je przyjmuje, bardzo często nawet wymaga, a czasem bierze do użytkowania celem degustacji, czy wypróbowania produktu, np. kolorowego telewizora. Coraz częściej jednak obdarowany domaga się wystawienia rachunku i płaci raczej symboliczną cenę. Można się wtedy częściowo obejść bez rozbudowanej odrębnej sfery usług, skoro najlepsze pracownice krawieckie, kuśnierskie i inne za małe pieniądze obsługują po

cichu prominentów. A ci potem, kiedy dochodzi do rozliczeń, wyciągają kwity i twierdzą, że za wszystko płacili tyle, ile od nich żądano i pozostają właścicielami tak nabytych dóbr, zwłaszcza nieruchomości, nawet po utracie stanowiska. Choć niektórym wypominano również i niepłacenie rachunków.

★ ★ ★

Ten wiatr dobrobytu jest wielostopniowy. Na najwyższym szczeblu Biura Politycznego, Sekretariatu Prezydium Rady Ministrów etc. ma się nawet ten luksus, że o nic nie trzeba się zwracać. To obsługa jest od zgadywania i uprzedzania życzeń. Na niższych szczeblach trzeba już zabiegać o mieszkanie czy samochód, dostaje się je łatwo. Prośbienie nie jest zabiegiem wstydliwym, gdyż zwierzchność na każdym szczeblu lubi być proszona i lubi być dobra dla swoich ludzi; uzależniona ich tym od siebie. Pewien człowiek z niższych szczebli nomenklatury, akurat skromny, usłyszał kiedyś w chwili pijackiej szczerości od dawnych kumpłi, piastujących najwyższe stanowiska w partii i państwie: „Ty jesteś nasz człowiek, ale nie awansujesz, bo ty od nas niczego nie chcesz, o nic nie prosisz”. To już zupełnie jak w feudalizmie, w którym seniorowi składa się daninę, lecz również bywa się obdarowywanym przez niego.

Specyfika realnego socjalizmu polega zaś na tym, że tu nie jednoosobowy suweren uważa, że państwo to on, lecz że takie poczucie ma dość szeroki krąg ludzi, w związku z czym spokojnie obdarowują się nie swoim, a państwowym. Nawet kochance nie kupuje się garsoniery, futra, brylantów, lecz załatwia się jej etat, przydział mieszkania i talon na samochód. Prolinenci między sobą zaś obdarowują się dziełami sztuki z państwowych muzeów — niezależnie od praktyki „wypożyczania” ich do domów, skąd nie zawsze udaje się je potem odzyskać.

Członek scentralizowanego aparatu, bardzo ograniczony w swoich decyzjach merytorycznych, poczucie władzy zyskuje niejednokrotnie przez możliwość obdarowywania dobrami i nadawania przywilejów. Pewne dobra i przywileje bywają więc rozprowadzane w warstwach pośrednich. Rozwinęło się to w okresie gierkowskiego dobrobytu, lecz nie zniknęło w kryzysie, a nawet stało się skuteczniejsze. Mieszkań i samochodów jest mniej, są więc wyżej cenione, a w szczytowym okresie kryzysu liczyła się nawet kartka na buty.

W ten sposób wokół władzy wyrasta krąg ludzi przekupywanych od czasu do czasu tanim kosztem. Nawet przy krytycznym stosunku do systemu, władzy i jej polityki, oczekują oni załatwienia swoich życiowych spraw w układach, którymi boją się ryzykować.

Konsumpcja elity władzy w realnym socjalizmie, niezależnie od jej poziomu, połączona jest z pewnymi nieuchronnymi ograniczeniami. Odbywa się w zamknięciu i pozbawiona jest satysfakcji wyboru, jaki ma konsument, nawet z niewielkimi środkami, w normalnej, rynkowej gospodarce. Poza tym, co bardziej dotkliwe, swoim stanem posiadania może się chełpić co najwyżej w wąskim gronie podobnie uprzywilejowanych. Zamożność i bogactwo nie łączą się z prestiżem, wprost przeciwnie — muszą być wstydliwie skrywane, skoro pochodzenie ich jest tak nieprawe, zarówno w myśl założenia systemu, jak i w odbiorze społeczeństwa. Wersal kiedy powstawał, rujnował Francję, jednak przeciętny Francuz uznawał, że monarcha musi mieć siedzibę odpowiadającą jego pozycji. Czego nie można np. powiedzieć o kolejnej willi Jaroszewicza. Dla zbiorowego dziedzica PRL to, co jest jednym z głównych jego celów, stanowi zarazem dość kłopotliwe obciążenie.

Ze względu na skrytość sposobów zaopatrywania się ludzi władzy i nieprecyzyjne kryteria przynależności do niej trudno jest je skwantyfikować, a jeszcze trudniej wycenić. Jak jednak wielka i wystawna by ta konsumpcja nie była, nie jej wielkość jest bezpośrednią przyczyną ogólnej biedy, kryzysu i zacołania. Mechanizm wyzysku bywa zazwyczaj bardziej skomplikowany niż proste zwłaszcza wartości dodatkowej. De Tocqueville już wyjaśniał, iż nie chodzi o to, że bogaci konsumują to, co odbierają biednym, lecz że utrzymują system, w którym biedni muszą nimi pozostać, aby bogaci cieszyli się swym bogactwem.

W feudalizmie wszytką ziemią musiał należeć do seniora, aby przyspiany do niej chłop był mu posłuszny i nań pracował, niezależnie od tego, co wypracowuje dla siebie. W opisanym przez Marksa i Engelsa kapitalizmie proletariusz musiał być pozbawiony wszelkiej własności i niezależnych źródeł utrzymania, aby musiał pracować u kapitalisty na dyktowanych przez niego warunkach (w tym czasie robotnicy nie byli umawiającą się stroną i nie byli traktowani jako liczący się konsumenci na rynku). Realny socjalizm zaś musiał połączyć jeden i drugi warunek po to, aby jego elita mogła spokojnie rządzić i urządzać się, co

byłoby dla niej nicosięgalne w innym systemie. Mogłoby się zatem wydawać, że skoro zacofanie i bieda są wynikiem rozmiaru i działania sektora jałowego w gospodarce, nie jest istotny rozmiar konsumpcji trójpanów, imponujący w dużym stopniu raczej dzięki niedostatkowi, jaki go wokół otacza. Zwłaszcza jeżeli jedna nietrafna inwestycja kosztuje więcej, niż ci ludzie są w stanie przeżyć nawet w długim okresie. Gniew ludu zatem obracałby się głównie przeciw symbolom i miał swe źródło — po trosze w zawiści, a głównie — w oburzeniu moralnym na odstępstwa od zasad sprawiedliwości i równości wynikających z frazeologii systemu. Lecz system ten sam dodatkowo komplikuje sprawę. W systemie rynkowym bowiem, w jakim żył i jaki opisywał Tocqueville, bogactwo jednych też wprawdzie może wywołać zawiść i pomysły ekspropriacyjne, lecz nikomu nie szkodzi na dzień bieżący. Raczej przeciwnie. Konsumpcja bogatych, jak każda inna, wyraża się popytem, uruchamia produkcję, stwarza miejsca pracy, daje zarobki innym — jednym słowem — nakręca koniunkturę i wszyscy mają tego świadomość. Nie konkuruje więc z konsumpcją niezamożnych; ich popyt w ramach tej koniunktury będzie tak samo zaspokojony, gdyż ich pieniądz jest równie dobry, jak pieniądz bogatych. Można zaryzykować twierdzenie, że wartość dodatkowa wraca po jakimś czasie w swej części do tych, którym została zabrana.

W komunizmie natomiast wartość zasysana przez sektor jałowy marnuje się bezpowrotnie, elita władzy zaś pretenduje do ograniczonej i często zamkniętej puli dóbr. Jej popyt, choćby na samochody, nie zwiększa ich produkcji. Powoduje jedynie to, że wielka jej część jest rozprowadzana na talony czy asygnaty w zamkniętym kręgu uprzywilejowanych, a reszta natrafiając na wielki popyt jest sprzedawana po cenie trzy razy wyższej, za dewizy lub na giełdzie. To znaczy, że nieuprzywilejowany użytkownik, z powodu cudzych przywilejów, nie może kupić wozu lub kupuje go trzy razy drożej.

Jeśli okresami większość mieszkań budowanych przez spółdzielców jest przydzielana nie im, lecz pozostaje w dyspozycji instancji administracyjnych i partyjnych, terytorialnych i w zakładach pracy, to dzieje się to w ramach ciągle malejącej mocy produkcyjnej budownictwa. Jeśli zaś przedsiębiorstwo zbuduje willę dla prominenta, to nie uzyskuje w ten sposób środków na poszerzenie swych możliwości produkcyjnych, lecz wyczerpu-

je jedynie zasób materiałów, zużywa maszyny, pracę itd. — nie mówiąc o tym, że promineni płacą mało, bądź wcale.

Mało tego. Konsumpcja elity oznacza nieraz bezpośrednie zagrożenie zdrowia i życia innych, kiedy z małej ilości leków czerpie się je dla lecznictwa rządowego, partyjnego, wojskowego, MSW i gdy w podobny sposób rozdziela się aparaturę medyczną, kubaturę szpitala itp. Na tym tle staje się zrozumiałe, dlaczego większość społeczeństwa jest za kartkami i boi się ich likwidacji. Kartka daje jakie takie gwarancje, że człowiekowi nie zostanie wydarte przynajmniej te dwa i pół kilo mięsa miesięcznie z czego 0,7 kg z kością.

Oficjalna pedagogika niezadowolone społecznie z tego tytułu usiłuje wekslować pod adres bogatych w ogóle, podsuwając pod ostrzał „prywaciarzy”, a kamuflując „swoich”, tak jakby sprawa przywilejów elity była już zamknięta wraz z okresem Gierka, gdy tymczasem stanowi ona nieodłączny element systemu. Wydaje się jednak, że społeczność niebogatych, nie darząc — jak wszędzie — sympatią nadmiernie zamożnych, zdaje sobie coraz lepiej sprawę, że „prywaciarze” wszystko kupują po cenach rynkowych lub za dolary, że korzystają jedynie z przywilejów pieniądza, który zarabiają, robiąc coś potrzebnego dla innych. Gniew ludu jakby się zatem kierował raczej pod innym słusznym adresem.



STUDENCKA OPOZYCJA

RAFAL PŁOMIŃSKI

Gorąca jesień na uniwersytetach

Studenckie strajki w maju 1988 r. obok postulatów solidaryzujących się z ówczesnymi żądaniami robotniczymi podjęły także sprawę bardzo istotną dla środowisk akademickich — sprawę pluralizmu organizacji studenckich.

Domagając się realizacji elementarnego prawa do zrzeszania się, zagwarantowanego przez Konstytucję PRL, wysunięto jako podstawowy postulat legalizacji Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Jednakże próby rejestracji organizacji uczelnianych NZS nie powiodły się, a majową akcję protestacyjną musiano przerwać wraz z ustanieniem strajków robotniczych. Mimo to dla wszystkich było oczywiste, że po wakacjach studenci na nowo podejmą swą walkę. Sierpniowe strajki w zakładach pracy były w tym wypadku dodatkowym bodźcem i zachętą.

Zdawała sobie z tego sprawę i komunistyczna władza. We wrześniu złożyła mgliste obietnice poszerzenia autonomii szkół wyższych oraz zwiększenia uprawnień samorządu studenckiego przez przyznanie mu prawa do prowadzenia działalności gospodarczej i turystycznej. W reżimowej prasie natomiast pojawiły się artykuły, w których wylewano krokodyle łzy nad tym, jak to się studentom źle żyje w akademikach, jak trudno jest pracować kadrcze naukowej w ciasnych salach wykładowych i bibliotekach. Słowa nic nie kosztują. Więc i tym razem sprawę starano się rozładować potokiem słów współczującej propagandy i mglistymi obietnicami ministerstwa edukacji, nie czyniąc nic konkretnego, co mogłoby te problemy przynajmniej częściowo rozwiązać. Gdyby swoje propozycje komuniści złożyli kilka lat wcześniej, np. przy odwołaniu stanu wojennego, przyjęto by je wówczas za dobrą monetę, lecz tym razem oczekiwania środowisk akademickich były o wiele większe.

Tradycyjny *Gaudeamus*, inaugurujący w pierwszych dniach października nowy rok akademicki, rozbrzmiewał więc w wyjątkowo napiętej

sytuacji. III Zjazd NZS, obradujący w końcu września w Gdańsku, powołał w nowym składzie Tymczasową Komisję Koordynacyjną NZS, która zapowiedziała intensyfikację działań z celem głównym — legalizację NZS. 11 października przez uczelnie w całym kraju przeszła fala wieców. Tam, gdzie dotąd istniały podziemne zarządy NZS, ujawniały się one już jako Zarządy Tymczasowe, przedstawiając konkretne programy działania. Dzięki tej akcji centralne władze NZS mogły złożyć oficjalny wniosek o rejestrację organizacji już istniejącej i faktycznie działającej. 14 października wniosek taki został złożony w Urzędzie Stołecznym w Warszawie.

Pacyfistyczne nastroje, coraz bardziej powszechne wśród młodzieży szkół wyższych, znalazły swoje odbicie w programie NZS. Grupa studentów IV roku Uniwersytetu Warszawskiego, członków i przywódców uczelnianego NZS, wystąpiła z listem otwartym do ministra obrony narodowej, gen. Floriana Siwickiego, w którym domagano się zasadniczej reformy szkolenia wojskowego, znajdującego się w programie wszystkich kierunków studiów.

Obowiązkowe zajęcia w Studium Wojskowym odbywające się przez cały rok (jeden dzień w tygodniu) miałyby być w myśl postulatów zawartych w liście zniesione dla studentek i studentów o złym stanie zdrowia. Pozostali natomiast nie mieliby obowiązku uczęszczania na szkolenie wojskowe, a po zakończeniu studiów ich służbę w regularnym wojsku ograniczono by z jednego roku do trzech miesięcy.

Do czasu przeprowadzenia tej istotnej reformy działacze NZS ogłosili bojkot zajęć wojskowych. Do akcji rozpoczętej w Uniwersytecie Warszawskim 12 października (święto Ludowego Wojska Polskiego) przyłączyła się zdecydowana większość studentów. Liczba odmawiających udziału w szkoleniu wojskowym szybko osiągnęła poziom 80%, a w Krakowie na Uniwersytecie Ja-

giellońskim i Akademii Górniczo-Hutniczej, które przyłączyły się do bojkotu, nawet 100%. Żądania środowiska krakowskiego poszły jeszcze dalej. Obok reformy studium wojskowego studenci domagają się tam także zmian w sposobie wykładania przedmiotów z tzw. bloku społeczno-politycznego, czyli ekonomii politycznej, socjologii i filozofii oraz języka rosyjskiego, odmawiając udziału w tych zajęciach. Zdecydowana postawa studentów zmusiła pułkowników ze studium sojskowego do podjęcia rozmów z samorządem studenckim (NZS w świetle prawa nie istnieje).

Innym charakterystycznym zjawiskiem dla środowisk akademickich jest powstanie szeregu mniejszych organizacji niezależnych, ale za to o bardziej sprecyzowanych programach politycznych. Struktury te rodzą się jak grzyby po deszczu, uzyskując nawet zgodę władz na legalne działanie. W Gdańsku powstał Związek Akademicki „Verbum”, a w Poznaniu „Młoda Polska” — obie powołujące się na katolicką naukę społeczną. Na magisterium Kościoła opierają swój program działające w Uniwersytecie Warszawskim Klub Młodzieży Akademickiej „Labor” oraz starająca się o legalizację Liga Akademicka. Studenci z tej uczelni podjęli też inicjatywę powołania do życia Towarzystwa Akademickiego im. Józefa Piłsudskiego, a uczestnicy Duszpasterstw Akademickich prowadzonych przez Kościół zgłosili pomysł

utworzenia Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej. Jeśli przy tym uprzytomnimy sobie, że działają także uczelniane przedstawicielstwa niezależnych partii politycznych: PPS i KPN-u, to zdamy sobie sprawę z ożywienia politycznego, jakie przechodzą w naszym kraju szkoły wyższe.

Pluralizm organizacji studenckich, podstawowy postulat akademicki z wiosny 1988 r., staje się powoli faktem. Ciągłe jednak bez legalizacji Niezależnego Zrzeszenia Studentów, organizacji symbolu, swoistego gwaranta wywalczonych praw. Opór władz w tej sprawie, atmosfera wokół mających się odbyć rokowań „okrągłego stołu” i nadzicie z tym związane rodzą szereg pytań, w tym przede wszystkim o program NZS. Czy nie jest on zbyt radykalny, domagający się od razu zbyt wiele? Czy bojkot studium wojskowego nie jest decyzją zbyt pochopną? Oto kwestie, wokół których toczą się poważne dyskusje i spory. Problemy te podnoszą także sami działacze NZS. Wielu spośród nich uważa, że trzeba iść wolniej, dając do stopniowego wtapienia nowych struktur, w tym przede wszystkim NZS, w istniejący system, tym samym powoli go przekształcając. Czas pokaże, która z koncepcji, która z taktyk działania była słuszna. Lepiej odpowiadała interesom samych studentów. A trwające dyskusje, miejmy nadzieję, tym razem będą konstruktywne. ■

LIBELLA

12, rue St-Louis-en-l'île — 75004 Paris, France
 Metro: Pont Marie Tel 43-26-51-09
 poleca swoje wydawnictwa

JAN JÓZEF SZCZEPAŃSKI

Kadencja

stron 237

Cena FF. 95.00

Kadencja — czyli okres, w którym Jan Józef Szczepański wykonywał funkcje Prezesa Związku Literatów Polskich. Dokładnie: od 30 grudnia 1980 do 19 sierpnia 1983 roku. Dwie te daty wystarczą na podkreślenie wyjątkowości i przełomowości tej kadencji. Autobiografia — którą czyta się jak powieść. Polityka — ale i historia. Dramat — ale i dokument z pierwszej ręki. Sztuka — bo jak w teatrze występują w niej znane i mniej znane postacie — ale mówią one własnymi słowami. Z „Kadencji” więcej się można dowiedzieć o polskich wydarzeniach tego okresu niż z innych relacji, tak już licznych i — co najważniejsze — z dnia na dzień, ze strony na stronę, bierze się w nich udział. „Kadencję”, która była bestsellerem drugiego obiegu, opatrzyliśmy koniecznym i bardzo przydatnym na dziś i na jutro indeksem nazwisk.

KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT
 Katalogi bezpłatnie wysyłamy na każde żądanie

STEFAN KISIELEWSKI:

„Interesuje mnie opozycja gospodarcza”

Wiktor Grotowicz: W Polsce po ostatnich strajkach miały odbyć się rozmowy opozycji z władzą przy tzw. okrągłym stole. Jak wieść gminna niesie, jest to jedyny na świecie okrągły stół z kantem. Czy jest to, według Pana, trafna metafora?

Stefan Kisielewski: Proszę Pana, ja się na tym nie znam. Mnie interesuje coś innego. Mianowicie: jak w Polsce odbudować kapitalizm? To mnie przede wszystkim interesuje. A rozmowy przy stole? To będzie chyba takie zawracanie gitary, przepraszam, za to określenie, ale tak to wygląda — widać to przede wszystkim po tych wydłużających się przygotowaniach. Do tego jeszcze nie wiadomo, kto ze strony opozycji będzie te rozmowy prowadził i o czym w ogóle będą te rozmowy. No to jakżeś może ja coś na ten temat powiedzieć? Dużo ciekawsza natomiast jest sprawa reformy gospodarczej. Czy ona będzie? Czy rzeczywiście panowie: Baka, Wilczek, Rakowski i inni, chcą wprowadzić gospodarkę rynkową (czyli kapitalistyczną, albo powiedzmy: neokapitalistyczną) w Polsce czy też nie?

Natomiast jeżeli chodzi o ten okrągły stół, to myślę, że jest to taka pozorowana akcja, która ma na celu rozładowanie jakichś fermentów opozycyjnych w społeczeństwie. Bo jeżeli Rakowski ma zamiar robić reformę, to chce mieć uspokojone zaplecze polityczne. Wydaje mi się, że to właśnie było celem całego zamieszania wokół stołu.

— Jednak duża część opozycji — szczególnie tej z otoczenia Wałęsy, myślę tu o doradcach — jest zdania, iż do przeprowadzenia reformy gospodarczej potrzebne są najpierw zmiany polityczne i temu właśnie ma służyć okrągły stół.

— To oni tak mówią. A co Pan o tym sądzi?

— Myślę, że bardziej interesujące jest to, co Pan o tym sądzi...

— Niedawno bardzo ciekawie na ten temat

napisał pan Unger w paryskiej *Kulturze*. Przytoczył on takie rosyjskie przysłowie mówiące, iż nic nie rośnie od góry do dołu, co według niego nie jest prawdą. On się temu sprzeciwia i powiada, że reformy w Rosji — na przykład Chruszczowa i teraz Gorbaczowa — idą właśnie od góry. Jeżeli natomiast chodzi o Polskę, to nie jestem pewien, czy reformy polityczne przeprowadzone w duchu opozycji „solidarnościowej” byłyby w tej chwili na rękę tym partyjnym reformatorom — o ile oczywiście oni są szczerzy. Bardziej od opozycji politycznej interesuje mnie opozycja gospodarcza, tacy ludzie, jak Paszyński, Mikke, Dzielski, Kurowski, Krawczyk, a także i partyjni, jak na przykład profesor Kaleta — bardzo daleko idący profesor, jeżeli chodzi o zmiany gospodarcze.

Obecnie mamy w PRL tak wielki kryzys, iż nawet owo słynne powiedzenie Urbana, że rząd się wyżywi, przestało być już chyba aktualne. Rząd także nie może się już wyżywić, bo brak de-wiz i wszystkiego innego.

Jestem przekonany, że ten problem stanowi istotę rzeczy — należy zacząć od suwerenności gospodarczej społeczeństwa, to znaczy jego „uwłaszczenia”. Jeżeli powstanie w Polsce nowa klasa ludzi rzeczywiście samodzielnie zarządzających przedsiębiorstwami, prywatnym przemysłem, mających kredyty zagraniczne, mających prawo do prowadzenia handlu zagranicznego, to *eo ipso* powstanie rzeczywiście siła polityczna, będąca w stanie prowadzić skuteczną działalność opozycyjną.

Natomiast jeżeli chodzi o tę opozycję inteligencjo-solidarnościową, to znaczy na przykład doradców, to, prawdę mówiąc, boję się, iż za bardzo daje ona sobą manewrować. Oni czekają na ów okrągły stół, a tu nie bardzo jest na to czekać, bo rozwiązanie problemów leży gdzie indziej.

— Czy w takim razie nie sądzi Pan, że te opozycyjne żądania polityczne (z głównym: ponownej rejestracji „Solidarności”) hamują w pewnym stopniu wprowadzenie rzeczywistej reformy gospodarczej?

— Obawiam się, że właśnie hamują i stąd kłopotliwa sytuacja, w jakiej znajduje się Rakowski. Jeżeli chodzi o zmiany polityczne, to musiałyby one być bardzo zasadnicze. Ciągłe teraz słyszę, że trzeba by zmienić konstytucję, Sejm. Zgoda, ale przecież konstytucja ta uchwalona została przez Sejm, który wyszedł z fałszywych wyborów, czemu dzisiaj nikt już prawie nie zaprzecza. W takim zaś razie zmienić trzeba by dosłownie wszystko, a wszystkiego od razu przerobić się nie da — to już dostrzegł i Gorbaczow. Jeżeli w grupie rządzącej są ludzie rozumiejący, jakie to mają być reformy (a wydaję mi się, że i Baka, i Rakowski to rozumieją), to ci ludzie nie mogą jednocześnie szarpać się politycznie z opozycją i próbować wprowadzać niepopulanie raczej elementy reformy, takie jak: zamykanie nierentownych zakładów czy też uwłaszczanie niektórych przedsiębiorstw.

Myszę, że z tymi pytaniami powinien zwrócić się Pan do doradców Wałęsy. Ja jestem człowiekiem stojącym z boku.

— Zaliczył Pan tutaj Rakowskiego do grona partyjnych reformatorów. Jak w takim razie rozumieć jego decyzję zamknięcia Stoczni Gdańskiej? Czy zgodziłby się Pan ze zdaniem Wałęsy, że była to „polityczna prowokacja”?

— No, była to pewna prowokacja. To znaczy ja myślę, że to była próba, czy zamknięcie Stoczni wywoła jakąś większą falę strajków czy też nie. W Stoczni teraz pracuje coraz więcej młodzieży, to jest właściwie nowe pokolenie — nawet sam Wałęsa przyznawał, że nie bardzo się z nimi mógł dogadać — i Rakowski zaryzykował to posunięcie i zrobił właśnie taki numer. On połączył tutaj element gospodarczy z politycznym. O tym, że Stocznia jest nieopłacalna już 20 lat temu mówił Jaszczuk i też wywołał rozruchy w 1970 r. Rakowski wybrał sobie ten obiekt przede wszystkim jednak dla celów politycznych. Chciał wybać, jaka będzie reakcja. Jest to rozgrywka ryzykowna, ale on chyba chciał zrobić eksperyment. W sumie: ciekawe posunięcie polityczne... patrząc na to obiektywnie, *sine ira*.

— Tą decyzją władze osiągnęły zdaje się cel odwrotny od zamierzonego. Przeciwno decyzji zamknięcia Stoczni wystąpiły razem z „Solidarnością” oficjalne związki zawodowe. Decyzję tę

skrytykował także dyrektor Stoczni. Taki zwarty front protestu był jednak zaskoczeniem dla władz. Tego typu solidarny sprzeciw może powtórzyć się i w przypadku innych zamykanych nierentownych przedsiębiorstw. Czy komuniści nie wpadli tu po raz kolejny w zaulek bez wyjścia?

— Wie Pan, jeżeli 40 lat panowała w Polsce gospodarka komunistyczna, biurokratyczna, gdzie nie było wiadomo, co jest dochodowe, a co deficytowe, bo wszystko pakowano do wspólnej kasy, to oczywiście jest, iż przemiana musi wywołać burzę. Tego nie da się zatłumić bezboleśnie. Z drugiej strony myślę, że to jest dobry objaw, ten sprzeciw wobec zamknięcia Stoczni. Ożywia się życie społeczne, polityczne, związkowe. Coś się rusza. Zmiana systemu gospodarczego będzie procesem bardzo kosztownym. Nie wiadomo, skąd wziąć na to pieniądze. Anglicy nie chcą już dawać, tak samo Amerykanie, tylko Niemcy coś tam jeszcze sypną. To też jest problem.

Ale powtarzań: jak się przez 40 lat budowało pewien system i teraz chce go się od podstaw przerobić, to jest rzeczą oczywistą, że będą wstrząsy, komplikacje, no i sprzeciw własnej, przez partię stworzonej klasy robotniczej. Marksizm odbija im się tu w niespodziewanej postaci...

— A jak oceniliby Pan świadomość społeczeństwa polskiego, jeśli chodzi właśnie o koszty wychodzenia z kryzysu? Bardzo dużo mówi się o potrzebie reform, ale o cenie, jaką trzeba będzie zapłacić jest raczej cicho. Jedynie władza głośno opowiada, jakie to będzie trzeba ponieść ofiary, ale jej nikt już nie słucha. Czy społeczeństwo jest przygotowane do ponoszenia tych kosztów?

— Proszę Pana, nie można mówić o społeczeństwie jak o monolicie. Są różne klasy i grupy. Na przykład wieś rozumie potrzebę ponoszenia tych kosztów. Zresztą chłopów reforma ła w pierwszym rządzie objęły w sposób pozytywny. Myślę tutaj o uprzemysłowieniu wsi, o większych dostawach narzędzi, węgla, nawozów, o inwestycjach itd. Z drugiej strony, na przykład klasa urzędnicza na pewno sprzeciwi się reformie. Niezbyt zachwyceni będą biedni emeryci, którzy najbardziej przyzwyczaili się do myślenia, iż PRL jest państwem opiekuńczym. Co prawda za bardzo opiekuńcze to ono nie jest, ale w jakimś stopniu się opiekuje. Niewątpliwie będą różne reakcje i różne sprzeciwy. Ale nie ma budować, żeby dało się zatłumić wszystko w sposób bezbolesny.

— A jak ocenia Pan tu stanowisko Kościółca?

— Jak dotąd, Kościół wypowiadał się niezbyt merytorycznie na ten temat. Bardzo ciekawą inicjatywą była owa Fundacja Rolna, która szła jak najbardziej po linii reformatorskiej. Jest dla mnie rzeczą niezrozumiałą, że rząd się wystraszył i wycofał z tego — według mnie — bardzo niesłusznie. W sumie czeka nas parę lat pomieszczenia pojęć i zwyczajnej biedy. Pojęcia nie mam, kto to sfinansuje. Może Pan z kolegami przysłać nam coś z Zachodu?

— Wspomniał Pan tutaj o PRL jako państwie opiekuńczym. Oczywiście nie jest to najlepsze państwo opiekuńcze na świecie, ale daje ono ludzom pewien luksus, a mianowicie zdejmuje odpowiedzialność za kształt tego państwa z szarego człowieka. Czy widzi Pan realne możliwości szybkich zmian w tak formowanej przez cztery dziesięciolecia świadomości Polaków? Będzie to na pewno jeden z poważniejszych czynników hamujących reformę gospodarczą.

— Jest to na pewno ogromna trudność natury psychicznej: przestawić ludzi, którzy nie wierzą w skuteczność zmian i do tego boją się, że zostaną wykołowani. Trzeba im będzie zapewne nawet nakazywać, by zaczęli być samodzielni, żeby zaczęli działać na własny rachunek. Jednak i dziś istnieją już grupy, które próbują zakładać jakieś przedsiębiorstwa, na przykład pan Dzielski w Krakowie. Paszyński w Warszawie dostał też pozwolenie. Więc coś się powoli zaczyna, ale to będzie bardzo trudny proces, proces z walkami wewnątrz społeczeństwa. Jak powiedział Stanisław Stomma, czeka nas „ciemista droga powrotu do kapitalizmu”. Na pewno tak. Nazwijmy to zresztą neokapitalizmem.

— Zadałem to pytanie, jako że wygląda na to, iż społeczeństwo ma dosyć nie tylko kryzysu, nie tylko rządu, ale także pustego gadania opozycji. Ostatnio Wałęsa w wywiadzie dla tygodnika *Der Spiegel* powiedział, iż ciępliwość narodu jest na wykończeniu i że ten stan społeczeństwa da się nie tylko we znaki rządowi, ale również i „Solidarności”, nie wyłączając samego przewodniczącego. Czy jest Pan też takim pesymistą?

— Jeśli chodzi o społeczeństwo, to sytuacja jest tutaj mało przejrzysta. Na przykład na Zachodzie panuje czasami zupełne niezrozumienie odruchów sprzeciwu społeczeństwa polskiego. Jeżeli tylko gdzieś był mały strajk robotników w fabryce, to zaraz byli tam dziennikarze i opisywali to wydarzenie, choćby miało ono w sumie niewielkie znaczenie. Natomiast jak zastrajkowali chłopci i

zaczęli bojkotować punkty skupu, bo ceny, jakie im proponowano, były za niskie, to o tym nikt nie pisał. A był to przecież ogromny, a przede wszystkim skuteczny ruch oddolny społeczeństwa. Rząd wtedy ustąpił. Ale nie tylko Zachód robi takie pomysły. My także dobrze nie wiemy, kto reprezentuje społeczeństwo, no bo nie było jawności i demokracji przez tyle lat i ten proces samouświadamiania się społeczeństwa jest bardzo trudny do oceniania.

Z cytatu, który Pan mi podał, jasno wynika, że Wałęsa ma duży instykt. On wie, że także i on będzie miał kłopoty z opinią nawet wśród swoich. A skoro jesteśmy przy Wałęsie, to ja sądziłem, że Rakowski użyje go jako amortyzatora reformy. Jeżeli robotnicy jakiejś zamykanej fabryki zaczęli by się burzyć, to Wałęsa tłumaczyłby im, że to reforma, a nie represje. Ale okazało się, że do tego nie doszło. Rakowski też ma swoje urazy...

— Pozostawimy jeszcze przez chwilę przy Rakowskim. Krążą o nim, szczególnie tu na Zachodzie, bardzo różne opinie: od liberała i reformatora po rządowego władzy i przywilejów sfrustrowanego polityka. Jak Pan go ocenia?

— Jeśli chodzi o Rakowskiego, to ja mam własny, szczególny pogląd na jego osobę. On był przez 24 lata redaktorem naczelnym *Polityki*. Na 20-lecie *Polityki* urządzono w Klubie Inteligencji Katolickiej w Warszawie taki quasi-sąd nad tym tygodnikiem. Przewodniczyłem nawet temu gremium. Wyrok nie był jednak zbyt surowy. Myślę, że to było pismo, które miało swój program. Próbowano godzić tzw. socjalizm z jakimś zdrowym rozsądkiem ekonomicznym. Tacy ludzie, jak Wróblewski, Paszyński, Fikus, to byli niewątpliwie zwolennicy odwilży gospodarczej. Jestem zdania, że te rzeczy, związane z reformą, Rakowski rozumie.

Natomiast mam wątpliwości, czy on jest politykiem skutecznym, a przede wszystkim taktownym. Jak Pan pamięta, on się bardzo zdepopularyzował, gdy był wicepremierem. Myślę, że od propagandy, od polityki wymagającej wycucia to on nie jest mistrzem. Natomiast rozumie chyba, że ta sytuacja gospodarcza tak daleko trwać nie może i że szybko trzeba coś zrobić. To jest jego ostatnia szansa. Jeżeli mu się nie uda, to odsuną go od władzy.

— I ostatnie już pytanie: Jakiej rady udzieliliby Pan w aktualnej patowej sytuacji opozycji, a co doradziłby Pan rządowi, jeżeli chodzi o przyspieszenie wychodzenia z kryzysu?



Stefan Kisielewski, „Pogład” (na stole), Wiktor Grotowicz

— Proszę Pana, moich rad nikt nie słucha, więc mi bardzo widzę sens w radzeniu czegośkolwiek. Jeżeli chodzi o opozycję, to nie można jej tak ujednoclić. Opozycja polska to dużo grup z różnymi programami, z różnymi nastawieniami psychicznymi. Krótko mówiąc, doradziłbym odbudowanie kapitalizmu, nawet przy dużych kosztach społecznych. Marksistowski socjalizm na pewno we wszystkich krajach bloku zbankrutuje, to jest jasne. Widać, co się dzieje na przykład w Wietnamie, który walczył o ten swój socjalizm i teraz zbiera tego gorzkie owoce. A z drugiej strony widać, jak kwitną takie kraje, jak Tajwan, jak Korea Południowa, już nie mówię o Japonii. Nawet Chiny się reformują. Trzeba po prostu wycofać się z błędów historii, jakim była gospodarka planowa, centralistyczna, która przy dzisiejszej technice jest nie tylko nieużyteczna, ale wręcz szkodliwa. Dzisiaj nawet małe zakłady produkujące jakieś urządzenia elektroniczne są bardzo ważne, a tutaj preferuje się nadal ten przestarzały system przemysłu ciężkiego. Tego nie da się utrzymać. Doradziłbym także, by zacząć wycofywać się nie tylko z systemu, ale nawet z tego słowa „socjalizm”. U nas dochodzi bowiem do paradoksu, że mówi się: zmienimy to i to, ale czy to będzie jeszcze socjalizm? Przecież nie chodzi o słowo, chodzi o treść społeczną.

Na koniec powtórzę może główne założenie mojego programu: likwidacja socjalizmu (ewentualnie bez zmiany nazwy, jeśli ktoś tak bardzo kocha słowa), za to z cichą zgodą Związku Sowieckiego. Kiedyś mówiono, że to jest marzycielstwo, a teraz okazuje się, że jest to całkiem realne.

— Dziękuję Panu serdecznie za rozmowę.

rozmawiał Wiktor Grotowicz
(wywiad autoryzowany)

 **ARKADY**
KSIĘGARNIA POLSKA,
KUNST UND -BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA
„ARKADY”
ALSTERARKADEN 10
2000 HAMBURG 36

Ukazał się nowy katalog 1988/89, który wysyłamy wszystkim zainteresowanym bezpłatnie

Jedyna w północnych Niemczech polska księgarnia wysyłkowa

JASTRZĘBIE

TOMASZ JERZ

Bardzo czarny Śląsk

Rozmowa z Janem Andrzejem Górnym, członkiem Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność” Regionu Śląsko-Dąbrowskiego

Tomasz Jerz: Jak to się stało, że tegoroczna, sierpniowa fala strajków rozpoczęła się właśnie na Śląsku?

Jan A. Górny: Od wielu miesięcy w kopalniach trwał konflikt płacowy. Dla reszty Polski sprawa może być nieco dziwna, jako że przyjęło się przekonanie, że właśnie górnicy zarabiają i to zarabiają bardzo dobrze. Faktycznie — płace w kopalniach mogą być bardzo wysokie, przede wszystkim dzięki pracy w niedziele i wolne soboty, co wymusza sławetna uchwała nr 199 Rady Ministrów z 1981 roku. Ludzie chcą zarabiać, ale pracując normalnie — od poniedziałku do piątku.

— Trudno przypuszczać, że poszło wyłącznie o pieniądze.

— Oczywiście, że nie. Górnikom chodzi o bezpieczeństwo pracy w kopalniach; skoro węgiel wydobywany jest przez okrągły tydzień, zwyczajnie nie starcza czasu na prace remontowe i konserwacyjne. Do tego należy dodać arogancki stosunek administracji i dozoru wobec górników, przerosty biurokratyczne, tworzenie fikcyjnych etatów, podział przywilejów, czyli samochodów, mieszkań, wczasów, lukratywnych wyjazdów zagranicznych. W kopalni „Manifest Lipcowy”, która na Śląsku, obok Huty „Katowice”, jest lokalnym symbolem „Solidarności”, od trzech miesięcy znane były nadużycia w podziale przywilejów. Wykrył je członek Komisji Rewizyjnej neozwiązków i założył sprawę prokuratorską swojej organizacji. Jego wniosek krąży od Prokuratury Rejonowej do Generalnej, a w tej chwili został przekazany Prokuraturze Wojewódzkiej.

W „Manifestie Lipcowym” górnicze żale zbierał jawnie działający Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność”. Przez kilka miesięcy jego działacze wykonali ogromną pracę — zebranie i

uporządkowanie postulatów w symboliczny pakiet 21 żądań. Komitet Założycielski miał za sobą poparcie załogi, w kopalni był rzeczywistością. Zaplanowano więc strajk na 15 sierpnia. Data również symboliczna — w tej kopalni 8 lat temu podpisano jedną z trzech umów społecznych. Początek strajku wypadł znakomicie — pracę przerwało 3 tysiące górników drugiej i trzeciej zmiany o godz. 21.30.

— Jak to się stało, że Śląskowi zaczęła przewodzić kopalnia, w której nie pracują Ślązacy?

— Dwadzieścia kilka lat temu Jastrzębie stało się lokalnym Eldorado. Za pracą i przede wszystkim za mieszkaniami zjechały się tam tysiące ludzi z całej Polski. Teraz ci ludzie mają dorosłe dzieci, które chcą wyjeżdżać za granicę, być daleko od Jastrzębia, bo miasto nie ma im praktycznie nic do zaoferowania. Nie ma pracy, nie ma mieszkań — Jastrzębie to największa wioska Europy, gdzie wszystko kręci się wokół kopalni, a praktycznie, oprócz bloków mieszkalnych, nie ma tam nic. Z drugiej strony jest to bardzo młode skupisko (średnia wieku ok. 30 lat), przez co podatne na bunt. W Jastrzębiu nie ma zasiedziały z pokolenia na pokolenie struktur, chroniących każdą stabilność, nawet na bardzo lichym poziomie. Tu ludzie chcą iść do przodu. Zwłaszcza ci młodzi, którzy pozbawieni są jakichkolwiek perspektyw. Praca w kopalni nie jest dla nich atrakcją. A w Jastrzębiu wszystko „stoi” na węglu, który z kolei opiera się o najprawdziwszy beton, czyli skostniałą strukturę administracyjno-biurokratyczną związaną z kopalniami.

— Czy Jastrzębie ma szansę stać się przykładem dla ceniącego spokój i stabilizację Śląska?

— Już się to dzieje. Powstają Komitety Założycielskie i jawne Komisje Zakładowe NSZZ

„Solidarność”. Jestem zapraszany na spotkania tych struktur w Katowicach, Sosnowcu. „Manifest Lipcowy” stworzył pewien wzór wart naśladownictwa. Nie bez znaczenia jest tu szczątkowe porozumienie podpisane po strajku w kopalni, a gwarantujące strajkującym bezpieczeństwo pracownicze i policyjne. Ludziom łatwiej jest organizować się, jeżeli wiedzą, że za to nie zostaną wyrzuceni z pracy albo postawieni przed sądem.

— **Czy specyficzne problemy Śląska, a przede wszystkim górnictwa, są zrozumiałe w innych regionach Polski? Wiadomo przecież, że wysokie zarobki — abstrahując od pracy w wolne soboty i święta — nie sprzyjają jedności i zrozumieniu.**

— Uchwała 199 Rady Ministrów została przyjęta na jesieni 1981 roku w specyficznej otoczce propagandowej — jeżeli górnicy nie będą pracowali w dni wolne, wówczas nie będzie węgla i nadchodząca zima stanie się koszmarem. „Solidarność” nie chcąc mnożyć konfliktów z władzą uchwałę zaakceptowała. Pieniądze wyizolowały węgiel ze Związku. Górnicy mogli być posądzeni o to, że idą na forsę za każdą cenę. A przy tym ceną nie były tylko wysokie zarobki, ale także straty ekonomiczne wynikające ze zdewastowania pokładów, maszyn, wyniszczenia ludzi.

Stan wojenny usankcjonował obowiązujące uchwały, na co nałożyły się jeszcze inne elementy, powodujące, że na Śląsku było trudniej, oraz że Śląsk trudniej było zrozumieć. Po stanie wojennym z tego regionu wyjechało 90% działaczy. W ogóle emigracja ze Śląska ciągnie się już od dziecięcości. Za Gierka wyjechało 50 tys. rodzin, a od II wojny światowej około 400 tys. ludzi.

Bo na Śląsku właściwie nie daje się żyć. To konglomerat wielkich miast, miasteczek i osad, gdzie wszystko jest brudne, zapyłone, zepsute i nie działa. Katastrofa ekologiczna przechodzi ludzkie wyobrażenia — bardzo liberalne polskie normy przekraczane są tutaj kilka tysięcy razy. Węgiel wydobywany jest spod samych miast. Domy pękają, wał się. To prawdziwe piekło. A kto chce żyć w piekle?

— **Jak to wszystko nadrobić, uratować? To pytanie muszą sobie postawić przecież wszyscy.**

— Ratowanie Śląska to proces na lata, wymagający radykalnych zmian politycznych i ekonomicznych. Musi zniknąć anachroniczna struktura przemysłowa regionu, która jest niebezpieczna nie tylko dla śląskiego środowiska naturalnego, ale może również zadusić całą Polskę. Przecież nie można ciągle napędzać błędnego koła, w któ-

rym kopalnie pracują na elektrownie, elektrownie na huty, a huty na kopalnie. Od 40 lat gospodarka PRL oparta jest na węglu, a my musimy znaleźć dla węgla jakiś zamiennik i to w miarę szybko, bo przecież węgla nie można kopać w nieskończoność, w szczególności wtedy, gdy nie jest to opłacalne. Jeżeli więc uda nam się wprowadzić w Polsce gospodarkę rynkową i demokrację, wówczas Śląsk da się uratować. Jeżeli nie — wówczas za kilkanaście lat życie na Śląsku będzie zwyczajnie niemożliwe.

— **Jakbyś chciał, żeby za kilka lat wyglądał Śląsk?**

— Chciałbym, żeby zaczęły tam kwitnąć drzewa, żeby Śląsk zazielenił się. Chciałbym, żeby nie było tego anachronicznego przemysłu. Chciałbym, żeby Śląsk zwyczajnie odżył. Jeżeli to się nie stanie, wówczas Śląsk zamorduje nie tylko siebie, ale również Szczecin, Gdańsk, Warszawę. Nasze problemy ekologiczne nie są problemami o znaczeniu lokalnym. Śląskie fabryki zżerają narodowy kapitał. Polska młodzież nie ma perspektyw, ale na Śląsku wygląda to znacznie gorzej. Śląsk to alarm dla wszystkich Polaków.

(Wywiad dostarczony z kraju przez Agencję MOST)

APEL FUNDUSZU S.O.S. POMOCY CHORYM W PÓLSCE

Zwracamy się do Państwa w sprawie jednego z naszych małych pacjentów. Niemowule to urodziło się w bardzo ciężkim stanie z pełnowąjną określoną wokół stopki. Uratowane, wykazuje niepokojące objawy, gorączkuje od szcziu tygodni do 42 stopni i rozwija się niedostatecznie pod względem psychoruchowym.

W szpitalu w Polsce nie udało się ustalić dokładnej przyczyny choroby i źródła infekcji. Zaisniała konieczność natchmiasowego sprostowania dziecka do wysokospecjalistycznego ośrodka w Paryżu. Niestety fundusz nasz nie jest w tej chwili przygotowany na wydatki związane z kontynuacją leczenia, tym bardziej, że równolegle finansujemy w Londynie przeszczep szpiku dziewczynki z białaczką.

Dlatego zwracamy się z prośbą o współudział w ratowaniu Tomka. Każdy gest, każda ofiara ma tutaj wartość życia tego dziecka.

W imieniu zespołu Funduszu S.O.S.
(—) dr Stefan KANTOR
(—) dr Alina MARGOLIS

Dary prosimy przysyłać na konto:
S.O.S. — COORDINATION POLOGNE
18, RUE CLAUDE LORRAIN, 75016 PARIS
lub: CCP 1336936 X PARIS
Na odwrócić czeku prosimy dopisać hasło: TOMEK.

NOTATKI

ZDZISŁAW NAJDER

Bilans siedmiu lat

1. „Solidarność” od początku była zjawiskiem społeczno-polityczno-ideowym nowego typu i bardzo złożonym. Była równocześnie związkiem zawodowym odmiennym niż wszystkie dotychczasowe — i powstaniem narodowym, też innym niż poprzednie, bo niezbrojnym.

Związki zawodowe bywają bardzo rozmaite. Nie jest prawdą, że „typowy” związek zawodowy nie zajmuje się polityką; już pierwsze takie związki, powstające przed dwustu laty, miały charakter równie polityczny, co ekonomiczny. Odmienność „Solidarności” polega na połączeniu paru czynników: odrzucenia formuły klasowej i samej zasady walki klas, obejmowania wszystkich pracujących w jednej organizacji (tj. odrzucenia formuły branżowej), przyjęcia odpowiedzialności za całość bytu członków, a nie tylko za ich czynności zawodowe, wystąpienia na czoło idei możliwie najpowszechniejszej solidarności ludzi. Należać do „Solidarności” mogli wszyscy ludzie czynni zawodowo — ale nie robiła ona przedziału między nimi, a tymi którzy zawodowo nie pracują.

Powstania narodowe też bywają rozmaite. Oryginalnością „Solidarności” było i to, że nie zwracała się przeciwko innym narodom w imieniu interesów własnego. Dążyła do egzekwowania należnych uprawnień ludzi, mieszkających w Polsce — także tych, którzy nie są Polakami. Podejmowała bezkruwą walkę o podmiotowość społeczeństwa, narodu i państwa; o odzyskanie wolności wewnętrznej i niezależności państwowej. A zarazem chciała realizować pewien ideał polskości: swobodnej, praworządnej, tolerancyjnej. Przypadki rozchodzenia się tych wzniosłych ideałów i zasad z praktycznym postępowaniem były całkiem naturalne: tak niestety zawsze bywało i bywa. [...] „Solidarność” była pierwszym ruchem społecznym, który zrodził się na gruzach ideologii komunistycznej i realnego socjalizmu, a to domaga się specjalnego wysiłku poznawczego.

2. Mamy już sporo charakterystyk „Solidarności”, dokonanych przez socjologów i historyków — niektóre znakomite. Ale nikt właściwie nie opisał „Solidarności” umieszczając ją na tle podobnych zjawisk społeczno-polityczno-ideowych w innych miejscach i czasach. Myślę, że właśnie taki opis pozwoliłby na lepsze uchwycenie i tego, co w „Solidarność” pokrewnie innym związkom, i tego, co różne lub nowe.

Warto by więc popatrzeć na wcześniejsze użycia hasła solidarności społecznej, jak na przykład we francuskim ruchu solidarystycznym z końca XIX wieku: analogie (na przykład w podkreślaniu związku między prawami a obowiązkami, roli wspólnoty, znaczenia postaw moralnych, a także zabezpieczenia bytu najsłabszych) są tym bardziej uderzające, że nie ma mowy o wpływach: ruch francuski miał jednak, w zestawieniu z „Solidarnością”, charakter głównie ekonomiczny.

Zderzenie się ideałów wolnościowych z potrzebami ludu i dyscypliny jest zjawiskiem stałym przynajmniej od czasu Rewolucji Francuskiej: im większa ludzka zbiorowość i bardziej złożone problemy gospodarcze, przed którymi staje, tym bardziej nieuchronny jest konflikt między dążeniem do swobody i równości uprawnień a wymogami hierarchicznego porządku. Kłopoty „Solidarności” w tym względzie były, powtórzmy, zyczajne.

Ważniejszy od braku spojrzenia z perspektywy porównawczej był niedowład ideologiczny: „Solidarność” miała bez liku działaczy, przywódców, doradców i taktyków, natomiast niewiele takich, którzy wykladaliby i porządkowali OGÓLNE zasady ideowe związku. Poczuć nowości działań nie było umacnianie świadomością nowatorstwa koncepcyjnego, które rozdziło się żywotowo i w marszu. Od początku najbardziej uważnym i stanowczym ideologiem „S” jako związku był Jan Paweł II; stronę etyczną scharakteryzował ks. Józef Tischner; ale właściwie dopiero po stanie wojennym pojawiły się syntetyczne opracowania (jak Cywińskiego, Krzemińskiego, Lamentowicza), które podsumowywały zawarte w rzeczywistym działaniu członków związku zasady. Myślę jednak, że nadal zasługują na teoretyczną analizę i praktyczne rozwinięcie takie podstawowe składniki ideologii „Solidarności”, jak połączenie bycia pracownikiem z byciem obywatelem oraz równość z podmiotowością i nienacjonalistyczny patriotyzm.

3. Czy w latach 1980/81 były szanse na urzeczywistnienie celów „Solidarności”? Wiemy teraz, nie tylko na podstawie zeznań płk. Kuklińskiego, że władze partyjno-rządowe były od początku zdecydowane zdusić niezależny związek. Aparat władzy w Warszawie i w Moskwie nie chciał podjąć historycznego wyzwania — chciał zatrzymać czas. [...] Należało (jak pisałem na jesieni 1981) zdawać sobie sprawę, że nie są na razie możli-

we żadne rozwiązania trwale, że jesteśmy skazani na tymczasowość — i trzeba w jej ramach osiągać, co się da, pamiętając o doraźności i kruchości naszych zdobyczy. Wówczas i porażki nie byłyby odbierane jako katastrofa.

Takie stany świadomości i takie praktyki możliwe były jednak raczej w teorii niż w praktyce: żywiłowy ruch społeczno-narodowy tylko w niewielkim stopniu daje się regulować. Może nawet przesadne wyrachowanie taktyczne odebrałoby mu siłę spontaniczności i autentyzmu?

Ważniejsze jest powiedzenie, że nawet przy uznaniu całkowitego braku szans — BYŁO WARTO. Bo zostało z tych miesięcy tak ogromnie dużo, że całe nasze życie narodowe uległo zmianie i ulega jej nadal. Bo właśnie jesteśmy świadkami żywiłowego odradzenia się tyle razy pogrzebanego związku. Bo jeżeli w tej sytuacji, tak trudnej, zdaje się beznadziejnej, jak polska, coś znaczącego osiągnąć, trzeba ocierać się o granice możliwości (na wszystko inne przeciwnik jest przygotowany). Bo wreszcie, od czasu do czasu naród musi dawać świadectwo własnej prawdy.

A że sytuacja gospodarcza i biologiczna Polski jest dziś tak zła, to dowód, że tej władzy nie potrafi wyleczyć nawet kuracja wstrząsowa. Czy istnieją jakiegokolwiek realne przesłanki, by sądzić, że bez buntu lata 1980 władze przeprowadziłyby naprawdę reformę gospodarczą, nie mówiąc już o politycznej?

4. Zarzucano „Solidarności”, zwłaszcza w początkowym okresie jej istnienia, nadmierny nacisk na rewindykację, a zapomnianie o współodpowiedzialności za całość gospodarki narodowej. Ale dbałość o materialne interesy członków jest podstawową funkcją każdego związku zawodowego. W ustrojach demokratycznych związki są składnikiem całego systemu wewnętrznej konkurencji politycznej i ścierają się z wpływami pracodawców i posiadaczy. W Polsce „S” w zupełnie naturalny sposób ścierała się z partyjno-państwowym superpracodawcą. „Solidarność” była jednakże „czymś więcej” niż związkiem zawodowym — przyjęła na siebie dodatkowe i nietypowe obowiązki — w tym współodpowiedzialność za losy narodu. Miałaby możliwość jej wypełniać pod jednym warunkiem: gdyby mogła uczestniczyć w podejmowaniu decyzji, zwłaszcza dotyczących kierowania gospodarką. Ten warunek spełniony nie był, co więcej: NSZZ „Solidarność”, atakowany od pierwszej chwili za chęć „przejęcia władzy”, zarzekał się i odżegnywał od takich zamiarów. [...] NSZZ „Solidarność” miał prawo i obowiązek reprezentowania interesów swoich członków, a reprezentowanie interesów polega właśnie na wpływanie na decyzje członków dotyczące.

Zasadniczą trudnością był brak istniejących mechanizmów, umożliwiających taki wpływ. Ale ten brak nie był winą „Solidarności”, więc nie ona powinna się była z tego tłumaczyć. W państwach demokratycznych mechanizmy bywają rozmaite. W Europie Zachodniej związki zawodowe są zwykle afiliowane do stowarzyszeń politycznych albo z nimi współpracują. W Republice Federalnej Niemiec rola współdecyzyjna rad zakładowych

wpisana jest do konstytucji. W Stanach Zjednoczonych związki zawodowe popierają (także finansowo) wybranych przez siebie kandydatów na senatorów, kongresmenów czy prezydentów i prowadzą statystykę głosowań w Kongresie, na podstawie której oceniają reprezentantów. Nigdzie żaden związek zawodowy nie będzie się wypierał udziału we władzy.

5. Szok, jaki wywołało wprowadzenie stanu wojennego, był wielokrotnie opisany w literaturze; przecież zapewne do historii jako jeden z najsilniejszych wstrząsów w dziejach naszej świadomości narodowej. Myślę, że jego rolę ocenią dopiero przyszłe pokolenia. Nigdy przedtem świadomy udział Polaków w sprawach publicznych nie był tak masowy i przenikający wszystkie warstwy społeczeństwa.

Szokowa reakcja potwierdziła żywiłowość, autentyzm i głębię społecznego przeżycia podczas poprzednich miesięcy jawnego działania „Solidarności”. Innym potwierdzeniem były spontaniczne manifestacje lata 1982, a także heroiczno-romantyczny ethos obózów internowania dla ludzi z „Solidarnością” związanych. Została po tych obozach, a także więzieniach ogromna masa dokumentów: wspomnień, pieśni, wierszy, rysunków, fotografii, obrazów — które staną się kiedyś pożywką powstającej już legendy „Solidarności”. Kiedy się je ogląda dzisiaj, po sześciu latach, uderza bijący z nich blask, buńczuczny nawet optymizm, przekonanie o słuszności i pewnym zwycięstwie własnej sprawy.

Stopniowe wychodzenie z obózów i więzień powodowało psychiczną dekompresję. Bohaterscy kombatan ci, żyjący w aurze nieustępliwego oporu i nadziei, wracali do codzienności, męczącej jednostajnym użeraniem się z trudnościami w zarobkowaniu i zaopatrzeniu, codzienności coraz pełniej przenikanej atmosferą rozbitcia i beznadziejności. Walka z władzą przeradzała się w jawą szarpaninę. Najgorszym (politycznie) skutkiem owej dekompresji były masowe decyzje o emigracji, do której nakłaniały esbeckie nękania, i na którą zdecydowały się tysiące działaczy, zwłaszcza ze środowisk robotniczych (a więc najtrudniejsi do zastąpienia).

6. Związek żył nadal, ale w postaci coraz luźniejszej, coraz mniej zorganizowanej — czterokrotnie nie tylko jako związek, co jako malejąca zbiorowość. Uwidoczniły się zle skutki krótkotrwałości funkcjonowania „Solidarności” jako organizacji i powszechnego niedocenia nia roli spoistych struktur.

Skutecznie zaszczepiona „Solidarności” monom nia jawności (którą błędnie uważano za warunek demokracji) nie tylko osłabiła związek w obliczu grudniowego ataku władzy, ale ogromnie utrudniła późniejsze działania obronne. Zapomniano o najcenniejszych, a tak przecież bliskich w polskiej przeszłości, wzorach zbiorowej walki z oficjalną przemocą. Rząd Narodowy w 1863, PPS, POW, AK. Były to wzory walki opartej o anonimowe struktury organizacyjne; jej kierownicy pozostawali ukryci; nawet ich pseudonimy znane były niewielu i okresowo zmieniane.

Niewiedza na temat reguł funkcjonowania organi-

zacji związkowych (na przykład tajnych związków zawodowych we frankistowskiej Hiszpanii) i politycznych, jawnych czy ukrytych, była prawie zupełna. Pomysł, co raz to zresztą zmieniane, i akcje uznawano za istotę działania związku. Szara, anonimowa praca nad utrzymaniem kontaktów, opieki nad członkami i porządku wewnątrzorganizacyjnego — nad tym wszystkim, co stanowi twardą podstawę sukcesu jakiegokolwiek masowego związku — bywała zaniedbywana. Zamiast na siatce organizacyjnej opierano się zwykle na nieformalnych kontaktach osobistych. Kierownictwo związku uległo w znacznej mierze personalizacji: nie tylko na samej górze (co było i słuszne i nieuniknione), ale i na średnich, a często i niższych szczeblach. Liczyły się funkcje, ale nazwiska. Powstawała legenda osób, nie legenda organizacji; jeżeli się coś złego działo z osobami, cierpiał na tym obraz związku. Ten stan rzeczy wytworzył naturalną skłonność do improwizacji i aktorstwa, do zaniedbywania struktur na rzecz pokazowych akcji. Sprzyjał też oczywiście konfliktom między przywódcami, których uprawnienia nie były uregulowane.

Fakt, że doradcy NSZZ okresu jego jawnego działania przejmowali niekiedy rolę nie tylko rzeczników, ale kierowników związku, określając w wypowiedziach i wywiadach jego taktykę — jeszcze pogłębiał ten zrynek organizacyjny. Szeregowi członkowie „Solidarności” czuli się często pozostawieni na boku przez politykujących zawodowców.

7. W ciągu kilku lat po wprowadzeniu stanu wojennego myśl taktyczną „Solidarności” kłępowali dwa składniki, odziedziczone (nieświadomie) po kanonach oficjalnego marksizmu. Pierwszym był swoisty determinizm w rozumieniu procesów społeczno-politycznych (pisałem o tym w *Pogładzie*, nr 149). Powtarzano na rozmaite sposoby, że „nieuchronna” katastrofa musi „konięcić” doprowadzić do zbiorowego wybuchu gniewu.

Drugim kłępiącym myślenie czynnikiem było rozumienie hasła demokracji jako uznania PEŁNEJ słuszności „naszej” strony. Tymczasem demokracja to wolny rynek wpływów politycznych, to nieustanne przetargi i kompromisy, współzawodnictwo i szukanie sprzymierzeńców; dzieje się to w imię rozmaitych koncepcji — a głównie różnych i konkurencyjnych interesów.

W Polsce — natomiast taktycy „Solidarności” widzieli rzeczywistość polityczną zwykle w prostych kategoriach „my” i „oni”. Za jedynego kontrahenta — przeciwnika, wroga, a zarazem potencjalnego rozmówcę — uznawano kierownictwo partii i rządu. Ono było atakowane i oskarżane, na nim usiłowano wymusić ustępstwa. Rzadko zadawano sobie pytanie: Czy istnieje i jaka jest płaszczyzna, na której możemy zestawić interesy wolnościowych sił społecznych z „Solidarnością” na czele i interesy rządzącej ekipy? Odpowiedź musiałaby na ogół wypadać negatywnie: sprzeczność interesów była tak wielka, że należałoby się spodziewać, iż Jaruzelski i jego ludzie będą się kurczowo trzymać leninowskiego zawołania „kto — kogo?”

A przecież „Solidarności” miała do czynienia nie

tylko z kierownictwem partyjno-rządowym, lecz i z setkami tysięcy, a nawet milionami Polaków, którzy to kierownictwo jakoś popierali. I pytaniem co raz to ponawianym powinno być: Kogo dzisiaj możemy przekonać, że ich i nasze interesy są wspólne? (Może, na przykład, dyrektorów przedsiębiorstw?) Nie miałyby to nic wspólnego ze stawianiem na frakcje, ale właśnie — z wolnym rynkiem politycznym. (Pokaz takiego postępowania daje w ostatnich tygodniach OPZZ, które chytrze apeluje do robotników, ustanawiając wspólną antyrządową platformę — atrapę).

Zamiast tego niektórzy proponowali „Solidarności” wchodzenie w oficjalne struktury, co było działaniem o sensie akurat odwrotnym: było wchodzeniem na cudzą płaszczyznę, włączaniem się do systemu reprezentowania cudzych interesów.

8. A jednak, mimo represji i groźniejszego od nich zniechęcenia, mimo niezliczonych rozbijających działań władzy, mimo popełnianych błędów — związek przetrwał. Stało się tak mimo, że wielu komentatorów, intelektualnych sprzymierzeńców, a nawet doradców, tę zasadniczą związkowość „Solidarności” podważało. Poczucie potrzeby własnego, niezależnego i samodzielnego związku, i to nie innego, tylko właśnie „Solidarności”, wytworzyło siłę polityczną.

9. Na jawną i otwartą scenę polityczną „Solidarności” wraca w zmienionej sytuacji, bo w towarzystwie. W ciągu siedmiu lat wyodrębniło się wiele innych ugrupowań i organizacji, które głoszą rozmaite programy polityczne i ekonomiczne. Odradza się otwarcie Niezależne Zrzeszenie Studentów. Wyłoniły się ruchy takie jak „Wolność i Pokój” czy stowarzyszenie obrony środowiska naturalnego. Ugrupowania te chcą i mogą wyřęczać „Solidarności” w wypełnianiu różnych funkcji, które w latach 1980-81 sama starała się wypełniać. Tym pilniejsze staje się dla „Solidarności” zadbanie o to, by się wyraźniej samookreślić i opisać własne cele. Jak to powiedział w sierpniu przewodniczący gdańskiego MKS, Jacek Merkel, „Solidarności” ma prawo sama decydować, czym będzie jako związek — ale jest nie czymś innym, tylko związkiem zawodowym. Chodzi przede wszystkim o to, by przy zachowaniu oczywistego priorytetu funkcji bytowych NSZZ, nie zatracić swoich najcenniejszych składników ideowych — tych, które mu pozwalają wykraczać poza tradycyjne ramy obrony poziomu życia członków: samej zasady solidaryzmu społecznego, wspartego o idee chrześcijańskie i patriotyczne.

Bezpośrednio najpilniejszym zadaniem praktycznym dla „Solidarności” jest realizacja znanego hasła Wałęsy, że „Solidarności” — to nazwa dla reformy. Wynika z tego potrzeba pogodzenia paru częściowo rozbieżnych postulatów: nacisku na racjonalizację metod kierowania gospodarką narodową, zadbania o sensowność i rzetelność poczynań władz, prowadzenia działań ostrożnych, chroniących ludność przed niedostatkiem powodowanym gwałtownymi zmianami ekonomicznymi, wreszcie uniknięcie trwałego bezrobocia. Może to wyglądać (i dla wielu komentatorów zachodnich wygląda) na kwadraturę koła. [...]

Wiele światła może tu rzucić stwierdzenie, poparte danymi statystycznymi o bardzo niskim udziale płac w kosztach produkcji oraz, że ludzie pracy w Polsce są WŁAŚNIE JAKO LUDZIE PRACY — powinni być szczególnie zainteresowani w przeprowadzeniu reform ekonomicznych, które podniosą równocześnie trzy poziomy: wymagań, organizacji, płac.

Jeszcze trudniejsze są problemy strategiczne, nasuwane przez dalekosieżne cele. Wydaje się dzisiaj pewne, że nie ma innej drogi do wysokiego poziomu rozwoju gospodarczego, niż przejście przez etap tzw. liberalizmu gospodarczego (albo po prostu kapitalizmu), a więc mało krepowanej wolnej gry sił rynkowych. Wyzwała się na nim współzawodnictwo — ale i nowe nierówności; rośnie wydajność pracy — ale i antagonizmy, budzone przez konkurencję między jednostkami, grupami i warstwami. Powstaje stały margines bezrobotnych i nieprzystosowanych. Z chęci zaradzenia tym skutkom kapitalizmu wyrosło dwudziestowieczne państwo opiekuńcze. Jego struktury istnieją w Polsce, ale w ogólnym kryzysie przestają działać. I jednym z zadań reformy jest przywrócenie i polepszenie funkcjonowania u nas państwa opiekuńczego — bo przytłaczająca większość społeczeństwa nie zgodzi się na jego likwidację. A więc kolejna kwadratura koła: Jak przetrwać nie tylko bieżący kryzys, ale w ogóle nasze zwiększające się zacołanie ekonomiczne, stosując równocześnie bezwzględne metody wolnego rynku — i zabezpieczające zabiegi opiekuńcze? Podejrzewam, że bezpośrednie przejście do modelu skandynawskiego (wysoka wydajność pracy połączona z pełnym zabezpieczeniem socjalnym) jest w Polsce niemożliwe — ze względu na upadek umiejętności gospodarowania i kultury pracy (Ważsa: „Kaleki ekonomiczne żęcie z nas zrobił”).

10. W rozpoczętym procesie targowania się z rządzącą ekipą kwestia udziału „Solidarności” w sprawowaniu władzy musi siłą rzeczy stanąć na nowo. Strona partyjno-rządowa uznała za „odważną” swoją propozycję zwiększenia liczby ciał współodpowiedzialnych ale nie współdecydujących, czyli powołania dodatkowych żyrantów własnej polityki. Ale następne dni wykazały, że była to propozycja niepoważna: już się na to nikt nie daje nabrać. Z tym większym niepokojem odebrałem wypowiedź rzecznika „Solidarności”, który 1 września oświadczył, iż „Solidarność” nie chce sprawować władzy, a tylko kontrolować za pomocą społecznego nacisku. Obawiam się, że jest to skazywanie się na strąki. Jedynym sposobem stworzenia szans na przezwyciężenie kryzysu politycznego — który stoi u podstaw kryzysu gospodarczego, a nie odwrotnie — jest wytworzenie mechanizmów, pozwalających reprezentacjom społeczeństwa, takim właśnie, jak związki zawodowe, wpływać na treść decyzji, zanim jeszcze zaczną być wprowadzane w życie, oraz kontrolować ich wykonanie za pomocą stałych organów nadzorczych, za którymi stoi organizacja związkowa, ale bez każdorazowej potrzeby odwoływania się do „społecznego nacisku”. Ten prosty postulat również przypomina potrzebę opracowania związek do-

celowej strategii, wedle której członkowie — i całe społeczeństwo — będą mogli oceniać bieżące postępowanie tak reprezentacji „Solidarności”, jak i władz. Nie powinni się tym chyba zajmować ci, którzy są zajęci prowadzeniem negocjacji, bo im to może krepować ręce i utrudnić rozgrywkę — ale ci, którzy tworzą ideowe i polityczne zaplecze negocjatorów.

11. Siedem lat temu, podczas zjazdu „Solidarności”, można się było zachłysnąć oszałamiającym poczuciem niebywałych perspektyw, które otwierał ten eksperyment swobody i demokracji — dokonywany we wrogim otoczeniu. Dzisiejsza rzeczywistość polska ukazuje możliwości tak samo niebywałe: pierwszego wyjścia z systemu komunistycznego, i to wyjścia bez wojny. Jest podobnie jak tamta nabrzmiała ryzykiem, ale zagrożenia zdają się inaczej rozłożone. Wówczas pochodzili przede wszystkim z zagranicy, a następnie ze strony krajowego aparatu władzy. Dzisiejsze są bardziej wewnętrzne: główne niebezpieczeństwo przedstawia krajowy aparat, ale utrudnienia mają źródło w samym społeczeństwie, którego stan — jak i stan gospodarki — jest obecnie wyraźnie gorszy. Łączyły wówczas Polaków oburzenie na fałsz i niespełnienie obietnic, obawa przed zubożeniem i nadzieja na poprawę materialnych i duchowych warunków życia. Łączyło również niedawne odkrycie jedności — dokonane dzięki Papieżowi. Wobec tego wszystkiego podziały były nieistotne. Dzisiaj, wobec znacznie pogłębiętego rozwarstwienia materialnego ludzi nie tylko różne potrzeby, ale różna ich skala: od braku pieniędzy na benzynę do braku perspektyw na mieszkanie. Najpowszechniejszymi zaś składnikami wspólnymi są zmęczenie, poczucie kryzysu i beznadzieja. Nie są to czynniki pobudzające solidarność. Dlatego też głównie istnieniu Solidarności przez duże S zawdzięczamy przejawy społecznego współdziałania. Ale „Solidarność” i jej solidarystyczna ideologia ma dzisiaj więcej przeciwników niż przed siedmiu laty. [...] Także takich, którzy boją się postaw równościowych i rewindykacyjnych, bo woleliby nieskrepowaną grę sił ekonomicznych. I takich, którzy uważają, że związek zawodowy to w ogóle zawracanie głowy wobec walki o niepodległość. I takich, którzy chcą pracować dla siebie, a nie dla innych. I takich, którym się NSZZ z jakiegoś powodu „nie sprawdził”. I takich, którzy go popra, ale tylko dla własnych ubocznych celów. A więc znowu obok odświeżających perspektyw i możliwości — spiętrzenie przeszkód i trudności, a wśród nich i takie, które wyglądają na nieprzezwyciężalne. I znowu samo stworzenie szans realizacji planów „Solidarności”, samo przybliżenie się do celu, wymaga ogromnego wysiłku — podobnie jak w latach 1980-81. Wymaga ofiarności, odwagi, zdecydowania, energii, odłożenia na bok jednostkowych ambicji, zespolenia działań. To są wszystko warunki konieczne, chociaż nie wiadomo, czy wystarczające.

I przypomina się zdanie, które poeta włożył w usta Piłsudskiemu: „Skazuje was na wielkość, Bez niej — wsząd zguba.”
(wrzesień 1988)

POLSCY AZYLANCY

ANNA KOT

W kraju nauczyłam się twardości

Według art. 16 §11.2 Konstytucji Republiki Federalnej Niemiec każdy człowiek, który jest prześladowany w swoim rodzinnym kraju ze względów politycznych, albo obawia się prześladowań, posiada fundamentalne prawo do ubiegania się o azyl polityczny w RFN.

„Prześladowany politycznie” – to osoba, która ma powody, by obawiać się prześladowań ze strony państwa ze względu na przekonania polityczne, religijne lub z powodu jej przynależności do określonej grupy narodowej. Prześladowania są uważane za przyczynę ubiegania się o azyl, kiedy ubiegający obawia się poważnych konsekwencji i poważnego zagrożenia dla swojego życia, zdrowia czy wolności. Pod uwagę bierze się także często przesłuchania przez władze i rewizje. Przyczyny azylu muszą być na tyle poważne, by ubiegający się o azyl nie miał możliwości powrotu do kraju.*

W Berlinie Zachodnim przebywa dwa i pół tysiąca Polaków uznanych za uchodźców politycznych. Liczba starających się o ten status z roku na rok wzrasta. Wśród przybywających do Berlina Zachodniego cudzoziemców 70% stanowią Polacy. Ci, którzy postanowili do kraju nie wracać, ubiegają się najczęściej o status prześladowanego politycznie. Zamieszkują w „heimach” – domach nazywanych potocznie obozami. W Berlinie Zachodnim jest ich ponad sto. Odwiedziłam kilka.

„Heim”, do którego na okres przejściowy trafia każdy ubiegający się o azyl, mieści się przy Streitstraße 5. Czteropiętrowy kolos, dawniej szpital z 500 łóżkami. Dzisiaj liczba mieszkańców dochodzi do półtora tysiąca. Kilkuosobowe pokoje mieszczą po kilkanaście osób. Był czas, kiedy do stołówki wstawiono 100 dwupiętrowych łózek.

W dwóch kątach zsunęto szafy, by zasłaniały przebierających się. Na początku listopada mieszkało tak około pięćdziesiąt osób, w tym małżeństwa z małymi dziećmi. Byli to sami Polacy.

O azyl proszą Turcy, Arabowie, Afrykanie, Irańczycy, Jugosłowianie, Czesi, Rosjanie. Polacy. Dlatego dom przy Streitstraße 5 to istna wieża Babel. Na korytarzach mieszanina kolorów skóry, języków i kuchennych zapachów. Króluje baranina zasmażana w cebuli z czosnkiem.

„Turcy i Arabowie tak gotują” – wyjaśnia Polak z pokoju 111. „Jak taki pitrasi, wejść się nie da. Rasistą nie jestem, ale czarnych mam dosyć. Oni opanowali heim. Te kuchnie, to pół biedy. Człowiek herbatę grzałką zagrzeje, to z takim nie musi się spotkać. Ale jedzenie stołówkowe, z którego korzystają wszyscy, też pod ich gusta. Na obiad najczęściej ryż, baranina pod różnymi postaciami, śledzie w occie lub śmietanie. Albo zupa – coś gęstego, człowiek podziobie i wyrzuca. Dorosły wódki się napije i strawi. Gorzej z dziećmi. Co zjedzą, wymiotują”.

Inny dodaje: „W ogóle traktuje się nas jak coś gorszego. Na przykład letnie ubuwie. Innym narodowościom wydawali, Polakom nie. Lepsza praca socjalna też nie dla nas. Do wydawania posiłków w kuchni biorą czarnych. Nam zostaje sprzątanie heimu albo zamiatanie liści. Wprawdzie płacą tylko trzy marki za godzinę i miesięcznie wolno zarobić sto dwadzieścia marek, ale przynajmniej bezpiecznie. Na robotę socjalną też się nie czeka, nie ma co miesiąc. Zima się zbliża i trzeba by kupić ubranie. Letnie, oprócz butów, było z przydziału: dwie pary skarpetek, dwie pary majtek, podkoszulki, koszule i spodnie. Wydawali bez względu na rozmiar. Jak za duże, zabrali i nie dali więcej. Na zimę z przydziału nie ma. W głównym urzędzie socjalnym powiedzieli: damy talony, jak z heimu zobaczymy zaświadczenie, że zimowych rzeczy nie mają. A kierownictwo heimu karteczek

* Z biuletynu „Informacja dla osób starających się o azyl, Berlin, 14.09.1988, DRK Wohnheim Streitstraße.



Berlin Zachodni: Kolejka przed urzędem azylowym

wydawać nie chce”.

„Ja nie narzekam — wtrąca kobieta, która jest w heimie z siedmioletnim synkiem. — Bałam się, że wyląduję pod mostem. W kraju tak straszą. A tu mam gdzie spać, głodna nie chodzę. Na czarno się dorobi. Idzie przeżyć”.

„Pani łatwo powiedzieć — wtrąca rozgoryczony — sprzątanie w domu to nie ryzyko na budowach. Złapią, »misiaczka« w paszport i do granicy”.

Pytam, czy tak wyobrażali sobie początek nowego życia?

„Ja nie wyobrażałem sobie nic — mówi inny Polak. — Myślałem — gorzej niż w kraju być nie może. Chociaż ja nie narzekam, źle nie miałem. Mieszkanie własnościowe, samochód. Ale co z tego, kiedy żyć się tam już nie da. Kiedy dostałem zaproszenie od znajomych, powiedziałem sobie — teraz albo nigdy. Wszystko sprzedałem w cholere. Pierwszy raz wyjeżdżałem na Zachód. O heimach nie miałem pojęcia. W telewizji pokazują koczujących Polaków, ale wie pani, jak jest, komunie nikt nie wierzy. Wsiadłem na Dworcu ZOO i zachwycony kolorowym światem poszedłem oglądać wystawy. Człowiek chociaż oczy nacieszył. Kilka dni pomieszkałem u znajomych.

Powiedzieli: Jak chcesz zostać, to tylko »na

azyl«. Tutaj mówi się takim żargonem. W pierwszej chwili pomyślałem, co ze mnie za »polityczny«, ale w końcu człowiek gazetki podziemne czytał, ustrój przeklinał, co, jak myślałem, wystarczy, by Niemcy uznali mnie za wroga komunizmu. Pojechałem po trzech dniach na Marienfelde, gdzie są pierwsze rozmowy. Swojsko tam. Polska mowa, kolejka do pokoju przyjęć. Jeden na drugiego wilkiem spogląda, jak w mięsny, gdy ktoś przed nosem sprzątanie ostatni kawałek wołowego. Wreszcie i ja wszedłem. Człowiek języka nie zna, więc po murzyńsku: »Ich bin aus Polen und ich will Asyl«. Tamci się już chyba niczemu nie dziwią. Dali „Laufzettel“, taką polską obiegówkę i skierowali do aliantów. Najpierw przesłuchują Amerykanie, później Francuzi. Dalej do Głównego Urzędu Socjalnego, po skierowanie na Streitstraße i bilet na przejazd. W rejestracji, czyli »na bramce« podali numer pokoju. Idąc do budynku »A« cieszyłem się myślą spokojnego snu. Dotarłem na pierwsze piętro do pokoju 111. Odrapane ściany, sufit z odpadającym tynkiem i dziesięć piętrowych łózek. Musiałem mieć głupią minę, bo ktoś w końcu powiedział: Siadaj pan na wolnym i nie dziw się niczemu. Budynek socjalny, skąd miałem dostać pościel, był już zamknięty. Przespałem się na szarym, poplamionym materacu. Myślałem,

potrwa to tydzień, dwa. Siedzę już trzeci miesiąc”.

„Najgorsze jest to — mówi inny Polak z trzy-miesięcznym stażem — że człowiek czuje się tutaj jak w więzieniu. Heimy stworzyli po to, by nad uchodźcami politycznymi roztoczyć szczególną ochronę i ustrzec przed niebezpieczeństwem. Ale bez przesady. Niemców Zachodnich jeszcze ta zaraza nie dopadła. A my na przykład pojechać w miasto nie możemy, bo bilety tylko z przydziału: na policję i do lekarza. Do kościoła już są kłopoty. A przecież człowiek z kraju przyzwyczajony co niedzielę na Mszę św. Dostajemy kieszonkowe — dwa pięćdziesiąt na dzień. O dwadzieścia fenigów za mało na bilet kolejki metra, o markę trzydzieści na paczkę papierosów”.

Wchodząc do heimu przeczytałam na tablicy ogłoszeń: „W pokoju 127 papierosy z Polski”. Większość pali. Nerwowy nawyk przywieziony z kraju. Na zachodnie nie stać, to skupuje się od turystów. Czasami waletują w heimach, to widzą, jak i towar idzie. Carmeny, Wiarusy, Caro — po marce pięćdziesiąt. Marlboro — dwa pięćdziesiąt. Na Streitstraße większość pali i czeka. Niektórzy leżą i patrzą w sufit. „Żeby chociaż człowiek miał spokojną głowę. Ale tu nerwy podwójne. Po pierwsze czy »wygra się zył«. To loteria. Nie wiadomo już, co daje gwarancję. Wie pani, tych prawdziwych »politycznych« to tu mało. Większość wyjeżdża, bo już nie może wytrzymać. Bo już wszystko jedno gdzie i jak, byle daleko od komuny. Druga niepewność, czy człowieka nie przerzucą z Berlina gdzieś na West”.

Pierwsze dni procedury azylowej, to rozmowy w Urzędzie Rejestracyjnym Marienfelde. Dalej wizyta w Urzędzie Policji d/s Cudzoziemców i poddanie się procedurze identyfikacyjnej (trzy zdjęcia twarzy i odcisk prawego ciuku). Potem „taśma” — nagrywanie na magnetofonie motywacji starającego się o azyl. I wreszcie VT. (Verteilung) — przydział — czy na decyzję azylową oczekuje się w Berlinie Zachodnim, skierowanym do innego heimu, czy też odlatuje się do innego kraju związkowego Republiki Federalnej Niemiec. Nikt nie chce opuszczać Berlina. Stąd w przypadku nieuznania za uchodźcę politycznego, nie grozi deportacja. W innych „landach” Republiki Federalnej takie prawo nie istnieje.

„Azyl przyznawany jest nielicznym — mówi kobieta z heimu przy Scharnweberstraße 17 — Dostałam odmowę. Złożyłam odwołanie i czekam dalej. Niektórzy w niepewności żyją już dwa lata. Na przykład małżeństwo z dorastającymi synami

mieszka tyle czasu w jednym pokoju. To jest najgorsze — to czekanie. Wszystko można znieść, gdy ma się pewność stabilnej przyszłości. Jak tak czeka się bez sensu, denerwuje każdy drobiazg. Na przykład recepcjonista podpisywał torbę każdemu, kto wynosił śmieci, bo wyrzucane były obok pojemnika. Niby co mnie obchodzi, że podpisuje, a człowiek chodził wnerwiony. Nie żywią nas zbiorowo, jak na Streitstraße, ale mamy własny sklepik. Przekleństwo prawie wszystkich heimów. Były kiedyś wydawane pieniądze na żywność — zlikwidowano, bo za dużo ludzie kupowali alkoholu. Wprowadzono talony, które zastępowały pieniądze w sklepie — narzekano, że to przy kasie upokarzające. Wreszcie wpadli na pomysł sklepików heimowych. Nie byłoby to złe, gdyby uczciwie je prowadzono. Każdy w mikrownieski sklepu ma otwarte konto na określoną sumę. Kupuje się towar, a ona odhacza wartość. Ale co to za artykuły. Jak mięso — to baranina, żeby dostać kawałek schabu, porządną wędlinę, albo świeży chleb, trzeba stać godzinę, dwie przed otwarciem sklepiku. Człowiek wyjechał od tej męczarni z kraju. Tu niby inaczej, a podobnie”.

Odwiedzałam heim za heimem aż zobaczyłam, że wszędzie jest to samo. Może za wyjątkiem heimu dla samotnych kobiet i kobiet z dziećmi. Opowiadano, że pałacyk z bajki. Pojechałam. Wila przy Winklerstraße 12, w ekskluzywnej dzielnicy Berlina — Grunewald. Wokół cisza, drzewa, śpiew ptaków. Z tego zasłuchania wyrwał mnie ostry, niemiecki głos: „Was suchen Sie?” (Czego pani tu szuka?). Odpowiedziałam, że przyglądam się willi i chciałabym porozmawiać z kilkoma Polkami. Kobieta z oburzeniem krzyknęła: „Verboten!” (Zabronione) i zatrasnęła drzwi. Przypominała przełożoną pielęgniarek z filmu *Lot nad kukułczym gniazdem*. Jak się później dowiedziałam, była to Margareta, opiekunka kobiet w heimie. Weszłam po południu, kiedy nie miała dyżuru. W odróżnieniu od innych heimów na korytarzach przyjemny zapach środków czyszczących, a w hali stoliki, kwiaty.

„Pozornie, dla oglądającego jest tu ładnie — mówi jedna z mieszkanki — ale ten heim to wymysł diabła. Nie dlatego, że sąsiaduje z byłą willą Goebelsa. Chociaż kto wie, skąd bierze się reżim naszego tutaj życia. Nie wiadomo, czy to izolotka w psychiatriku, czy dom resocjalizacyjny dla kurów. Z mężczyznami wolno nam rozmawiać tylko w świetlicy. Do pokoi wstęp wzbroniony. I nie ma na to siły. Próbowaliśmy zbadać w czym rzecz.

Od jednej z opiekunek dowiedziałyśmy się, że heimem opiekuje się jedna z feministycznych organizacji, która podobno wyznaje teorię, że mężczyźni biją kobiety i należy je przed nimi chronić. Portier ma przykazane po dziesiątej nie prosić nikogo do telefonu. Obowiązuje cisza nocna”.

— Ale są tu dzieci, może chodzi o zapewnienie dla nich dobrych warunków? — przerywam rozgoryczonej kobiecie.

„Ale dlaczego dyryguje się naszym życiem? Paranoja polega na tym, że trafiają tu kobiety, których mężowie przydzieleni są do innych heimów. Był to jeden tragiczny przypadek”.

Odnałazłam tę kobietę w heimie przy Kalckreuthstr. 12.

„Przy Winklerstr. byłam krótko — opowiada — mąż dostał odmowę azylu. Nie miał już prawa do heimu i pomocy socjalnej. Moja procedura azylowa dopiero się zaczęła, więc mieszkalam z synkiem na Streitstr. Mąż waletował z nami. Groza zaczęła się, kiedy przydzielono mnie na Winklerstr. On w tym czasie nocował u kolegów, czasami na Dworcu ZOO. Przychodził do nas na obiad. Nie mogliśmy zjeść wspólnie w pokoju, więc znosiłam garczki, talerze do świetlicy. A tam jedni słuchają radia, inni telewizora. Raz grzecznie poprosiliśmy, czy nie można jednak przenieść się do pokoju — zabronione. W końcu zaczął się przemykać do naszego pokoju. Rozmawialiśmy szepcetem, ale i tak się wydało. Zabronionu mu wstępu w ogóle. Spotykaliśmy się na spacerach. Dzieliłam się z nim jedzeniem. Pytaliśmy się nawzajem, jak długo jeszcze. Znalazł pracę na czarno, ale Niemiec zwodził go z wypłatą. Znajomi wynajęli nam małą mieszkanekę, ale ja i tak musiałam meldować się w heimie.

To było szóste marca. W sobotę. Przyszłam z synkiem o dwunastej w południe. Na stole pusta butelka po wódce. Obok pełna. Robert! — krzyknęłam. A on: — Zostawcie mnie w spokoju. Nie było co rozmawiać. Zabrałam butelkę i wyszłam. Przez następne dni nie otwierał drzwi. Myślałam, że śpi. We wtorek przyszedł do heimu policjant. Powiedział, że Robert nie żyje. W sobotę po południu rzucił się pod kolejkę metra. Rozpoznał go po odciskach palców. Nie powiem pani, dlaczego to zrobił. Tyle ludzi wytrzymuje tę gehennę. On nie znosił upokorzenia. W kraju miał dość żebrania o byle gównu. Był spawaczem w kopalni. Słyszał, że na Zachodzie fachowcom łatwo o pracę. No więc przyjechał. Nie przewidział,

że takich jak on, tutaj tysiące. Biegał po urzędach o pozwolenie do pracy. Przeganiano go. A on dalej. Nie mógł pojąć, że i tutaj jest nieproszonym gościem”.

Wróciłam na Streitstr., by odnotować podobną historię.

„Mieszkał z nami dwa tygodnie. Porządnie ubrany, wyglądał inteligentnie. Po twarzy można poznać. Przez pierwsze dni nic nie mówił. Z nudów w końcu człowiek zapytał. Tyle się dowiedzieliśmy, że do kraju nie ma po co wracać. Chcieliśmy go trochę rozluźnić, bo spięty był cholernie. No to on znow, co robi, jak go stąd wyrzuca. Pytał i pił. Dostał list z Polski, podobno od żony. Rano znalezione go w łazience. Powiesił się”.

„Nie pierwszy i ostatni — dodaje pesymista. — Teraz w heimie malują ściany. Były odrapane, tynk odpadał. Raz stała kobieta i waliła czołem w ten mur. Przechodziłem obok. Dokładnie widziałem. Zabrali ją do szpitala dla nerwowo chorych. Ludzie różnie reagują. Na przykład ten Rusek. Przyjechał z Polski na paszporcie konsularnym. Jak trzeźwy, spokojny chłop. Jak popije, klnie i nic tylko do Polski wraca, by tych skurwysynów komunistów wystrzelać”.

Opowiadałam później o tym „Rusku” jednej z kobiet, uznanej przez władze niemieckie za uchodźcę politycznego.

„Ja go rozumiem — komentuje — przecież nikt tu z dobrej woli nie przyjeżdża, że mu się przyroda w Polsce nie podoba. I na początku jest tak, jakby z deszczu pod rynnę wpadał. Na Streitstr. mieszkalam jedenaście miesięcy. Dzieciaki tak pochudły, że żebra było widać. Później rok w następnym heimie. Po uznanym azylu dostaje się tzw. WBS — czyli prawo do otrzymania mieszkania socjalnego dofinansowywanego przez państwo. Wysłałam ponad sto podań. Przez pół roku, dzień w dzień biegałam po różnych spółdzielniach. Pracownicy rozkładali ręce: Przykro mi. Nie ma pani pracy, w dodatku jest pani cudzoziemką. Chodziłam wkurwiona, ale nie załamana. W kraju nauczyłam się twardości. W końcu wychodziłam. Mam mieszkanie. Teraz szukam pracy. Ale niech pani powie, dlaczego my Polacy musimy tak się upokarzać?

Mam nadzieję, że kiedyś wrócę do swoich. Na razie wysyłam miesięcznie dla opozycji w kraju sto marek.

Ale czy to coś pomoże?

WYBORY W USA

ANDRZEJ ZWANIECKI

Dlaczego nie Dukakis?

Jedną z najnudniejszych, jak twierdzą doświadczeni dziennikarze, kampanii wyborczych we współczesnej historii USA wygrał obecny wiceprezydent George Bush. Bush miał zresztą wyraźną przewagę nad Dukakisem we wszystkich badaniach opinii publicznej conajmniej od kilkunastu tygodni, co skłoniło znanego felietonistę, Artę Buchwald, do postawienia ironicznego pytania, dlaczego w ogóle odbywa się jeszcze akt głosowania, skoro na podstawie namiarów statystycznych i tak wiadomo, kto wygra. Znaczący przedmiot twierdzili jednak, że wyniki wyborów nie były wcale przesądzone. Powoływali się oni na przykład kampanii z 1948 r., w której Harry Truman przechylił szalę popularności na swoją stronę niemal w ostatniej chwili przed wyborami.

W trakcie głosowania i po zamknięciu lokali wyborczych przeprowadzono tyle ankiet, sondaży i badań socjologicznych, że dokładnie wiadomo kto, kiedy i dlaczego głosował na każdego z kandydatów (to zresztą, obok braku wszelkich oznak gorączki wyborczej na ulicach, odróżnia tutejsze wybory od zachodnioeuropejskich). George Bush wyciżył nie dlatego, że podbił amerykańskich wyborców, ale dlatego, że wydał im się lepszym z dwojga złego. Wpływowy dziennik *Washington Post* nie udzielił poparcia żadnemu z kandydatów argumentując, że program każdego z nich zawiera niewybaczalne braki — Busha w dziedzinie polityki socjalnej, Dukakisa — w dziedzinie obrony narodowej. Jak wynika z sondażu przeprowadzonego przez sieć telewizyjną ABC, wyborcy byli podobnego zdania. Połowa zwolenników każdego z kandydatów głosowała głównie po to, żeby niedopuszczyć kandydata przeciwnej strony, a nie dlatego, że naprawdę lubiła swego faworyta.

Z rozbicia preferencji wyborców na przedziały wiekowe, narodowościowe i klasowe wynika, że Bush nie zdołał zapewnić sobie pełnego poparcia koalicji różnych grup, które popierały Ro-

nalda Reagana: Spadek poparcia dla kandydata partii republikańskiej nastąpił przede wszystkim w grupach najmłodszych wyborców, osób o średnich dochodach i tzw. niezależnych wyborców, nie identyfikujących się z żadną partią. Z grubsza rzecz biorąc na Dukakisa głosowali głównie Żydzi, Murzyni, Latynosi, związkowcy i wyborcy bez wykształcenia, albo z bardzo wysokim wykształceniem; na Busha — wyborcy ze średnim lub wyższym wykształceniem, konserwatyści, biali obywatele stanów południowych, Polonia i inni Amerykanie pochodzenia słowiańskiego.

Wbrew opinii wyborcy amerykańscy nie kierują się głównie lojalnością partyjną czy też irracjonalnymi przesłankami, np. ładny uśmiech kandydata. W przeważającym stopniu głosowali oni na tych kandydatów, którzy zajęli stanowiska najbliższe ich własnego wobec znaczących dla nich spraw. 71% z tych, którzy uważają, że należy zwiększyć wydatki na obronę, opowiedziało się za Bushem, 74% tych, którzy są za cięciami w budżecie obronnym — za Dukakisem.

Motywnym przewodnim kampanii wyborczej Busha była kontynuacja obecnego stanu rzeczy, a Dukakisa — zmiana. Wynik wyborów może więc świadczyć o tym, że przeważająca część elektoratu amerykańskiego nie chce zmian. Od roku 1983 trwa nieprzerwanie w USA koniunktura gospodarcza. Co więcej, w latach '80 administracji Reagana udało się dokonać przebudowy amerykańskich molochów gospodarczych — przemysłu hutniczego i samochodowego — związanej ze znaczną redukcją kadr, a zarazem stworzyć imponującą liczbę nowych miejsc pracy. Poczynając od roku 1980 ich ilość zwiększyła się o 13,2% (w Europie w tym samym czasie tylko o 1,4%). Michael Dukakis, który podkreślał w swojej kampanii potrzebę reorientacji rynku pracy, najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z wymiowy tych faktów. Kandydat partii demokratycznej przegrał nie tylko w sta-

nach, w których panuje dobrobyt, ale nawet w tych, w których istnieją enklawy recessy gospodarczej i bezrobocie — w Teksasie, Luizjanie, Oklahomie, Colorado, Michigan i Ohio.

Gubernator stanu Massachusetts, Michael Dukakis, jest człowiekiem posiadającym wiele niewątpliwych cnót i zalet, jednak nie widzi różnicy pomiędzy skautingiem a polityką. Dukakis prowadził uczciwą i niemal pozbawioną elementów demagogii kampanię. Nie obrzucał przeciwnika błotem, nie przyczepiał mu etykietek i w zasadzie nie obiecywał wyborcom gruszek na wierzbie. Dziennikarze stwierdzili jednak zgodnie, że jego kampania telewizyjna była najgorszą w historii istnienia tego środka przekazu. Bush postępował wprost przeciwnie — zaraz na początku przyczepił gubernatorowi etykietkę „liberała”, wykręcał się przed pytaniami o udział w aferze Iran-contras i podpisał się pod negatywnymi reklamami telewizyjnymi, które przypisywały Dukakisowi m.in. lekkomyślny stosunek do problemu przestępczości (republikanie wygrzebali przypadek więźnia, który w ramach programu resocjalizacji zatwierdzonego przez gubernatora wyszedł na przepustkę, a następnie zgwałcił i zamordował kobietę). Wreszcie Bush wypowiadał się za rozwojem niemal wszystkich rodzajów nowoczesnego uzbrojenia, obiecując bałamutnie, że nie podniesie podatków. Dukakis dowiódł swej szlachetności, Bush tego, że potrafi uderzać poniżej pasa. Prasa co prawda zdyskwalifikowała wiceprezidenta, ale gubernatora zniesiono z ringu.

Michael Dukakis nie przedstawił w trakcie kampanii wyborczej nawet zarysu swej polityki zagranicznej; w praktyce ograniczył się do skandowania dwóch sloganów liberalnego odłamu demokratów — całkowitego bojkotu RPA i wstrzymania wszelkiej pomocy dla contras. Henry Kissinger zaproszony do studia w dniu wyborów przez sieć telewizyjną ABC powiedział, że zna co najmniej dwa przemówienia Busha poświęcone stosunkom amerykańsko-sowieckim, natomiast żadnej wypowiedzi Dukakisa na ten temat. Jest prawie pewne, że stanowiska obu kandydatów wobec spraw międzynarodowych nie miały większego wpływu na wyniki głosowania. Ale wstępna deklaracja kandydata partii demokratycznej: „W tych wyborach nie chodzi o ideologię, a o kompetencję”, określiła jego stanowisko tak wobec spraw krajowych, jak i międzynarodowych. Starał się pokonać tradycyjne podziały polityczne i ideologiczne, zwracając uwagę wyborców na potrzebę

zmian w takich dziedzinach, jak oświata, opieka zdrowotna, ochrona środowiska i problemy budownictwa mieszkaniowego, Ale Dukakis nie docenił znaczenia spraw ogniskujących właśnie kontrowersje ideologiczne, takich jak przerywanie ciąży, kara śmierci i przysięga na wierność konstytucji. Podczas gdy on stawiał je na drugim planie, Bush demonstracyjnie zwracał uwagę na nie i podkreślał swe odmienne stanowisko wobec każdej z nich. Dzięki temu w kampanii, w której obaj wzbudzali w najlepszym razie ciepławe emocje, wiceprezydent miał sznase przynajmniej chwilami odgrywać rolę człowieka emocjonalnie zaangażowanego. Przyniosło mu to konkretne zyski — w grupach tych wyborców, którzy uznali te sprawy za ważne. Kandydat republikanów uzyskał wyraźną przewagę.

Dukakis najprawdopodobniej zdał sobie sprawę ze złej taktyki zbyt późno. Na kilka tygodni przed wyborami zaczął odpowiadać na negatywną kampanię Busha. Jak wynika z sondaży opinii publicznej, dzięki tej zmianie udało mu się przeciągnąć na swoją stronę większość grupy niezdecydowanych wyborców. Nie była ona jednak wystarczająco duża, aby mogła zadecydować o losie wyborów.

Według zwolenników Dukakisa, podstawową przyczyną jego klęski było to, że nie potrafił on przekazać społeczeństwu swojej wizji Ameryki. W rzeczy samej, gubernator stanu Massachusetts, być może znakomity administrator i bez wątpienia człowiek o dużej inteligencji, jest fatalnym mówcą i politykiem niemal zupełnie pozbawionym zdolności nawiązywania kontaktu z publicznością, z tłumem. Jego oszczędny, pozbawiony demagogii styl wypowiedzi wzbudzał z pewnością żywe reakcje wśród jego zagorzałych zwolenników, ale był zbyt oschły, żeby pobudzić emocje czy wyobraźnię większości. W przypadku zaś kandydata demokratów stworzenie owego emocjonalnego nośnika dla programu było o tyle ważne, że w odróżnieniu od Busha stawiającego na *status quo*, proponował on Amerykanom nowy bliżej nieokreślony kształt rzeczywistości. Być może zresztą niechęć do zmian, zrozumiała wobec gospodarczego i politycznego umocnienia się Ameryki, odegrała decydującą rolę w wyborach i Michael Dukakis, tak czy inaczej, niewiele mógł zdzielać.

DOKOŃCZENIE NA STR. 51

WYBORY W USA

THOMAS R. WOLANIN

Dlaczego Bush?

Wiceprezydent, republikanin George Bush i Dan Quayle, senator ze stanu Indiana, zostali wybrani prezydentem i wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych. Tandem Bush-Quayle zdobył 54% wszystkich głosów i 426 głosów elektorów. Ich konkurenci z Partii Demokratycznej, gubernator Michael Dukakis ze stanu Massachusetts i jego kandydat na stanowisko wiceprezydenta, senator Lloyd Bentsen z Teksasu zdobyli poparcie zaledwie 112 elektorów.

Liczba elektorów jest równa ilości senatorów i przedstawicieli w Izbie Reprezentantów w Kongresie i w ten sposób zasadniczo proporcjonalna do liczby ludności w poszczególnych stanach. Zdobywcy większości głosów elektorów zostają prezydentem i wiceprezydentem. I tak Bush z Quayle'em otrzymując poparcie 52% głosujących w Kalifornii zapewнили sobie głosy wszystkich 47 elektorów z tego stanu. W ten sposób Bush i Quayle, mimo iż poparło ich 54% wszystkich głosujących, zdobyli 79% głosów elektoralnych.

Z grubsza biorąc 40% głosujących w każdych wyborach prezydenckich opowiada się za kandydatem republikanów, drugie tyle zaś głosuje na faworyta demokratów po prostu z racji swojej przynależności partyjnej. Jakkolwiek kandydaci zużywają wiele energii na uzyskanie poparcia „należnych z urzędu” 40%, zasadnicza walka toczy się o pozostałe 20% niezdecydowanych. I właśnie te 20% głosujących przesądza od 50 lat o wyniku wyborów. To oni przede wszystkim reagują na programy wyborcze. Bush oparł swoją kampanię na czterech zasadniczych punktach.

Po pierwsze, dobrobyt i pokój. Większość głosujących osądza kandydatów na podstawie dokonania, nie zaś przedwyborczych obietnic. I jest w tym coś więcej niż cyniczny stosunek do wiarygodności obietnic polityków — to także trzeźwa konstatacja niepewności i niestałości dzisiejszego świata, w którym nawet najżarliwsza chęć spełnienia politycznych obietnic najczęściej spełza na ni-

czym. Poza tym ludzie wychodzą z założenia, iż przyszłość, bardziej niż cokolwiek innego, przypominać będzie przeszłość. Bush i republikanie zaproponowali wyborcom kontynuację osiągnięć administracji Reagana — życie w dobrobycie i pokoju. Bezrobocie osiągnęło poziom najniższy od 14 lat. Stany Zjednoczone przeżyły blisko 6 lat nieprzerwanego wzrostu gospodarczego. Inflacja i stopa oprocentowania kredytów utrzymywały się na relatywnie niskim poziomie. Ostatnie lata upłynęły bardziej pokojowo: doszło do spotkań na szczycie Reagan — Gorbaczow, podpisano porozumienie rozbrojeniowe, w ZSRS przedzierają się „pierestrojka” i „glasnost”, Sowieci wycofują się z Afganistanu i wszystko wskazuje na spadek napięcia w stosunkach amerykańsko-sowieckich. Iran i Irak negocjują układ pokojowy, co zmniejsza ryzyko dla floty amerykańskiej operującej w Zatoce Perskiej. Jak się wydaje, Ameryka Łacińska przestała być polem konfrontacji Wschód — Zachód i wszystko wróciło w tym regionie do normy, czyli tradycyjnych awantur między kacykami republik bananowych. Stosunki arabsko-izraelskie są beznadziejne, ale nie gorsze niż w przeszłości. Poza tym Ameryka, po inwazji na Grenadę i zbombardowaniu Kadhafiego, może znów kroczyć dumnie z podniesionym czołem.

Po drugie, Bush skorzystał nie tylko z osiągnięć Reagana. Tym, którzy układają staranne plany na przyszłość, zaofiarował kontynuację i stabilizację dotychczasowych osiągnięć. Nie słychać było o „rewolucji Busha”, porównywalnej do rewolucji przyobiecanej przez Reagana w 1981 roku. „Więcej tego samego” nie jest może zbyt inspirowaną wizją przyszłości, ale wystarczająco skutecznym chwytym wyborczym w czasach dobrej koniunktury. Poza tym zgadza się z naturalnym człowiekowi ciążeniem ku konserwatyzmowi i inercji.

Po trzecie, Bush przystroił nieco tę wizję przyszłości sloganem „Reaganizm z ludzką twa-

rzą”. W przemówieniu z okazji przyjęcia nominacji republikańskiej Bush oświadczył, iż pragnie wywołać „szlachetniejszego i życzliwszego ducha w narodzie” — przypuszczalnie szlachetniejszego i życzliwszego niż w czasach Reagana. W czasie kampanii wyborczej Bush wystąpił z umiarkowanymi propozycjami polepszenia opieki nad dziećmi, szkolnictwa, służby zdrowia i ochrony środowiska.

Po czwarte, Bushowi udało się negatywnie scharakteryzować Dukakisa jako społecznego i kulturalnego libertyna, nie rozumiejącego „przeciętnego” Amerykanina i nie mającego wielkiego pojęcia o sprawach obrony narodowej. Przylepił do Dukakisowi etykietę społecznego libertyna towarzyszył program telewizyjny, w którym pokazywano więźniów bez przerwy wchodzących i wychodzących z obrotowych drzwi więzienia, co miało sugerować, że Dukakis jest pobłażliwy dla przestępców i wypuści niebezpiecznych kryminalistów na złąbę niewinnych obywateli. Bushowi udało się także zdeprecjonować patriotyzm konkurenta poprzez nadanie rozgłosu sprzeciwowi, jaki zgłosił Dukakis wobec panującego w stanie Massachusetts prawa wymagającego od nauczycieli przewodzenia chórów studentów deklamujących przysięgę lojalności wobec amerykańskiej flagi. Zarzut ten połączono sprytnie z negatywnym stosunkiem Dukakis do rozwoju pewnych nowych rodzajów broni. Ów brzydki portret zaszkodził Dukakisowi najbardziej wśród „reagańskich demokratów” — przeciętnie zarabiających, głosujących tradycyjnie na demokratycznego kandydata. Gubernatorowi Massachusetts nie udało się „odbić” republikanom tych wyborców, co miało zasadniczy wpływ na przebieg głosowania.

Dukakis miał swój własny program obliczony na decydujące o wynikach wyborów 20% „niezdecydowanych”. Próbował wyciągnąć wnioski z cyklicznego charakteru amerykańskiej polityki wewnętrznej, gdzie co pewien czas, po okresie nicingerencji, konsolidacji i stabilności dochodzi do wzmoczonej aktywności rządu federalnego, która staje się motorem innowacji i zmian w społeczeństwie. Lata Reagana nie były okresem aktywności rządu federalnego. Właściwie taki okres przeżywała Ameryka po raz ostatni za czasów prezydentury Johnsona w połowie lat '60. W ten sposób, zgodnie z ruchem amerykańskiego zegara politycznego, Dukakis podjął kampanię na rzecz przyszłej „lepszej Ameryki”, przy czym rzeczoną poprawę pragnął osiągnąć zaktywizowaniem

działalności rządu, a wyborców zaagitować hasłem „Najlepsza z Ameryk dopiero przed nami”. Jaśniejsza przyszłość nastać miała dzięki szeregom inicjatyw rządowych. Dukakis przyrzekł: uwolnić od niepokoju o przyszłość wielu skromnie zarabiających Amerykanów; stworzyć „dobre miejsca pracy” dla rodzin, w których za czasów Reagana drugi małżonek chcąc zapewnić dotychczasowy standard zmuszony był podjąć pracę; zapewnić opiekę nad dziećmi pracujących matek, nieuleczalnie chorymi, osobami w podeszłym wieku; zapewnić wsparcie finansowe dla rodzin, których budżet został nadszarpanięty zwiększonymi opłatami za edukację dzieci; pomoc dla młodych rodzin, borykających się z problemami mieszkaniowymi. Ten program obliczony był na najbardziej dotknięte podwyżkami opłat klasy średnie i potencjalnie mógł zdobyć Dukakisowi wyborców spoza „żelaznej” bazy demokratów. Programowi temu przeciwstawił Bush „reaganizm z ludzką twarzą” proponując podjęcie inicjatyw na podobnych polach w ten sposób, iż programy obu pretendentów wydawały się być różnymi drogami do osiągnięcia tego samego celu. Bush obiecywał także jaśniejszą przyszłość klasom średnim, pretretując Dukakisa jako orędownika spraw i wartości nie mieszczących się w głównym nurcie aktualnych trosk i problemów Amerykanów, takich jak wzrost przestępczości, stosunek do kary śmierci, modlitwy w szkołach, poddanie ścisłej kontroli posiadaczy broni palnej, usuwanie ciąży i sposób manifestowania patriotyzmu.

W ostatnich tygodniach kampanii Dukakis określił się jako „stojący po twojej stronie” — stronie przeciętnego, zwykłego Amerykanina, co miało odróżnić go od Busha, trzymającego z bogatymi. Zasugerowanie podziąku: Dukakis — kandydat „nieposiadających” i Bush — kandydat „posiadających”, pozwoliło gubernatorowi Massachusetts zdobyć poparcie „lojalistów” demokratycznych. 83% demokratów głosowało na Dukakisa, podobnie jak większość wyborców o niskich dochodach i wykształceniu, Murzyni i kobiety. Jednak program Dukakisa nie zjednał mu większości, ponieważ w Ameryce nie ma wystarczająco wielu „nieposiadających”, a też, co smutne, tych, którzy przejmują się losem biedniejszych.

W skrócie: głosujący — stając przed wyborem między przedłużeniem względnie dobrego okresu gospodarczej prosperity i pokoju a szansą na możliwość jeszcze lepszej przyszłości, opowiedzieli się za nie przedstawiającą większego ryzyka

kontynuacją *status quo*. Bardzo ciężko pozyskać głosy obietnicami, proponując w bliskiej przyszłości zasadnicze zmiany, gdy wyborcy żyją w względnie beztrudniejszej teraźniejszości. Jak to wyraził jeden z przywódców demokratycznych, Joe Miedusiewski z Baltimore w stanie Maryland „bardzo trudno »sprzedać« wyborcom program zmian, gdy chleb jest na stole, a gotówka w kieszeni”.

W 1984 r. 77% ankietowanych wyborców uznało politykę gospodarczą i zagraniczną państwa za najistotniejszy problem stojący przed przyszłą administracją. W tym roku w podobny sposób wypowiedziało się tylko 35% ankietowanych, a dla zaledwie 8% polityka zagraniczna USA była kwestią istotną. Większość wyborców utraciła zainteresowanie dla problemów gospodarczych i kształtu przyszłej polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Na czoło wysunęła się walka z narkotykami i przestępczością.

Na wybór Busha wpływ miały także inne, dość specyficzne czynniki. Bush przystąpił do kampanii wyborczej w pewnym sensie obciążony konsekwencjami sprawowania urzędu wiceprezydenta. Z drugiej strony jednak dla wyborcy był naturalnym spadkobiercą schedy po niesłuchanie popularnym Reaganie, który udzielił Bushowi maksimum poparcia. Robił to początkowo bardzo dyskretnie, co pozwoliło wiceprezydentowi wyłonić się z cienia prezydenta i to w dodatku z jego błogosławieństwem — Bush był „człowiekiem Reagana”. Prezydent pod koniec kampanii coraz bardziej zdecydowanie i energicznie orędowną za Bushem, zwłaszcza w kluczowych dla rezultatu wyborów stanach (np. w Kalifornii, gdzie Reagan przez lata sprawował urząd gubernatora).

Bush na wiceprezydenckiego kandydata wybrał 41-letniego senatora Dana Quayle'a, co, jak się wydaje, „nie było zbyt głęboko przemyślaną decyzją. Danowi Quayle'owi zarzucano „wykreślenie się” od czynnej służby wojskowej w czasie wojny w Wietnamie przy pomocy wpływowej rodziny (Quayle odbył służbę wojskową na terenie USA). Poza tym osiągnięcia Quayle'a w czasie studiów, jak i na forum Senatu były przeciętne. Bush starał się zminimalizować negatywne skutki swej lekkomyślnej decyzji poprzez ograniczenie kampanii Quayle'a do kilku mało istotnych miasteczek wkładając mu do ust zdawkowe i starannie przygotowane słowa. Jakkolwiek świadomość, że Quayle może znaleźć się o krok od fotela prezydenckiego przerażała wyborców, to jednak, co po-

twierdziły sondaże, większość z nich wyszła z założenia, że przecież głosują przede wszystkim na prezydenta, nie zaś na jego zastępcę.

Ale i Dukakis popełnił wiele omyłek, które przyczyniły się do jego porażki. Kardynalnym błędem okazało się pozostawienie zarzutów Busha o „libertynizm” i brak orientacji w kwestiach obronności kraju przez dłuższy czas praktycznie bez odpowiedzi. Po konwencji Partii Demokratycznej Dukakis wywarł generalnie pozytywne wrażenie na wyborcach, którzy jednak nie wiedzieli o nim zbyt wiele. W tę lukę informacyjną wdarł się Bush portretując swego konkurenta w bardzo ciemnych barwach. Dukakisowi pozostało więc jedynie retuszowanie fatalnego portretu, a jak nie trudno się domyśleć, nie zdołał wywabić wszystkich plam.

Poza tym Dukakis nie posiada umiejętności nawiązywania kontaktu z tłumem. Tak więc nie udało mu się przekonać wyborców co do programu uaktywnienia działalności rządu federalnego. Być może Dukakis dysponował towarem chodliwym i dobrej jakości, jednak okazał się fatalnym sprzedawcą.

Takie właśnie opinie wyrażali „polityczni eksperci” po zakończeniu kampanii, w przeddzień wyborów, których wynik był dla wszystkich przesądzony, odpowiadając na pytanie: co winien był zrobić Dukakis, by wygrać wybory. Z drugiej jednak strony Dukakis nie mógł zrobić sobie transfuzji z krasomówstwa Demostenesa i charyzmy Achillesa, więc rozważania te pozostają jałowe. Warto jednak zwrócić uwagę, że 112 głosów elektorskich, jakie otrzymał Dukakis, to drugi najlepszy rezultat uzyskany przez kandydata demokratów w ostatnich 5 wyborach prezydenckich (poza zwycięstwem Cartera nad Fordem w 1976 r.).

George Bush zostanie zaprzysiężony 20 stycznia przyszłego roku. Wszyscy są zgodni co do tego, że deficyt w budżecie federalnym będzie największym problemem nowego lokatora Białego Domu. Zadłużenie administracji w czasie prezydentury Reagana powiększało się rocznie o 100 do 200 mld \$. Roczna obsługa tego zadłużenia kosztuje 151 mld \$, co stanowi 14% budżetu federalnego. Ani Bush ani Dukakis nie przedstawili przekonywującego programu wyjścia z trudnej sytuacji. W tej kwestii Bush oświadczył jedynie: „żadnych nowych podatków”. Poza tym program wyborczy Busha nie zawierał żadnych istotnych propozycji co do rozwiązania problemów mieszkaniowych, rosnących kosztów edukacji, pomocy

ludziom bezdomnym, skutecznej walki z narkomanią, „uzdrowienia” służby zdrowia i efektywniejszej ochrony środowiska. Jeśli chodzi o kształt polityki zagranicznej USA hasło „pokój poprzez siłę” też niczego nie wyjaśnia. A przyszłość będzie wymagać od prezydenta odpowiedzi na wiele trudnych i wyzywających pytań, jak choćby następujące: Jak powinny zareagować Stany Zjednoczone na postępującą integrację gospodarczą Europy Zachodniej? W jaki sposób Ameryka może wpłynąć na gospodarczą i polityczną „modernizację” takich krajów Europy Wschodniej, jak Polska w czasie, gdy na Kremlu rządzi Gorbaczow? Czy Stany Zjednoczone i ich sojusznicy winni popierać „pierestrojkę” w Związku?

Poza tym w obu Izbach Kongresu nieznaczna przewagę mają demokraci, a Bushowi, w odróżnieniu od Reagana w 1980 r., nie udało się wprowadzić tam kohorty swoich republikańskich popleczników. Ponadto demokraci są zdania, że ataki Busha na Dukakisa w czasie kampanii wyborczej były nieuczciwe i jest wątpliwe, czy zwykle ofiarowywany nowo wybranemu prezydentowi „miodowy miesiąc” spokoju i kredytu zaufania będzie trwał dostatecznie długo. Można więc przypuszczać, że administracja Busha realizować będzie bardzo umiarkowany program, i to bardzo ostrożnie.

(tłum. z j. ang. Piotr Kowalczyk)

DOKOŃCZENIE ZE STR. 47

Trudno przewidzieć, jakim prezydentem będzie George Bush. Nie jest on, jak się wydaje politykiem tego formatu co Ronald Reagan. W odróżnieniu od swego byłego szefa nie ma bliżej sprecyzowanej koncepcji działania Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej ani nie ma zamiaru forsowania nowych inicjatyw gospodarczych. Wydaje się, że stawia on przede wszystkim na zarządzanie schedą po Reaganie.

Po konwencji partii republikańskiej w Nowym Orleanie George Bush zaczął co prawda stopniowo, uniezależniać się od odchodzącego prezydenta, ale można przypuszczać, że pomimo tego pozostanie wierny reaganowskiej filozofii politycznej i uznawanej przez Reagana hierarchii wartości. Niektóre procesy zainicjowane przez prezydenta Reagana będą zresztą trwały w związku z pewną ciągłością polityczną, istniejącą w państwach demokratycznych pomimo zmiany ekip rządzących. Inne — uruchomione zostaną z pewnością przez nową administrację w reakcji na zmienny bieg rzeczy w Ameryce i na świecie. Ostatecznie na kształt polityki amerykańskiej wpływają nie tylko prezydenci, ale także procesy i wydarzenia zupełnie od nich niezależne.

Do Przewodniczącego Towarzystwa „Solidarność”

Geflerstr. 10
D-1000 Berlin 62

Proszę o przyjęcie mnie do Towarzystwa
„Solidarność” jako członka wspierającego.

Imię i nazwisko:

Adres:

Deklaruję roczną składkę w wysokości DM

....., dnia

Podpis

KOHL W MOSKWIE

ANDRZEJ WIRECKI

Zbliżenie?

Wizyta kanclerza Republiki Federalnej Niemiec w Moskwie była długo i starannie przygotowywana. Poprzedziły ją w ubiegłych latach liczne kontakty polityków obu krajów, łącznie z symboliczną wizytą Straussa w Sowietach. Rozpatrując znaczenie ostatniego spotkania w Moskwie, należy zwrócić uwagę, że w ostatnim okresie — co najmniej od pięciu lat — wzrasta systematycznie znaczenie RFN na arenie międzynarodowej. Republika Federalna już dawno przestała być określana jako ekonomiczny olbrzym i polityczny karzeł. Właśnie niemieccy politycy zdają się w ostatnim czasie odgrywać wiodącą rolę na scenie europejskiej. Od nich też — oraz od Rosjan — będzie najprawdopodobniej zależeć przyszłość kontynentu. Osią tej gry politycznej jest oczywiście stale powracająca „kwestia niemiecka”, czyli problem dokonanego w jakiejś formie zjednoczenia obu państw niemieckich.

Kohl jadąc do Moskwy z przygotowaniem apelem o zjednoczenie Niemiec musiał być świadom jednoznacznie negatywnej odpowiedzi. Jeżeli więc ten apel wygłosił, oznacza to, że w obecnym układzie sił w Europie politycy niemieccy uznali, że jest to moment dogodny do ponownego wprowadzenia tej kwestii. Toteż niezależnie od sowieckiej reakcji samo jej postawienie należy uznać za fakt o istotnej — zwłaszcza dla Polaków — doniosłości. Jest to zarazem wyeksponowanie na arenie międzynarodowej jednego z podstawowych celów wyznaczających przyszłość aktywności niemieckiej.

Strona niemiecka ma dość istotne argumenty mogące tę aktywność podbudować. W obecnej sytuacji Sowietów, gdy Gorbaczow musi uczynić wszystko co możliwe, by wydobyć kraj z zapaści gospodarczej, argumenty finansowe mają wymowę niezwykle silną. Trzy miliardy marek kredytów, z którymi pojawił się w Moskwie Kohl, zdają się być tylko zapowiedzią intensyfikacji wzajemnych stosunków gospodarczych: dla Niemców So-

wiety są wielkim rynkiem do opanowania, zarazem też ewentualnym, potężnym źródłem surowcowym. Racje ma, jak się zdaje, Leopold Unger, gdy twierdzi, że „mały plan Marshalla”, który Włosi próbowali skonstruować dla Europy Wschodniej, w całości skierowany zostanie do Sowietów. Niemcy wyraźnie wysunęli się tu na pierwsze miejsce, co też i wzmacnia ich pozycję polityczną.

Kohl bez protestu przyjął oświadczenie Gorbaczowa o konieczności współpracy państw różnych bloków w uśmierzaniu konfliktów lokalnych, a w każdym razie o konieczności powstrzymania się od prób wykorzystywania takich konfliktów w obozie przeciwnym. W „kwestii polskiej” oznacza to, że Niemcy nie zamierzają w jakikolwiek sposób interweniować czy to politycznie, czy np. ekonomicznie w „wewnętrzne sprawy” krajów komunistycznych, co być może świadczy o konsekwencji politycznej, lecz zarazem oznacza, że najważniejszy partner Sowietów w Europie w istocie dystansuje się od zagadnienia praw człowieka. Być może właśnie w nagrodę za to Kohl usłyszał, że Sowietci zamierzają do końca roku zwolnić wszystkich więźniów politycznych.

Wstrzemięźliwość niemiecka bez wątpienia budzi najwyższe uczucia ich sowieckiego partnera, rzutuje na perspektywę przyszłości Europy, o której wiele się ostatnio dyskutuje. Wygląda na to, że zamiast marzeń o zjednoczonej Europie równoprawnych i suwerennych państw czeka nas Europa dwóch politycznych centrów — w Moskwie i w Bonn. Nie ma tu oczywiście powodów do specjalnej rozpacz, niemniej w tym układzie sił, jaki zaczyna się zarysowywać „sprawa polska” wyraźnie traci na wadze i znaczeniu, schodzi na plan dalszy. Być może jednak należy z wnioskami ostatecznymi zaczekać do zapowiadanej wizyty Kohla w Warszawie.

JUGOSŁAWIA

WIKTOR GROTOVICZ

Kocioł nr 2

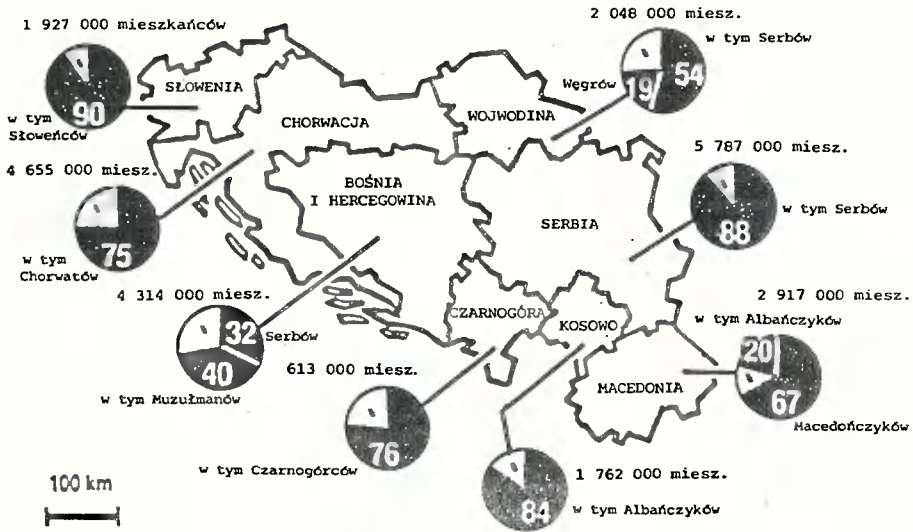
O nieuchronności rozpadu komunizmu świadczy przede wszystkim zupełna bezradność komunistycznych władców, którzy z niemym zdziwieniem wpatrują się w walące się budowle najlepszego z ustrojów. Mechanizmy ideologiczne od zawsze hamowały ewentualne możliwe jeszcze do przeprowadzenia zmiany. Dzisiaj kryzys osiągnął takie rozmiary, iż ideologię odstawiono do kąta i zaczęto rozglądać się za tak wrogimi pojęciami jak mechanizmy rynkowe, własność prywatna czy zagraniczne kapitały. System komunistyczny zżerany jest przez dwa wirusy: niedowład gospodarczy oraz budzącą się świadomość narodową uciskanych społeczeństw. Obecne ogniska zapalne w obozie to: kocioł armeński, litewski, węgiersko-rumuński oraz najbardziej groźny: jugosłowiański.

Jugosławia jest jednym z lepszych przykładów na tak zwaną regulację kwestii narodowościowych. Coraz bardziej krytykowany (przede wszystkim we własnym kraju) Tito ustanowił po wojnie federację narodów wchodzących w skład dzisiejszej Jugosławii. Usiłował utrzymać sześć republik federacyjnych (Serbia, Chorwacja, Słowenia, Bośnia-Hercegowina, Macedonia, Czarnogóra) w miarę stabilnej równowadze. Jednak te w przeszłości więcej niż nieprzyjazne sobie narody włączone w sztuczną równowagę i internacjonalistyczną przyjaźń nigdy nie pogodziły się z tą narzuconą im z góry sytuacją. Nie po raz pierwszy okazało się, iż odgórne sterowanie losami narodów jest skuteczne jedynie na krótką metę. Największym problemem dla Chorwata Tity byli Serbowie. Ten najliczniejszy naród całej jugosłowiańskiej federacji od zawsze stanowił najbardziej wybuchowy element mieszanki. Nacjonalistyczne ciągoty Serbów Tito starał się neutralizować przede wszystkim poprzez utworzenie dwu autonomicznych regionów z terenów należących przed drugą wojną światową do Serbii.

Wojwodina i Kosowo otrzymały status okręgów z ograniczoną autonomią, której zasięg został poszerzony w roku 1974 dzięki zmianom w konstytucji przeprowadzonym na żądanie Tity. Te poczynania nie wynikały rzecz jasna jedynie z obawy przed waśniami narodowościowymi, ale przede wszystkim z obawy przed wzrostem znaczenia innego partyjnego ośrodka (frakcji) – w tym przypadku wierzchołka partii komunistycznej Serbii. W roku 1988 wszystkie lęki Tity okazały się jak najbardziej słuszne: w kotle jugosłowiańskim zagotowało się z całej siły, a głównym sprawcą utrzymującego się już od paru miesięcy napięcia stali się Serbowie.

Kiedy zabrakło silnej ręki, a przede wszystkim autorytetu Josifa Broz Tito, Jugosławia, niegdyś chlubny wyjątek obozu komunistycznego, stała się dziś do poziomu zubożałego państwa. Obecnie inflacja w skali rocznej przekroczyła 200%, liczba bezrobotnych wynosi 1,3 miliona, prawie połowa społeczeństwa żyje na granicy nędzy, a dług zagraniczny powoli zbliża się do 21 miliardów dolarów. Jednak główną przyczyną niepokojów w Jugosławii są niesnaski narodowościowe. Serbowie w licznych demonstracjach żądają jednego: ponownych zmian w konstytucji anulujących autonomię Kosowa i Wojwodiny. Człowiekiem, który ukierunkowuje i wykorzystuje te tendencje nacjonalistyczne, jest szef serbskich komunistów Slobodan Milošević. Ów 47-letni były wykładowca nauk politycznych jest obecnie według innych komunistów z kierowniczego grona partii największym zagrożeniem dla Jugosławii od drugiej wojny światowej. Słoweński dziennik *Delo* porównał Miloševica do Hitlera i Mussoliniego zarzucając mu „stosowanie faszystowskich metod”.

I rzeczywiście, metody używane przez szefa komunistów Serbii nie są zbyt wybredne. W swoich demagogicznych przemówieniach podkręca on nacjonalistyczne nastroje Serbów, szerząc



kłamstwa i pomówienia o innych narodach Jugosławii, a przede wszystkim o Albańczykach, zamieszkujących owe dwa autonomiczne regiony. Kosowo leżące na południu Serbii jest najbardziej niebezpiecznym regionem Jugosławii i przez to najłatwiejszym obiektem ataków Miloševica. Albańczycy w Kosowie stanowią 87% ludności, Serbowie — jedynie 10%. W swoich przemówieniach do narodu serbskiego Milošević nieustannie oskarża albańską większość o dyskryminowanie Serbów w tym regionie oraz zamiar oderwania Kosowa od Jugosławii i przyłączenia go do sąsiedniej Albanii. Argumenty te znakomicie trafiają nie tylko do Serbów, ale również do Albańczyków. Na początku października w Kosowie po obu stronach konfliktu zaczęły spontanicznie powstawać grupy samoobrony, mające chronić interesy narodowe Serbów, względnie Albańczyków.

Podobną argumentację stosuje Milošević w stosunku do Wojwodiny i chociaż Serbowie stanowią w tym regionie zdecydowaną większość (54%) wśród 24 nacji, nie przeszkadza to ich przywódcy opowiadać o ucisku, jakiemu podlegają tam jego rodacy. W przemówieniach Miloševica nie brakuje również sztandarowego argumentu: za granicą istnieją ośrodki starające się oderwać niektóre regiony od Jugosławii. Chodzi tu zapewne o Węgry i Albanie, które wyraziły ostatnio

obawy o zdrowie i życie Węgrów i Albańczyków mieszkających na terenie owych dwóch autonomicznych regionów.

U siebie w domu Milošević w ciągu niewiele miesięcy „wyczyścił” partyjny aparat Serbii z „elementów niepewnych”. Także z gazet, radia i telewizji zniknęli krytycznie nastawieni do nowego trendu dziennikarze. Kto jest przeciwko Miloševićowi, ten jest zdrajcą, jako że przeciwstawia się „głosowi narodu”. Jedynym prawdziwym patriotą jest bowiem Milošević, a kto w to powątpiewa, ten automatycznie zaliczony zostaje do wrogów całej Serbii. Argumentacja równie prosta jak skuteczna.

Oczywiście z konfliktu tego nie są wyłączone pozostałe narody Jugosławii. Najgroźniejszym przeciwnikiem Miloševica są Słowenicy. Mieszkańcy tego najbardziej rozwiniętego pod względem gospodarczym i społecznym regionu w ideach Miloševica widzą nie tylko zagrożenia dla innych narodowości Jugosławii, ale także zastopowanie reformy potrzebnych całemu krajowi. Milošević jest bowiem (jakże by inaczej) zwolennikiem wychodzenia z kryzysu za pomocą odgórnie wysyłanych zaleceń i ścisłej kontroli ich wykonywania. Przywódcy Słowenii natomiast jedyne realne wyjście widzą w większej samodzielności gospodarczej poszczególnych regionów, rozluźnieniu

gorsetu podatkowego (jednolitego dla wszystkich republik) oraz w większym udziale władz regionalnych w rządzeniu krajem (między innymi w wojsku). Także Chorwacja i Bośnia-Hercegowina w polityce Miloševica widzą zagrożenie własnej niezależności. W przypadku zniesienia autonomii Kosowa i Wojwodiny i przyłączenia ich do Serbii jej terytorium zwiększyłoby się o jedną trzecią. Proporcjonalnie wzrosłaby też zapewne jego władza. Z tego też powodu na przykład władze Bośni-Hercegowiny nie pozwoliły na demonstracje Serbów na swoim terenie. Poprawę własnej sytuacji natomiast wiąże z polityką Miloševica biedniejsze regiony Jugosławii: Macedonia i Czarnogóra, dla których ściślejszy związek z zamożniejszą Serbią stanowić może nadzieję na wyjście z zapaści ekonomicznej.

Najciekawsze w tym wszystkim jest zachowanie się władz centralnych Jugosławii. Tutaj także doszły do głosu sentymenty narodowościowe oraz tarcia związane z walką o władzę. Ani prezydium całej partii komunistycznej Jugosławii, ani rząd nie przeciwstawiły się jednoznacznie nacjonalistycznym ciągotom Miloševica. Premier kraju Mikulić jako odpowiedzialny za ostatnie gospodarce niepowodzenia Jugosławii, nie miał odwagi przeciwstawić się wielkoserbskim wizjom Miloševica. Poza tym nie pałał on zbyt wielką sympatią do jego głównych przeciwników: to właśnie przedstawiciele Słowenii i Chorwacji wysunęli w parlamencie votum nieufności wobec rządu Mikulića. Prezydent kraju Raif Disdarević zdobył się jedynie na pełne troski przemówienie do narodów, w którym ostrzegwał przed nacjonalistycznymi tendencjami.

W międzyczasie sytuacja w całej Jugosławii zaczęła się niebezpiecznie zaostrzać. Pod naciskiem Serbów prezydium partii w Wojwodinie złożyło rezygnację. Zaczął zwiększać się nacisk na władze Kosowa. W połowie października w stolicy Czarnogóry, Titogradzie, doszło do zamieszek ulicznych zakończonych interwencją milicji. Ponad 30 tys. Serbów próbowało zająć budynek parlamentu Czarnogóry. Milicja rozproszyła demonstrantów. Po kraju zaczęły krążyć pogłoski o przygotowywanym puczu wojskowym (w kierownictwie armii jugosłowiańskiej przeważają Serbowie).

Poza tym tęsknoty Miloševica za rządami silnej ręki bardziej odpowiadały wojskowym niż na przykład próby wprowadzania elementów pluralizmu w Słowenii. W tej atmosferze odbyło się po-

siedzenie Komitetu Centralnego Związku Komunistów Jugosławii. Przewidywano, iż Miloševicowi uda się przymusić własne żądania, czego ubocznym skutkiem byłaby szeroko zakrojona czystka w centralnych władzach partii komunistycznej Jugosławii.

Przypuszczano, iż zmieni się przynajmniej jedna czwarta składu Komitetu Centralnego. Miloševic ustanowił nawet listę polityków jugosłowiańskich, których należy odsunąć od władzy, za brak patriotyzmu, czyli odmowę poparcia żądań Serbii. Na liście zdrajców znalazł się między innymi były minister spraw zagranicznych Jugosławii, Josip Vrhovec (Chorwat), który publicznie odważył się nazwać metody Miloševica faszystowskimi.

Obradujący przez trzy dni Komitet Centralny komunistów jugosłowiańskich nie poparł żądań Miloševica. Nie oznacza to jednak, jak usiłowała to przedstawić prasa zachodnia, iż Komitet Centralny Jugosławii jest siedliskiem liberałów, którym obce są wszelkie nacjonalistyczne tendencje (FAZ nazwała Komitet Centralny Jugosławii „najbardziej otwartym organem władzy” w tym kraju). Do głosu doszły po prostu: obawa przed podjęciem radykalniejszych decyzji, jak również strach przed ewentualną czystką, tak gromko zapowiadaną przez Miloševica. Komitet Centralny Jugosławii nie poparł, ale także nie potępił metod Miloševica. W trakcie posiedzeń wyłano rzekę słów na temat świetlanej przeszłości Jugosławii, pozostawiając problemy teraźniejszości i przyszłości na później. Kiedy nadejść ma owa przyszłość, na razie nie wiadomo (problemy gospodarce kraju mają być dyskutowane w listopadzie tego roku).

W tak zakończonym posiedzeniu centralnych władz partyjnych Jugosławii wielu obserwatorów widziało klęskę Miloševica. Nic bardziej złudnego. Nastrojów nacjonalistycznych nie da się uśmierzyć jednym (nawet trzydniowym) gadaniem przy stole na temat zdarzeń przeszłych i zupełnie nieaktualnych. Miloševic szykuje się zapewne do następnej batalii o prawdziwy patriotyzm, a Słowacy, Chorwaci i inne narody Jugosławii z niepokojem patrzą na coraz bardziej gniewne twarze swoich serbskich braci.

Poza tym kociół jugosłowiański wrze nadal i jest raczej mało prawdopodobne, iż poprzez zwykłe podniesienie pokrywki można będzie bezpiecznie upuścić nagromadzoną tam energię. ■

KRYSTYNA GRZYBOWSKA

Katechizm sowieckiego turysty

„Pieriestrojka i głośność” w Związku Radzieckim nie zawsze idą w parze, aczkolwiek oba te zjawiska dają się od czasu do czasu zauważyć. Mam przed sobą dokument, który świadczy o kroku naprzód w dziedzinie przebudowy ale z głośnością nie ma nic wspólnego. Są to „Ogólne zasady zachowania się radzieckich obywateli wyjeżdżających czasowo »w sprawach prywatnych« do krajów kapitalistycznych i rozwijających się”. Dokument ten jest poufny i nosi nagłówek „nie podlega rozpowszechnianiu”. Zatem można wnosić, że są jacyś obywatele w ZSRR, którzy wyjeżdżają do krajów kapitalistycznych prywatnie, ale ich wyjazdy są ściśle tajne.

Lektura ogólnych zasad jest niezwykle interesująca i pouczająca, pokazuje bowiem między innymi, że człowiek radziecki sam z siebie nie wie właściwie, jak się ma zachować w kraju kapitalistycznym lub rozwijającym się, jeśli pozostaje bez opieki i w związku z tym należy mu w ramach zasad ogólnych bardzo szczegółowo objaśnić, co mu wolno robić, a czego nie wolno, aby nie naruszył zasad moralności, i to nie jakiejś tam zwykłej moralności, ale moralności komunisty. Oto najpiękniejsze fragmenty katechizmu prywatnego turysty radzieckiego, które czytelnika polskiego zapewne nie tylko rozbawią ale i zdziwią.

— *Obywatele radzieccy wyjeżdżający »w sprawach prywatnych« do krajów kapitalistycznych i rozwijających się, przebywając za granicą winni wysoko dzierżyć honor i godność obywatela ZSRR, przestrzegać zasad kodeksu moralnego budowniczego komunizmu, być nieskazalnymi w osobistym zachowaniu się, nie zdradzać tajemnic państwowych.*

— *Obywatele radzieccy powinni zachowywać się w taki sposób, aby nie zostali wykorzystani przez wywiady zagraniczne. Równocześnie jednak obywatele radzieccy znajdujący się za granicą nie mogą być zamknięci w sobie. Rozsądna towarzyskość ludzi radzieckich w połączeniu z ogromną*

czujnością to niezbędne warunki prawidłowego zachowania się ludzi radzieckich za granicą.

To była próbka wskazówek moralno-politycznych. Teraz przejdziemy do nakazów i zakazów.

— *W przypadku rewizji osobistej przez organa graniczne i celne, nie popadając w konflikt, należy zgłosić ustny protest. Podczas rewizji baczyć, aby nie podrzucone zostały w celach prowokacyjnych jakieś dokumenty lub materiały.*

— *W czasie podróży do miejsca przeznaczenia, w pociągu, na statku i w samolocie w towarzystwie nieznajomych, należy zachowywać się uprzejmie i nienagannie, przejawiając przy tym niezbędną czujność. W przypadku, jeżeli w przedziale sypialnym znajduje się osoba odmiennej płci, postarać się o zamianę przedziału.*

Podczas przebywania za granicą obywatelom radzieckim zabrania się kategorycznie:

— *odwiedzać kawiarnie lub restauracje, w których spotykają się członkowie wszelkich emigracyjnych, reakcyjnych i innych antyradzieckich organizacji, a także uczestniczyć w demonstracjach, wiecach i zebraniach, w tym także partii komunistycznych;*

— *odwiedzać rejony kraju zamknięte dla cudzoziemców;*

— *przechowywać osobiste zasoby pieniężne w zagranicznych bankach, uczestniczyć w loteriach itp.;*

— *sprzedawać lub wymieniać wywiezione za granicę przedmioty;*

— *przechowywać zagraniczną komunistyczną literaturę i gazety;*

— *brać ze sobą przy powrocie do kraju przesyłki i listy od cudzoziemców dla osób mieszkających w ZSRR;*

— *Podczas przebywania za granicą zabrania się kategorycznie zgłaszania ustnej lub pisemnej zgody na wykonywanie jakiejkolwiek pracy, zabrania się występować publicznie na zebraniach, wie-*

cach, w radio i telewizji, w procesach sądowych, uczestniczyć w konferencjach itd. O wszelkich propozycjach tego typu obywatele radzieccy obowiązani są poinformować radziecką ambasadę lub konsulat i postępować zgodnie z ich instrukcjami;

— Zabrania się kategorycznie pojawiania się w miejscach publicznych w stanie nietrzeźwym, odwiedzać kluby nocne, kabarety i inne miejsca wątpliwych rozrywek a także brać udział w grach hazardowych;

— W przypadku komplikacji w stosunkach z cudzoziemcami a także wezwania na policję lub przez jakąś inną instytucję danego kraju należy niezwłocznie zawiadomić o tym konsula lub ambasadora;

— W przypadku popełnienia przez obywatela radzieckiego jakiegoś błędu w zachowaniu, nie powinien on tego ukrywać i niezwłocznie zawiadomić o wypadku radziecką ambasadę lub konsulat;

— W razie zatrzymania i doprowadzenia na policję człowiek radziecki nie okazując zakłopotania winien żądać wezwania przedstawiciela radzieckiej ambasady lub konsulatu. Bez obecności przedstawiciela ambasady lub konsulatu nie należy odpowiadać na pytania, podpisywać jakichkolwiek protokołów, dokumentów, nie poddawać się groźbom i zastraszeniom;

— We wszystkich przypadkach napaści i oszczerstw skierowanych przeciwko Związkowi Radzieckiemu, niezależnie od tego gdzie miały one miejsce (na ulicy, w sklepie, tearrze, kinie i innych miejscach), nieodzwonne jest zawiadomić o tym radziecką ambasadę lub konsulat. W przypadku, kiedy takie napaści i oszczerstwa zostaną skierowane bezpośrednio do obywatela radzieckiego, to powinien on, nie pozwalając sobie na porywczosć, dać właściwy odpór, a jeżeli jest to konieczne, wnieść protest, a także zawiadomić radziecką ambasadę lub konsulat;

— Czyniąc zakupy, nie powinni obywatele radzieccy tracić miary i wycucia i osobistej godności, ale pamiętać, że na podstawie ich zachowania oceniani będą wszyscy obywatele ZSRR.

Dokument pt. „Ogólne zasady zachowania się obywateli radzieckich wyjeżdżających czasowo w sprawach prywatnych do krajów kapitalistycznych i rozwijających się” zawiera wiele innych szczegółowych wskazówek, nie ma jednak ani jednego punktu, który mówiłby o tym, co człowiekowi radzieckiemu wolno robić za granicą. Wiadomo, czego nie wolno, czego nie powinno się i czego się kategorycznie zabrania. Mnie np. inte-

resuje dylemat, w jaki sposób obywatel radziecki może dowiedzieć się, że w jakiejś kawiarni zbierają się członkowie organizacji emigracyjnej. Czy po wejściu do tejże po prostu pyta: Czy tutaj zbierają się emigranci i inni członkowie antyradzieckich organizacji? Albo np. człowiek radziecki popełnił błąd i w stanie nietrzeźwym odwiedził klub nocny, w którym postawił rubla w ruletce. To on na drugi dzień dzwoni do ambasady i mówi, że było tak i tak i że on zbłądził. To znaczy, że on na siebie donosi. A czujność w pociągu, na statku i w samolocie? Człowiek radziecki przechadza się chyłkiem po pokładzie i typie czujnie okiem czy mu ktoś nie podrzuci antykomunistycznej gazety albo nie zmusi do współpracy z obcym wywiadem.

Po siedemdziesięciu latach wychowania komunistycznego wszystko jest możliwe. I donos na samego siebie i kradzież w domu towarowym, co w dokumencie zostało zastąpione miłym eufemizmem: utracenia miary i wycucia. Dlatego też obywatel ZSRR musi dokładnie wiedzieć, na czym polega przyzwoite zachowanie w kraju kapitalistycznym lub rozwijającym się, jest ono bowiem inne niż przyzwoite prowadzenie się w ojczyźnie. Gdyby tak nie było, na co komu ogólne przepisy i zasady wydawane w ograniczonej ilości egzemplarzy i do tego tajne.

Mieszkam na Zachodzie od blisko sześciu lat i jak dotąd nie udało mi się spotkać indywidualnego radzieckiego turysty. I wiem dlaczego. On bowiem przemyka się chyłkiem wieczorową porą na trasie hotel — konsulat lub ambasada. Jest tym tak zajęty, że nie ma czasu na żadne błędy i potknięcia, chyba że po drodze napotka jakiś dom towarowy.

Obok pieriestrojki w dziedzinie turystyki prywatnej obserwuje się pieriestrojkę także w dziedzinie wymiany informacji z zagranicą. Niedawno środki masowego przekazu RFN doniosły o wydawaniu organu SPD *Vorwärts* w Związku Radzieckim. Nakład: 20 tys. egzemplarzy. Wiadomość tę podawano kilkakrotnie podkreślając postęp w dziedzinie głośności i pieriestrojki. *Vorwärts* nie jest jedynym czasopismem zagranicznym i do tego kapitalistycznym, mającym debit w ZSRR. Obywatele radzieccy mają pełne prawo zaprenumerować sobie jedno z takich pism. Oto list czytelnika do pisma *Glasnost* ukazującego się w Moskwie poza zasięgiem cenzury:

„U nas w Nowosybirsku już od kilku lat można prenumerować radzieckie czasopisma bez ograniczeń. Ale mnie interesowała także prenu-

merata pism zagranicznych. Dlatego też w pierwszym dniu ogłoszonej prenumeraty na początku zeszłego roku, aby się nie spóźnić i nie znaleźć poza limitem, udałem się na pocztę główną i przejrzałem katalog czasopism zagranicznych. Zdecydowałem się na trzy zagraniczne, podkreślone czarną linią (dowód, że są limitowane), pisma *Ameryka*, *Anglia* i *Guten Tag*, a także na dwa nieilustrowane — *Międzynarodowa Polityka* — pismo jugosłowiańskie i gazetę chińską *Peking Revue* (po angielsku). Zadowolony, że przyszedłem jako pierwszy, wypełniłem odpowiednie papiery i podszedłem do okienka z napisem: »Tu przyjmuje się prenumeratę«.

Miła panienska spojrzała na mnie ze zdziwieniem, oddała z powrotem pieniądze i wszystkie papierki, mówiąc, że na te wydawnictwa można podpisać prenumeratę wyłącznie w oddziale »Sojuzpieczatki«. Nie tracąc czasu udałem się natychmiast do miejskiej agencji, która na szczęście mieści się obok. Bez czekania zostałem przyjęty przez naczelnika, czterdziestoletniego mężczyznę o imponującym wyglądzie. W sprawie trzech pierwszych czasopism powiedział, że »Sojuzpieczatka« nie ma z nimi nic wspólnego, cały nakład rozprowadzany jest przez wydział agitacji i propagandy obwodowego komitetu partii: »Jeśli macie plecy choćby na poziomie rejonu, spróbujcie«. Pleców nie mam. Jeśli chodzi o dwa następne czasopisma, zresztą nieilimitowane, powiedział po prostu: na cały Nowosybirsk oba wydawnictwa przydzieli się w dwóch egzemplarzach (on sam ich nigdy na oczy nie widział), jeden z nich otrzymuje archiwum Instytutu Historii, Filologii i Filozofii Sybe-

ryjskiego Oddziału Akademii Nauk ZSRR, drugi KGB. Zrozumiałe, że czasopisma opisujące uroki życia na Zachodzie przezornie rozdziela się między tych, którym i na Rusi żyje się dobrze. Niezrozumiałe jest natomiast, dlaczego nieilimitowane poglądy chińskich i jugosłowiańskich braci w marksizmie są niedostępne naszym bojownikom o komunizm i pieriestrojkę. Nie puszczają drzwiami, trzeba leżeć przez okno. W tym roku kampanię o prenumeratę rozpocząłem od telefonu do ambasady USA. Kiedy połączyłem się z wydziałem prasowym, opisałem sytuację w Nowosybirsku i poprosiłem o umożliwienie mi bezpośredniej prenumeraty. Odpowiedziano mi: proszę napisać list do ambasady, podać swój adres, imię i nazwisko i będzie pan otrzymywał *Amerykę* przez cały bieżący rok i to bezpłatnie. List napisałem, adres podałem. Tylko, czy dojdzie? A jeśli dojdzie list do ambasady, to czy dojdzie do mnie *Ameryka*?

My też nie wiemy czy dojdzie, ale czytelnikowi *Głasnosti* obywatelowi A. Manannikowi, życzymy dużo szczęścia.

Niniejszy tekst zawierający pouczające informacje na temat głośności i pieriestrojki dedykuję wszystkim tym rodakom w kraju i za granicą, którzy obiecują sobie wiele po przemianach zachodzących w ZSRR. Może się bowiem zdarzyć, że wraz z postępem w Kraju Rad także u nas zostaną wprowadzone ogólne zasady zachowania się obywateli przebywających czasowo w celach prywatnych w krajach kapitalistycznych i rozwijających się.

Pierwsza zasada będzie zapewne brzmiała: zabrania się prosić o azyl. ■



ROBS

PAPIEŻ WE FRANCJI

WALTER ŻELAZNY

„Mesjanizm polityczny wywołuje najczęściej najokrutniejszą tyranie”

W dniach od 8 do 11 października b.r. Ojciec święty odbył swą 40 podróż udając się do Strasburga, przy okazji zaś jakby do Francji. Prezydent Mitterrand, który powitał dostojnego gościa w 2000-letnim Strasburgu, mówił o tym mieście jako o symbolu jednoczącej się Europy. Mieści się tu wiele instytucji europejskich, w tym jedyny na świecie ponadnarodowy parlament, liczący 518 posłów z 12 państw, wybranych w powszechnych wyborach, którzy grupują się w parlamencie nie według przynależności narodowej, lecz ideologicznej lub politycznej.

Papież odwiedził również diecezje Alzacji i Lotaryngii, które podlegają bezpośrednio Stolicy Apostolskiej. Bierze się to z burzliwych dziejów tej ziemi, których historia przypomina częściowo dzieje Śląska. Tereny te tworzą w ramach scentralizowanej Francji jakby duży okręg autonomiczny z własnymi prawami, urzędowymi wyznaczeniami (katolicyzm, protestantyzm, wyznaczenie moźjeszowe), odmienną tradycją i językami — dialektami.

Nadzwyczajne środki bezpieczeństwa podjęte podczas wizyty papieża — to delikatne określenie. Miałem okazję obserwować wizytę Ojca świętego w Metz, do którego przybył na kilka godzin. Do końca nie było wiadomo z której strony papa-mobil podjedzie pod katedrę. Między wspaniałymi rzeźbami katedry na różnych wysokościach zajęli pozycje strzelcy wyborowi służb specjalnych. Ulice wiodące do szpitala były zamknięte dla ruchu, w samym szpitalu zaś zarezerwowano piętro. 17 lekarzy specjalistów wraz z personelem pomocniczym na ostrym dyżurze — wszystko na wszelki wypadek. Oczywiście wokół Ojca świętego gęsto było od barczystych facetów

nie odstępujących go na krok. Dużo mówiło się o tym wszystkim, Francuzi bowiem doszli do przekonania, że przy takich środkach bezpieczeństwa nie jest możliwe przeżycie spontaniczności i bliskości Ojca świętego, których — jak się wydawało Francuzom — doświadczyli podczas trzech ostatnich jego wizyt we Francji. Szef policji w Metz oświadczył w kanale telewizyjnym RTL, że istotnie przedsięwzięto szczególne środki ostrożności w myśl zasady „strzeżonego Pan Bóg strzeże”.

Nie sposób opisać całej tej podróży, wypełnionej co do minuty najróżnorodniejszym programem: wizyty w instytucjach europejskich, wycieczka statkiem po Renie, wizyty duszpasterskie, spotkanie z wiernymi Kościoła protestanckiego, Rabinatem Alzacji i Lotaryngii, z młodzieżą, niepełnosprawnymi, Polonią i... więźniami, udział w synagdzie w Nancy.

Niewątpliwie na czoło całej podróży papieża wybijał się jej europejski charakter. Wielu mieszkańców Zachodniej Europy przypomniano o tym, że Europa nie kończy się na EWG. Mimo różnych dyskusji data 31 grudnia 1992 r. jest obowiązującą dla dalszej integracji: zniesienie granic, barier celnych, ujednoczenie norm itp., słowem niemal konfederacja Stanów Zjednoczonych Europy dobrobytu i sprawiedliwości. Papież wypowiedział wiele krytycznych słów pod adresem Europejczyków, szczególnie tych opływających w dobro doczesne. „Współczesny Europejczyk — powiedział Ojciec święty — jest samotny i pogrążony w smutku, jako ten bogaty bowiem młodzieniec z Ewangelii nie potrafi podzielić się tym, co posiada”.

W diecezji Moselle, gdzie mieszka ponad

12% emigrantów (i taki sam procent stanowi tu bezrobocie) papież mówił o tych, którzy przybyli tu za chlebem podejmując najcięższe i najgorzej płatne prace, przyczyniając się do dobrobytu tego społeczeństwa. Nawiązując do tendencji zamykania Europy Zachodniej uchodźcom, Ojciec święty zwrócił się do tych w Lotaryngii, którzy zawsze uważali tę ziemię za azyl dla potrzebujących. Podziękował w imieniu emigrantów za gościnność, którą im okazwali i okazują, a do emigrantów zwrócił się ze słowami otuchy, jako że ci ostatni najbardziej upokorzeni są bezrobociem.

Ale oprócz tych wielu krytycznych słów, w których nie brakło również słowa „egoizm”, Ojciec święty akcentował wyjątkowość Europy, nie stawiając jej ponad inne kontynenty, ale podkreślając jej moralne i chrześcijańskie zobowiązanie w dążeniu ku sprawiedliwości i dawania przykładu innym, których oczy zwrócone są na nasz kontynent.

Ojciec święty odwiedził Metz dokładnie 939 lat po wizycie swego poprzednika na Stolicy Piotrowej, papieża Leona IX, który przybył tam również 10 października i założył biskupstwo. W Metz pokazano papieżowi najstarszy kościół Francji, pochodzący z IV wieku, który chrześcijanie przejęli po dawnej sali gimnastycznej legionów rzymskich odwołanych z Egiptu. Metz jest żywym muzeum walki, jakie toczyły w tej części Europy trzy konkurujące z sobą między II a IV wiekiem religie: mitreizm, kult bogini Izzydy i chrześcijaństwo. Tu powstały pierwsze klasztory, tu narodziła się pieśń gregoriańska.

Najbardziej „polski” charakter miały wizyty w Nancy. To tutaj król Stanisław Leszczyński po abdykacji w 1735 r. wymuszonej na nim przez Rosję otrzymał schronienie u swego zięcia, króla Francji Ludwika XV. Otrzymał on w dożywotnie władania księstwo Lotaryngii i Baru. Zasłynął jako znakomity gospodarz, mecenas sztuki, dobroczyńca i myśliciel.

W Nancy, Metz u aż po Zagłębie Saary nie brak poloników. Dlatego właśnie tutaj Ojciec święty spotkał się z Polonią, w pełnym tego słowa znaczeniu. Są to bowiem głównie potomkowie Wielkopolan, zwanych tu Westfalczykami, przepędzonymi po I wojnie światowej z Niemiec i przyjętymi przez Francję do kopalń i hut Lotaryngii. Dziś są to zazwyczaj dobrze urządzeni Francuzi, których kontakty z Polską mają głównie charakter folklorystyczny. Jest to po okręgu Lille i Paryżu trzecie skupisko Polaków we Francji, cała

Polonia zaś liczy ok. miliona osób. Polonia tutaj żyje swoim własnym życiem, któremu ton nadaje jeden z najstarszych dzienników Francji *Narodowiec*, pismo stanowiące konglomerat antyniemieckości, antysemityzmu, o mocnym narodowo-katolickim charakterze, niekoniernie strawnym dla przybysza z kraju. Przed spotkaniem z Polakami pokazano papieżowi piękne Nancy o białych fasadach, gdzie rynek zamykają cztery bramy, arcydzieło kowalstwa artystycznego wtopionego w piaskowiec, a w centrum postawiono monumentalną figurę naszego króla Leszczyńskiego; Na cokole można przeczytać wiele ciepłych słów o jego mądrości i dobrodziejstwach.

Spotkanie z protestantami i Żydami miało bardzo „roboczy” charakter. Po pierwsze papież uhonorował w ten sposób wszystkie urzędowe wyznania Alzacji i Lotaryngii, zaznaczył kontynuację dialogu ekumenicznego i wzajemnego zrozumienia między chrześcijanami, a Żydami. Mówiąc o wzajemnej miłości, poszanowaniu i przebaczeniu zapytał: „Czyż nie mamy tego samego Ojca?”

Najważniejszym wydarzeniem ostatniego dnia pobytu Ojca świętego we Francji było jego wystąpienie przed parlamentem europejskim. Już na początku doszło do incydentu, bowiem poseł z Irlandii Północnej przerwał Ojcu świętemu, rzucając w jego stronę obelgi. Chodziło mu o to, że papież rzekomo sprzyja organizacji terrorystycznej IRA. Na polecenie przewodniczącego parlamentu ów protestancki duchowny został wyprowadzony z sali, Ojciec święty zaś, jakby nie uważając incydentu kontynuował dalej, mówiąc między innymi: „Inne narody będą się mogły z pewnością przyłączyć do tych, które są tu reprezentowane. Moim życzeniem, życzeniem pasterza Kościoła powszechnego, który pochodzi z Europy Wschodniej i który zna aspiracje słowiańskich narodów, jest, by Europa, która łączy się obecnie w liczne wolne organizmy, mogła kiedyś rozszerzyć swój zasięg na tych, z którymi jest związana przez położenie geograficzne, a jeszcze bardziej przez wspólną historię. Jak można by do tego nie dążyć, jeśli nasza kultura jest tak bardzo inspirowana przez wiarę, przez chrześcijaństwo, które tak bardzo naznaczyło historię każdego narodu naszej zjednoczonej Europy: narodów greckich, germańskich czy słowiańskich”.

KSIAŻKI

MARTA WALISZEWSKA

Z biblioteczki emigrantki

Zdzisław Łapiński: Jak współżyć z socrealizmem. Szkice nie na temat, Londyn 1988, Polonia.

Tytuł nieco mylący, podtytuł lepiej oddaje istotę tej książki. Nie chodzi w niej wyłącznie o socrealizm i stosunek uczciwych pisarzy do tej wynaturzonej formacji, tylko o zbiór szkiców, które swą tematyką rzeczywiście odbiegają od przeciętnej produkcji krytyczno-literackiej.

Swoje zaplecze intelektualno-organizacyjne — jeśli można się tak wyrazić — wyjaśnia autor, warszawski polonista, w przedrukowanym jako „Dodatek” szkicu z roku 1960, zatytułowanym pierwotnie „Chwila refleksji”. Tłumaczy w tym tekście, dlaczego nie będąc katolikiem zdecydował się zacząć współpracę z *Tygodnikiem Powszechnym*. Nie jest to — mówi — sprawa jednostkowa, ale problem ogólny, dotyczący dużej części społeczeństwa, podlegającego oddziaływaniu dwóch ideologii: komunizmu i katolicyzmu: „Presja obu tych kierunków nie pozostawia na uboczu nikogo. Zabieram zatem głos jako jeden z owych »ani zimnych, ani gorących«, którzy godzą się wejść w sferę promieniowania katolicyzmu nie ze względu na solidarność wyznaniową, ale z powodu wspólnego dziedzictwa kulturowego i wspólnych na ogół przekonań politycznych, łączących nas z przedstawicielami koła poselskiego »Znak«.”

Łapiński dochował wiary tej deklaracji. Publikuje w tej chwili częściej na emigracji, niż w kraju, ale zawsze jest przede wszystkim wierny swoim przekonaniom, bez względu na to, czy się to spodobą w „środowisku” intelektualnym, czy nie. Pierwsze dwa szkice dotyczą spraw rosyjskich, a konkretnie niezwyklej aktualności historii Rosji dla dziejów najnowszych. Łapiński pokazuje tę kwestię najpierw na przykładzie Eisensteina i jego filmu o Iwanie Groźnym, który jest zarazem filmem o Stalinie; następnie sięga do pism Maurycego Mochnackiego i cytuje z nich fragmenty, które

bez większych zmian zastosować można do Związku Sowieckiego. Na przykład taką analizę trzech faz podboju upatrzonego sąsiada: „W pierwszej podburzają, zakładają miny w środku sąsiedzkiego kraju, który życzą sobie opanować. Jest to czas niewidomych wpływów, przekupstw, obietnic. W drugiej występują jawnie z interwencją: nasamprzód gwarantują, potem protegują nie-szczęsnego sąsiada, zawsze na jego własne żądanie...]. Dyplomatyka moskiewska wśród tych okoliczności rozwija swe talenta w Europie; wysławia bezinteresowność cara, wspierałomysłność, zamiłowanie pokoju. (W trzeciej fazie) carowie uśmierzają bunt, zaludniają Syberię wicherzycielami porządku, jednym słowem rządzą krajem, który podług wyrazów ich gazety powinien się mieć za szczęśliwego, że straciwszy niepodległość pełną wewnętrzną zaburzeń, składa część cesarstwa Wszechrosji.”

W szkicach, poświęconych polskiej literaturze (zwłaszcza poezji) współczesnej zwraca uwagę bezkompromisowość w wytykaniu niechlubnych dokonań w latach pięćdziesiątych — także takim pisarzom, którzy zwykle nie podlegają podobnym zarzutom: Herbertowi, Białośzewskiemu, Miłoszowi. Szczególnie surowo (ale nie bez racji) obeszł się Łapiński z Tadeuszem Różewiczem — w szkicu „O „wierszach prostych” (w czasach skomplikowanych)”.

Astolphe Louis Léonor markiz de Custine: Listy z Rosji. Rosja w 1839 roku, z francuskiego przełożyła Katarzyna Czerwińska, Londyn 1988, Aneks, Warszawa, Krag.

Kolejny przykład ścisłej współpracy wydawnictw emigracyjnych i krajowych oficyn niezależnych. Tym razem otrzymujemy przeład książki, która od stu lat cieszy się legendarną sławą najbardziej przenikliwego opisu Rosji jako systemu despotycznego o specyficznych cechach.

Autor przebywał w Rosji przez kilka miesięcy, latem i wczesną jesienią roku 1839. Miał dostęp do najwyższych sfer, łącznie z rodziną carską. W trakcie podróży, dowiedziawszy się bliższych szczegółów o okrucieństwie i bezwzględności Mikołaja I, postanowił go bojkotować i rzeczywiście skutecznie uniknął dalszych spotkań z samowładnym monarchą. Książka de Custine'a jest zapisem bolesnego i otwierającego oczy rozczarowania — nie tyle do kraju i jego mieszkańców, ile do panującego tam systemu.

Niektórzy krytycy współcześni nie wahają się mówić, że „Listy z Rosji” to „z pewnością doskonała książka, niewątpliwie najlepsza ze wszystkich o Rosji Stalina i całkiem niezła książka o Rosji Breżniewa i Kosygina”. Osobiście nie gustuję w podobnych analogiach, a jednak trudno nie myśleć o Orwellu, czytając takie zdania. „W Rosji historia jest częścią dobr korony, to moralna własność księcia, podobnie jak ludzie i ziemia są jego własnością materialną. Jest ona przechowywana wraz z cesarskimi skarbami, a pokazuje się z nią tylko to, co władca ma zyczynie ujawnić. Wspomnienie o zdarzeniach dnia wczorajszego jest własnością Cesarza, który dowolnie zmienia kroniki kraju i codziennie przedstawia ludowi własne prawdy historyczne, jakie zgodne są z aktualnie panującą fikcją”. Rzecz chyba w tym, że rewolucja w nieznacznym stopniu wpłynęła na zmianę panującego w Rosji systemu sprawowania władzy. Markiz de Custine nie był jakimś protokolem — był natomiast bystrym obserwatorem.

Zobaczyć kraj, który jest olbrzymim więzieniem. Z pełnym przerażeniem podziwem obserwował funkcjonowanie gigantycznej i bezdusznej maszynarii. O systemie przekazywania rozkazów napisał: „oto prawdziwe arcydzieło mechaniki wojennej, ale widok tego wzorowego porządku zyla mnie nie cieszy, gdyż tak doskonały ład możliwy jest tylko przy zupełnym braku niezależności i wyobraźni”.

De Custine przyglądał się ludziom, krajobrazom i architekturze. Ale najbardziej interesowały go stosunki pomiędzy zjawiskami. Usiłował dojść, dlaczego w tak smutnym klimacie ślepo naśladowano wzory badownictwa śródziemnomorskiego. Radził, jak zachowują się ludzie w życiu codziennym i w sytuacjach niezwykłych. Wyciągał niezbyt optymistyczne wnioski, w rodzaju: „Obyczaje Rosjan, pomimo wszelkich wyobrażeń, jakie te podobizny mają o sobie samych, są pełne okrucieństwa i dłużej jeszcze takimi pozostaną. Nie-

pełna sto lat temu Rosjanie byli jeszcze prawdziwymi Tatarami, dopiero Piotr Wielki zaczął zmuszać mężczyzn, żeby wprowadzać do towarzystwa kobiety. Pod swą nowoczesną elegancją wielu spośród tych parweniuszki cywilizacji zachowało niedźwiedzie skóry, wykracając je tylko na drugą stronę, jeśli jednak pokrobać, włos wychodzi na wierzch i języ się niedźwiedzią szczecinią”. „Listy z Rosji” to przenikliwa analiza mechanizmów działania ustroju despotycznego w kraju niezbyt cywilizowanym. To mądra analiza postępowania despoty, który nie stawia swej samowoli żadnym granic, który nie krępuje się nawet prawami natury. Oto znaczący przykład, jeden z wielu: „Gdyby nawet w Rosji było dużo samobójstw, nikt by o tym nie wiedział: znajomość liczb jest tu przywilejem policji. Trudno mi nawet powiedzieć, czy sam Cesarz zna dokładne liczby, wiem jednak, że za jego panowania o żadnym nieszczęściu nie mówi się głośno bez jego osobistej zgody na przyznanie się do klęski w starciu z Opatrznością. Pycha despotyzmu jest tak wielka, iż pragnie on pokonać nawet boską potęgę”. Istotnie, czytając analizy de Custine'a trudno się powstrzymać od myślenia o Czernobylu... Dużą zaletą książki jest staranny i ładny przekład.

Milan Kundera: Życie jest gdzieś indziej. Powieść, tłumaczył Jacek Ilg, Londyn 1988, PULS Publications. I tom serii „Śpiędn”.

Druga chronologicznie powieść Kundery, napisana jeszcze przed wyjazdem na emigrację, w roku 1970, ukazuje się po polsku jako piąta. Poprzedził ją oficjalnie wydany „Żart” (1965, wyd. pol. 1969), podziemne „Walc pożegnalny” (1972, wyd. pol. 1983) oraz „Księga śmiechu i zapomnienia” (1979, wyd. pol. 1984), wreszcie opublikowana najpierw na emigracji „Nieznajoma lekkość bytu” (1982, wyd. pol. 1984). Mamy zatem do czytania z prawdziwym festiwalem prozy czeskiego pisarza, co zresztą nie jest zjawiskiem wyłącznie polskim — Kundera zrobił w ostatnich latach światową karierę.

Bohaterem przełumaczony ostatnią powieści jest czeski poeta, rōwianinik autora. Opowiadając jego dzieje Kundera tworzy jakby modelową biografie człowieka naznaczonego przez Los. Jaromil od początku jest dzieckiem wybranym.

WYWIAD

ANDRZEJ WAJDA:

Kino to wielka namiętność

Transform-Theater, atmosfera sztuki. Coś, czego się nie da określić. Może to ludzie, którzy tu przychodzą tworzą ów niepowtarzalny klimat... Może obecność wielkich twórców powoduje, że czujemy się tu nie tak jak w innych miejscach. Nie-wyzwyczajnie.

Młody człowiek ze Śląska. Wyjechał z Polski w latach '80, a teraz chce wrócić, by studiować. Może w Łodzi, może w Katowicach. O kursie w Bethanien dowiedział się z prasy.

Turczynka. Młoda i śliczna – kocha teatr, ale wcale nie chce być aktorką, nie. Chce zostać reżyserem, może jak Margarethe von Trotta, Agnes Varda, Agnieszka Holland... może...

Chłopak w obcisłych jeansach przybył z Bawarii. Jest operatorem, ale ciągnie go ku reżyserii. Jest zachwycony Andrzejem Wajdą i stylem jego nauczania – tą umiejętnością zadzierzgnięcia porozumienia, pomiędzy wykładowcą a studentami. Trzyma w ręku „Białe noce” Fiodora Dostojewskiego. To właśnie nad nimi pracuje obecnie grupa uczęszczająca na kurs reżyserii Andrzeja Wajdy. Jeszcze do wczoraj pracowali w terenie. Dziś przemieśli się do wnętrza, do teatru, na scenę. Bo Andrzej Wajda, człowiek teatru i filmu, zapropomował tym razem pracę nad tym samym materiałem zarówno dla filmu jak i dla teatru.

* * *

— Panie Andrzeju, co skłania Pana do owych częstych przyjazdów do Berlina Zachodniego i współpracy z Bethanien?

— Tym razem mój prywatny interes. Po prostu sprawdzam moje pomysły edukacyjne. Noszę się z zamiarem otworzenia w Polsce prywatnej szkoły filmowej i kształcenia w niej prawdziwych artystów, myślących niezależnie, wolnych od ja-

kiejkolwiek manipulacji.

— Wspomniał pan pomysł, a jak z realizacją? gdzie, kiedy?

— Na pewno w Warszawie, a kiedy, to nie wiem. Przewiduję duże problemy ze znalezieniem lokalu.

— Och, w stolicy jest tyle miejsc doskonale nadających się do adaptacji...

— Możliwe. Ale nie wiem, czy właśnie mnie ktoś z nich zostanie przyznane. Szczególnie od czasu, gdy Daniel Passent złożył na mnie oficjalny donos na łamach *Polityki*. Pisze, iż jestem przeciwnikiem dialogu narodowego, że „zbiłem się politycznie”. Od tego więc jak zostanie potraktowany mój pomysł, zależy owe „kiedy”. Zostałem przez Passenta skarcony i pomówiony, a to nie napała nadzieją na przyszłość.

— Zagniewanie Passenta wywołał Pana artykuł w *Tygodniku Powszechnym*, w którym wypowiedział się Pan na temat stanu polskiej kinematografii i jej perspektyw na przyszłość. Myślę, że był to najbardziej znaczący artykuł na temat polskiego filmu, jaki ukazał się na łamach prasy obu obiegów: oficjalnego i niezależnego. Wydaje mi się również, iż powinien on wstrząsnąć sumieniami twórców, szczególnie młodej generacji.

— Nie wiem, czy wstrząśnie, ale może przypomni, uświadomi, że kino to przecież ciągle wielka namiętność i nie jest tak łatwo pozbyć się z sal widzów. Ta pustka w kinach, to nie jest tylko rodzimy odpowiednik światowego kryzysu.

— Po tym zdaniu w Pana wypowiedzi na łamach *Tygodnika Powszechnego* nastąpiła ingerencja cenzury...

— Wykreślono zdanie, które brzmiało: „Polska kinematografia stanęła po stronie »Solidarności« i musiała zostać ukarana. Za *Człowieka z żelaza*, za *Robotników '81*. Los kina polskiego

przypieczętowała komercjalizacją”.

— To się rzuca w oczy. To jakieś ogólne szaleństwo, które ogarnęło polskie kino. Za kompletnie poczytuję się powiedzenie, iż coś jest „jak w amerykańskim filmie”. Zresztą nie dotyczy to tylko perfekcji zawodowej, a także tematyki. Pojawił się gangsterzy, dzielni policjanci, magazyny broni w prywatnych mieszkaniach oraz bardzo groźne dla naszego życia społecznego zjawisko prześmiewania się z mieszkańców wsi.

— Wszystko to, o czym Pani wspomniała, a o czym napisałem obszernie, sprowadza się do mego niepokoju o film polski, o jego przyszłość. Są oczywiście wyjątki — myślę o dwóch filmach Krzysztofa Kieślowskiego, o *Piszczyku* Kotkowskiego. Ale nie są one reprezentatywne i stanowią tylko ów wyjątek, który potwierdza regułę. Stwierdzam natomiast z całą odpowiedzialnością, że rozrywkowa produkcja filmowa jest niebezpieczną tendencją w naszym kinie. Towarzyszy jej zdecydowane poparcie władz politycznych i oficjalnej krytyki. Tendencja ta przy pozorach wolności twórczej niesie śmiertelne niebezpieczeństwo dla polskiego kina jako formy naszej polskiej i narodowej ekspresji.

— Wspomniał Pan również w swoim artykule o **zdziceniu polskiego kina, o swoistym jego odmłodzeniu.**

— To zdziczenie naszego kina wynika również z owego zapatrzania w amerykańskie kino współczesne. My również czerpaliśmy z amerykańskiej kinematografii. Szukaliśmy w niej wzorów. W *Obywatelu Kane*, w *Asfaltowej dżungli*. Ale to nie były opowieści o działaniach amerykańskich policjantów przebranych w rodzime mundury, ani o milionerach, ale *Popiół i diament*. Smutno więc się robi dziś przy oglądaniu: *Kingsiza*, *Zabij mnie glino* czy *Opowieści Harleya*. A więc nierealność jako warunek istnienia sztuki kina. To wszystko wypływa z realizacji wypowiedzi byłego ministra kultury i sztuki po 13 grudnia. Ogłosił on z mównicy, że zamieni elitę twórczą na inną, bardziej mu odpowiadającą. Może śmieszne to, a jednak stało się. Rezultat jest do obejrzenia w kinie.

— Czy sądzi Pan, iż nie ma wielkiej nadziei na zmianę obecnej sytuacji?

— Stan wojenny dokonał w środowisku reżyserskim wielkich zmian. Wyjechali na zawsze: Skolimowski, Holland, Kamiński, Bugajski, Rybczyński oraz kilku innych. Mam więc nadzieję, że polskie tematy przy stale wzrastającej emigracji

zarobkowej polskich artystów i nieustannym zainteresowaniem świata naszym krajem znajdą swoje miejsce w kinie zachodnim, gdzie nie sięga mściwa ręka komitetu d/s kinematografii z Warszawy.

— Powracając do Pana pobytu w Berlinie Zachodnim, oprócz prywatnego interesu sprowadza Pana... *

— Odmienność stylu pracy, ciekawość ludzi, a również atmosfera panująca w Bethanien i życzliwy stosunek do Polaków. Przyjeżdżało i przyjeżdża nas tu wielu. M.in. Kieślowski, Konwicki, Marczewski, Bajon, Łomnicki, wielu spośród tych, którzy kiedyś współpracowali z katowicką szkołą teatralną i filmową.

— Zrealizował Pan ostatnio w Teatrze Powszechnym w Warszawie sztukę o Tadeuszu Kościuszcze.

— Ten temat, jak to się mówi, „chodził” za mną już od dawna. Naczelnik na emigracji, u schyłku życia. Osamotniony. Osaczony przez myśli nie nazbyt wesole. A poza tym chciałem zrobić coś z Tadeuszem Łomnickim. To on zwrócił moją uwagę na sztukę Anny Bojarskiej. Wydała mi się interesująca teatralnie, zawierała bowiem to, co mnie zafascynowało: coś nowego w sprawie Kościuszki, jego tragiczną samotność, jego obsesja zdrady jest wszechobecna. Czai się tam, gdzie się najmniej spodziewamy.

W głównych rolach, oprócz Łomnickiego, obsadziłem Joannę Szczepkowską. To ona wcieliła się w postać dziewczyny, której naczelnik zapisał w testamentie swoje serce. Uważam Szczepkowską za najbardziej utalentowaną aktorkę tego pokolenia.

— Zafrapował Pana emigracyjny okres życia naczelnika. Czy można mieć nadzieję, że temat emigracji polskiej zagościł w Pana świadomości twórczej i że zaowocuje np. filmem o tej tematyce?

— Problem jest wielki i trzeba do jego podjęcia wielkiej literatury. Dotyczy to również scenariusza filmowego. Jak dotychczas, nie spotkałem takiego dzieła literackiego, takiego utworu, który by mnie poruszył. Są, owszem, ciekawe pamiętniki, ale to nie to. Niedościągłym wzorem są wciąż amerykańskie nowele Henryka Sienkiewicza. Były z tego piękny western emigracyjny. Ale od tematyki się nie odzegnuję. Być może, problem kiedyś podejme...

— Panie Andrzeju, podpis Pana widnieje pod wielu znaczącymi, właściwie historycznymi już dokumentami z okresu obecnych dziejów naszego

kraju. Myślę o różnych listach i protestach do władz.

— Składam swój podpis pod wieloma tego typu dokumentami, ale nie jestem ich zwolennikiem. Czynię to bez przekonania. Uważam, że podpisy pod protestami już się skończyły. Po prostu przyszedł czas innych działań. To już nie ten etap, gdy list 34 wywołał taki oddźwięk, taką wściekłość władzy i takie konsekwencje dla wielu jego sygnatariuszy oraz represjonowanie całych środowisk twórczych z wydawnictwami włącznie. Wówczas takie listy i protesty miały się społecznego oddziaływania i były aktem odwagi ze strony sygnatariuszy. W momencie, gdy władza na listy nie odpowiada, nie ma sensu kontynuowanie takich form protestu.

— No a Gdańsk i spotkanie kilkudziesięciu intelektualistów opozycji?

— Do Gdańska pojechaliśmy na zaproszenie Lecha Wałęsy. Chodziło o wyrażenie aprobaty dla działań przewodniczącego NSZZ „Solidarność”, dla jego koncepcji dialogu i porozumienia społecznego, przy tzw. okrągłym stole. Udzieliliśmy mu pełnego poparcia. A nasz postulat: „Legalizacji »Solidarności« oraz wprowadzenia natychmiast pluralizmu bez przymiotników” wywołał, jak wiadomo, wściekłość władz i cytowanego już Daniela Passenta. Takie działania środowisk opiniotwórczych mają w moim przekonaniu doniosłe znaczenie na przyszłość.

* * *

Kończy się przerwa w zajęciach. Słuchacze wracają na salę. Pokrzepieni łykiem kawy, chwilą oddechu poświęconą wymianie myśli i pomysłów. Prowizoryczne kostiumy, dekoracje na niby, świat fikcji teatralnej, umowność sztuki. Aktorzy skoncentrowani na przeżyciach wewnętrznych. Akcja „Białych nocy” toczy się dziś w Berlinie Zachodnim, a nie w XIX-wiecznym Petersburgu. Tylko sprawa miłości tych dwojga pozostała uniwersalna i ponadczasowa. Nieważne, czy nad Szprewą czy Nawą. Kurt i Greta czy Natasza i jakiś „On”. Miłość taka, jak ją widział Dostojewski wówczas i Wajda dziś, ma przecież to samo imię. Tylko drzwi do sali teatralnej już zamknięte.

Tyle się jeszcze pytań ciśnie. Tyle spraw przeszłych i przyszłych do omówienia. Ale przecież artyści najpełniej wypowiadają się w swoich dziełach. Chyba, że przychodzi czas milczenia.

Rozmawiała i opracowała Janina Frog

DOKOŃCZENIE ZE STR. 60

Następnie papież podjął rozważania dotyczące sfer życia religijnego i świeckiego. Mówił o wielu błędach Kościoła, który przez wieki dążył do nieuzasadnionego integryzmu nie wyczuwając konieczności oddzielenia tego co boskie, od tego co cesarskie. Papież jasno wypowiedział myśl dotyczącą związku utopii społecznych i totalitaryzmu, co wyeksponowano w tytule tej korespondencji.

Ojciec święty zakończył swe długo oklaskiwane przemówienie wskazując kierunki, którymi winna podążać Europa, chcąc godzić ludzi różnych kultur i tradycji i pozostając zarazem schronieniem dla cudzoziemców. Po tym trwającym 25 minut przemówieniu, Papież udał się na lotnisko do Mulhouse, skąd pożegnany przez dostojników Kościoła, wiernych i premiera Francji Michela Rocard'a powrócił do „wiecznego miasta”.

DOKOŃCZENIE ZE STR. 62

Pod czułą opieką matki (też stereotyp matki geniusza) rozwija swą fantazję i umiejętności do bierania słów, kompletnie zaniedbując rozwój moralny. Powstaje dziwna, ale spotykana mieszanka człowieka niewątpliwie utalentowanego i — moralnego potwora. Taka hybryda trafia na czasy niezbyt sprzyjające czystej poezji, ale za to poszukujące moralnych potworów: na czasy umacniania w Czechosłowacji rządów komunistycznych. Jaromil od razu znajduje w nowych warunkach miejsce dla siebie. Kończy marnie, na miarę swojej moralności.

Taką banalną dość fabułę obudował Kundera odniesieniami literackimi, które mają przekształcić jego powieść w uniwersalną przypowieść o losie młodego poety w bezdusznym świecie. Warstwa fabularna wszakże i warstwa aluzji historyczno-literackich łączą się ze sobą słabo, tak jakby autor chciał przemawiać naraz dwoma językami. Przekład płynny.

„POGLĄD” wykonuje skład elektroniczny
w języku polskim i niemieckim. Ceny przystępne.
Blizszych informacji udziela redakcja
tel 030/782 93 84.

FILM

WALTER ŻELAZNY

„Spisek” albo „zabić księdza”*

W drugiej połowie br. weszła na ekrany kin francuskich niemal ta sama ilość filmów co w roku ubiegłym, przy wciąż zmniejszającej się widowni. Francuzi są obecnie zauroczeni „inną” kinematografią. Rekordy popularności bije film o delfinach „Le grand bleu”, wszystko wskazuje na niecodzienny sukces historyjki o niedźwiedziach „Luors”.

Głośny film Scorsese’a „Ostatnie kuszenie Chrystusa” wyświetlany jest w nielicznych kinach. Poniósł klęskę. W związku z tym filmem zaobserwowano aktywność — jak to prasa określa — „fundamentalistów katolickich”. Doszło do licznych manifestacji przeciwko projekcji, a pod koniec października spłonęło kino w łacińskiej dzielnicy Paryża. Dwunastu widzów uległo poważnym porażeniom.

Film Agnieszki Holland w piątym tygodniu projekcji oglądnięto 92000 widzów, co jest we Francji wynikiem dobrym. Film kosztował sporo, ok. 9 mln. \$. statystycznie o 100% więcej niż inny film tej klasy. Przed projekcją i w pierwszych tygodniach projekcji mass-media mówiły stosunkowo dużo o tym filmie, reżyserka pojawiała się często na ekranach telewizji, udzielała wywiadów prasie. Film recenzowano najróżniej, zdecydowanie przeważały recenzje pozytywne, nie brakowało jednak też takich, które uznały film za „tanią psychologię”. Premiera zbiegła się z kolejnym wybuchem strajków w Polsce, stąd reżyserka przy okazji rozmów o filmie, wypytywana była o bieżącą sytuację w kraju. W rozmowach na te tematy radziła sobie świetnie, zarówno jako reżyserka jak i komentatorka życia politycznego — i to poprawną francuszczyzną.

W popularnym tygodniku katolickim *La Vie* (nr 2245 z 14 września) ukazała się recenzja Gil-

berta Perrina obszernie przeplatana wypowiedziami i komentarzami reżyserki na temat filmu, jej uczuciowego podejścia do tematyki i racjonalnej oceny działania sprawców mordu. Oto fragmenty: „Opustoszała droga w czasie zimniej polskiej jesieni. W aucie, które odwozi go do Warszawy, ks. Alek przebywa drogę w spokoju, beztrasko w „świątości” — jak zwykle. Księżulek ze św. Stanisława spędził dzień na modłach z seminarzystami w Bydgoszczy. Raz jeszcze podczas kazania mówił o sprawiedliwości, braterstwie i solidarności. Miał w sobie tę siłę spokoju człowieka „wolnego” — wolnego od nienawiści. Często powtarzał: *Najważniejsze, to nie wygrać, ale mieć rację*. Jego postawa drażniła oficjłów i ich zelotów. Stefan jest jednym z nich — tajniak w służbach specjalnych. Wkrótce stanie się mordercą. Jest jedną z tych pospolitych świni, które pasują do tego systemu politycznego. Z dwójką kumpli po fachu, zatrzymują samochód z księdzem, pałują go na śmierć, a następnie wrzucają zwłoki w otchłań Wisły. To odrażające rzeczy, okrutna symbolika systemu, gdzie polityczne manipulacje podniecają i zachęcają do niepohamowanych wybryków — mówi reżyserka.

Jej film został oczywiście zainspirowany historią ks. Popiełuszki, zamordowanego 19 października 1984 r. Christophe Lambert to ks. Alek, Ed Harris to jego kat. To w końcu historia Kaina i Abla — bez retuszu. *Dwóch mężczyzn w tym samym wieku* — precyzuje reżyserka — *z tego samego kraju, żyjących w tym samym czasie, opętanych koniecznością działania*. Agnieszka Holland nie chciała nakreślić filmu o przesłaniu religijnym czy politycznym, lecz chciała *opowiedzieć historię człowieka*. Film jest w końcu psychologicznym thrillerem o prostej dramaturgii, lecz nadzwyczaj pasjonującym. *Nie ma nic trudniejszego od ukazania żywota bohatera i świętego [...]*. Agnieszka Holland nie zadowolili się jedynie wykazaniem swojej sprawności warsztatowej. Pasjonowała ją rów-

* Film powstał w koprodukcji francusko-amerykańskiej i wszedł na ekrany w dwóch wersjach językowych, francuskiej „Le Complot” (Spisek) i angielskiej „To Kill a Priest” (Zabić księdza).

nież żywo osobowość zabójcy. *Mówiąc ogólnie, zazwyczaj taki typ osobowości przedstawiany jest w uproszczeniu, karykaturalnie, jako wykonawca zbrodni spoza samego dramatu. Nie chciałam zrobić filmu oskarżycielskiego. Przecież za tym zwykłym potworem krył się jednak człowiek. Jeśli poważnie zgłębić chrześcijańskie przesłanie, to przecież nie można pozbawić żadnej istoty ludzkiej prawa do posiadania określonego zespołu uczuć. Myślę, że najdramatyczniejsza i najbardziej esencjonalna walka, to nie walka między ludźmi, lecz walka każdej duszy ludzkiej z samą sobą, to walka wewnętrzna. To, co pasjonuje mnie najbardziej, to odpowiedź na pytanie, w jaki sposób z taką łatwością ten system polityczny znajduje nadgorliwców gotowych wykonać każdy rozkaz — ludzi, którzy skądinąd są przecież dobrymi ojcami.*

Reżyserkę od dłuższego już czasu nurtował ten problem. W 1961 r. jej ojciec, niepośledni dziennikarz polityczny, stał się również ofiarą swych odważnych wystąpień. Zginął w „dziwnych” okolicznościach. Wypadł przez okno. *Od czasu tamtego osobistego dramatu — mówi Agnieszka Holland — skupiłam się nad analizą osobowości tego typu ludzi, których mój ojciec w ciągu ostatnich swoich dni był adwersarzem; którzy go zabili. Rzecz jasna kręcąc ten film, bardzo często myślałam o ojcu. I dlatego czułam się upoważniona do ukazania obrazu zabójcy w sposób bardziej kompleksowy. Moja hipoteza psychologiczna nie jest więc wyłącznie tylko teorią. Wszystko to pozwoliło mi z taką swobodą zbliżyć się do osobowości milicjanta. Czy reżyserka wybacza? Oczywiście, że nie. We wszystkich krajach bloku jest po kilka milionów ludzi, którzy dzierżą władzę — konstataje Agnieszka Holland — którzy są koniecznym gatunkiem pewnej logiki działań dla utrzymania systemu. Nie są to wyłącznie pospolite odhumanizowane świny. Dziś, gdy władza zaczyna im się wymykać z rąk, coraz bardziej sfrustrowani mogą stać się niebezpieczni. To jest właśnie przypadek mojego milicjanta. [...]*

Przecież to, że było się wychowanym w rodzinie stalinowskiej, nie determinuje jeszcze życia człowieka. Jest przecież wielu dysydentów, którzy są dziećmi oprawców stalinowskich. [...] Agnieszka Holland bała się bardzo reakcji polskich przyjaaciół na jej film. *Polacy swoją historią, sytuacją polityczną, wszelkimi nieszczęściami, które spadły na nich są skłonni uzewnętrzniać zło, powtarzać zawsze, że winni są komuniści, naziści, Żydzi... Trudno im było zrozumieć moją koncepcję filmu, od-*

biegając daleko od aktualnej sytuacji politycznej, spróbować objąć prawdę człowieczą szerzej. Ostatnio pokazałam film w Lourdes polskim pielgrzymom, studentom i księżom. Zaakceptowali go. [...]

Reżyserka spotkała się z księdzem Popiełuszką tylko raz i na zawsze zachowała to spotkanie w pamięci. *Nigdy nie będę mogła zapomnieć jego prawdziwej dobroci — powiedziała. Christophe Lambert wydał mi się do tej roli najbardziej przekonujący. Spełniał wrażenie człowieka, który jest mieszanką nieśmiałości dojrzwania i prawdziwej szlachetności, uprzejmości, prostoty, spokoju, odrobiny naiwności, którą posiadał ks. Popiełuszko. Nie chciałam uczynić z niego jedynie suchego orędownika sprawy, przywódcy mas, lecz kogoś kto poszukuje prawdy i ma odwagę przekazać ją ludziom. Ks. Alek przebył w końcu raz jeszcze drogę Chrystusa, oczywiście w innym świecie, lecz z tym samym postaniem. Myślę, że udało mi się dochować wierności tej postaci. [...]*

Czy jej film ma szansę na projekcję w kraju? Trudno przewidzieć działania władz, a sama cenzura działa często w sposób zagadkowy.

* * *

Nie wszyscy recenzenci przyjęli film entuzjastycznie. W październikowym zeszycie poważnego pisma *Etudes*, wydawanego przez Twarzystwo Jezusowe, Jean Collet pisze: „[...] Czy film miał nam przybliżyć osobowość bohatera księdza? Czy miał nam dać zarys analizy politycznej Polski 'lat '80, czy po prostu miała to być ilustracja czegoś, o czym nie można zapomnieć. Początkowo myślałem o tym ostatnim. Jean Baez w czołowiec filmu, masy nie bojące się godziny policyjnej, powszechnie ludowe emocje, ta cała historia dobrze się więc zaczyna. Miała szansę osiągnąć wielkość. Niestety, dość szybko można się zorientować, że nie będzie to film o ks. Popiełuszcze, (na ekranie ks. Alek). Ksiądz jest piękny jak sam Christophe Lambert, mówi gładko. A jedna z młodych urokliwych działaczek „Solidarności” daje z siebie dużo, by ksiądz zapomniał o ślubach czystości. Bez szans, oczywiście. Ksiądz Alek pozostaje jako ten „człowiek z marmuru”. Nadzwyczajnie! Przez dwie godziny nie dowiemy się nic o istocie, która padnie z rąk zabójców. Pardon, jednak coś: podczas bokserskich treningów ksiądz uczy się odierać ciosy.

DOKOŃCZENIE NA STR. 70

PIERIESTROJKA W FILMIE

NINA ŻABIŃSKA

Wziąć udział w destalinizacji

Szerokie kręgi społeczeństwa Kraju Rad ogarnęła przemożna potrzeba rozliczenia z przeszłością, i to bez niedomówień, bez zahamowań, bez granic. To taki ogromny test na wiarygodność „pieriestrojki”: jak daleko sięga „głasność”? Czy są jakieś bariery, których przekraczać nie można? W dziedzinie kultury „pieriestrojka” jak dotychczas uczyniła jeżeli nie wszystko, to bardzo wiele: wydobyto z szuflad nieopublikowane wiersze, wyjęto z załóżki namalowane obrazy zaczęto śpiewać, mówić, mówić... Okazało się również, że wiele filmów przeznaczonych na przemiał uratowano dzięki odwadze tych nielicznych pracowników kinematografii sowieckiej, którzy te najsurowiej zakazane taśmy filmowe przechowali w pudełkach z innymi tytułami lub we własnych domach.

W ogóle kinematografia maszeruje w pierwszym szeregu „pieriestrojki”. Więzy pomiędzy stowarzyszeniami filmowców polskich i sowieckich, jak gdyby od jakiegoś czasu mocno nadwątłone, znów zostały zadziergnięte. Odinstytucjonalizowane od odgórnych zaleceń i nakazów mają szansę na rzetelną współpracę w dziedzinie interesującej oba kraje.

Chodzi o tzw. „białe plamy”. W końcu września odbyło się w Warszawie 3-dniowe seminarium zatytułowane „Film a destalinizacja kultury”. Filmowcy sowieccy zaprotestowali przeciwko zmianie „społeczeństwa” na „kulturę”. Taki bowiem tytuł seminarium podali teleksem. Trudno dojść, kto dokonał tej pozornie nieistotnej zmiany. Ostatecznie ustalono, że stało się to na linii teleksowej Moskwa-Warszawa.

O czym mówiono na tym seminarium, którego uczestnikami oprócz licznej grupy filmowców sowieckich, krytyków, historyków, było wprawdzie nieliczne, ale znaczące grono polskich ludzi kultury?

Nieznanne oblicze sowieckiej kinematografii.

W czasie gdy Sergiusz Eisenstein realizował arcydzieło filmu niemeo „Pancernik Potiomkin” a Wsiewołod Pudowkin tworzył inny wielki film owych czasów „Matka”, gdy działali Kozincew i Trauberg, Ermiler, Dowżenko i Ekk, powstawały w Sowietach inne – mniej znane filmy, o których dyskretnie milczą wszystkie podręczniki historii kinematografii. Chodzi o filmy, które jak się dotychczas wydawało, mogły być jedynie pomysłem Goebbelsa – filmy, nazwijmy je po imieniu, rasistowskie, antypolskie. Powstało ich w czasie istnienia pierwszego komunistycznego państwa na świecie 70. Ta „najważniejsza ze sztuk”, jak nazywał X mąż Włodzimierz Iljcz Lenin, fałszowała historię w skali masowej, sterowała świadomością, manipulowała umysłami.

Największe nasilenie realizacja obrazów o treści antypolskiej przypada na lata '20 i '30. Co roku powstawało minimum dwa do trzech filmów tego typu. Jakie one były, te antypolskie obrazy? Na marnym poziomie artystycznym: królował melodramat z intrygą kryminalną. Weźmy „Krzyż i mauzer” z 1925 roku zrealizowany przez Władimira Gardina. Jest to historia księdza katolickiego, który w małym kresowym miasteczku Szepietówka organizuje pogrom Żydów. Ksiądz jest także „agentem dwójki” i Watykanu, ojcem dziecka – owocu grzechu, itp., itp. Gdy umiera, w jednej ręce trzyma krzyż, w drugiej mauzer.

Powstawały filmy o niecnym „panach polskich”, gnębiących chłopów ukraińskich i białoruskich. Oczywiście owi „panowie” uwodzili piękne dziewczęta włościańskie i porzucali je na ogół wówczas, gdy były w ciąży. Zdarzały się również pozycje z gatunku „płaszczka i szpada”. Do nich należy „Karmeluk” Fausta Łopatińskiego, ostatni

niemy film tego gatunku. Opowieść o synu magnata, siejącym spustoszenie na ziemiach wschodnich.

Bardzo znanym nazwiskiem wśród twórców filmów antypolskich jest Joseph Roda – Niemiec – specjalista od melodramatów, szczególnie rozmiłowany w tej tematyce. Pod jego wprawną reżyserią powstawały owe obrazy-potworki, służące nowo powstałej władzy sowieckiej i jej doraźnym celom. Nie omijano również edukacji najmłodszych. Powstało wiele antypolskich filmów o dzieciach i dla dzieci. Były to oczywiście wyciskacze łez. Los najmłodszych, krzywdzonych przez okrutnych Polaków miał wywołać współczucie i wrogie nastroje w stosunku do zachodnich sąsiadów. Ale już w filmie „Jak Piłsudski kupił Petlurę” jego twórcy poszli nieco dalej, ukazując rolę Polski w tym, co działo się na wschodnich rubieżach w owych trudnych latach. W roku 1927 powstały „Cienie Belwederu”. Opowieść o miłości polskiego oficera zakochanego w pięknej Żydówce. W końcu Polacy sądzą tych dwoje. Za co? Za miłość – konkludują sowieccy propagandyści. W niektórych filmach, szczególnie w drugiej połowie lat '30, pojawiły się nowe akcenty. Obok złoego polskiego pana, dobry polski robotnik: „Dobrzy Polacy »riadam z nami«”. Koniec lat '30 przyniósł nowe problemy i nowe sprawy. A wkrótce potem Sergiusz Eisenstein skracał brodę Mikołaja Czernasowa – odtwórca Iwana Groźnego, bo tak sobie życzył Józef Stalin. A potem wszystko w sowieckim filmie było tak, jak sobie życzył „Ojciec Narodów”. Również wiele lat później kinematografia polska doświadczyła skutków stalinizacji i posiada w swoim dorobku wiele filmów dalekich od prawdy historycznej, od prawdy w ogóle. Przeważała destalinizacja kultury, to pojęcie rozległe i wcale niezwiązane z odejściem dyktatora. Wiele lat po jego śmierci metody te rządziły jeszcze kinematografiami PRL i ZSRS.

Miron Czernienko – znany radziecki krytyk filmowy, od 26 lat zajmujący się sprawami polskiego kina, na zakończenie swego referatu o antypolskich filmach radzieckich powiedział: „[...] Z moimi polskimi kolegami często rozmawiałem o sprawach wstydliwych, tchórzliwych. Nie mogliśmy żyć tak dalek i patrzeć sobie w oczy, gdybyśmy ich wreszcie nie wyjaśnili”.

Oczyszczenie czy pokuta?

Za tym pierwszym opowiedział się znany

reżyser Władimir Motyl. Za tym drugim opowiadał Siergiej Ławrientiew – krytyk filmowy. Jak w znanym filmie Tengiza Abladze „Pokuta”, nawoływał do oczyszczenia przez karę tych wszystkich, którzy przyczynili się do istnienia zjawiska stalinizmu w kulturze i nie tylko.

Inny mówca radziecki wspominał o roli inteligencji radzieckiej, która wcale nie jest jednolita w swoich poglądach na „pierestrojkę”. Są tacy, którzy do dziś twierdzą, że pokolenie stalinowskie zbudowało mimo wszystko socjalizm, wzniosło elektrownie, drogi i koleje, stworzyło potęgę militarną i wysłało człowieka w kosmos.

Z kolei Andrzej Wajda zatroskał się o to, co będzie robił, gdy już zabraknie wszystkich „białych płam” i sam sobie na to pytanie odpowiedział: „Będę je wypełniał farbą w kolorze naturalnym”. Szczególnie znacząca dla seminarium była wypowiedź Mikołaja Ryżykova – młodego realizatora filmowego i publicyisty. To on właśnie przeciwstawił się wypowiedzi jednego z mówców, który stwierdził, że „stalinizm nie ma twarzy”. Ryżykow powiedział, że dostrzega nie jedną, a wiele twarzy niejako rodzimych, znanych mu osobście. Przytoczył parę przykładów.

Oto klasztor moskiewski, w którym w roku 1932 zakatowano na śmierć kilka tysięcy ludzi. Dziś przechodnie kładą tam kwiaty. Nieśmiało, z lękiem, wciąż się boją. Gdy zapytał staruszkę, stojącą tam w zadumie, czy może straciła wówczas kogoś bliskiego, uciekła w popłochu. Gdy w okręgu leningradzkim wymieniano legitymacje partyjne, okazało się, że większość dostojników partyjnych służyła w carskiej policji.

W jednym z instytutów naukowych pracuje na wysokim stanowisku były śledczy KGB, który szczególnie wyróżnił się w torturowaniu więźniów. Dziś mówi, że żałuje, ale kary nie poniósł. Czy więc może być oczyszczony ze zbrodni?

„Gdy dowiedziałem się o Katyniu, pojechałem tam. Chciałem znaleźć świadków zdarzeń. Czegoś się od nich dowiedzieć. Spotkałem pewną staruszkę, coś tam wiedziała, coś widziała. Dała adres innej staruszki. Ale rano, przyjechał samochód z KGB i zapytano, czy mam zezwolenie na rozmowę – »bumagę«. Nie miałem »bumagi«, więc odstawiono mnie pod strażą do granicy okręgu.

Jeździłem z filmem „Dreszcze” po różnych miastach. W Tule sala podzieliła się na dwa obozy. Do oczu sobie skalali. Ze tak było albo nie było. Jeździłem też z „Człowiekiem z marmuru”. To sa-

mo było. Dyskusje ostre. Ale ciekawie. Coś się w ludziach zmieniło. Te filmy uświadamiają im prawdę, której nie znali”.

Uwiarygodnić „pieriestrojkę”

Dziwne to były chwile. Ci goście ze Związku Sowieckiego i obok nich Adam Michnik, rozmowy przy kawie w czasie przerwy, spotkania z dawno niewidzianymi. No i jak powiedział profesor Einkeiel, „ta pewność, proszę państwa, że po tym, cośmy tu mówili, pójdziemy wprost do domu”.

Właśnie Adam Michnik zaproponował, aby uczestnicy seminarium zwrócili się do władz polskich o spowodowanie przez rząd sowiecki jak najszybszego wyjaśnienia sprawy Katynia. Byłby to dla Polaków test na wiarygodność „pieriestrojki”. Po odpowiednim opracowaniu tej rezolucji i odczytaniu jej wobec uczestników seminarium, przyjęto ją jednogłośnie. Uchwalono również drugą rezolucję, a właściwie list do ministra kultury i sztuki, w sprawie wprowadzenia do szerokiego rozpowszechniania filmu „Przesłuchanie” reżysera Ryszarda Bugajskiego.

Warto dodać, iż ani telewizja, ani radio, ani prasa oficjalna (oprócz małej wzmianki w *Życiu Warszawy* i *Trybunie Ludu*) żadnych informacji o seminarium do wiadomości publicznej nie podała, a redaktor jednego z pism filmowych na pytanie, czy zostaną zamieszczone jakieś materiały, wykonał słynny gest Władysława Kozakiewicza z moskiewskiej olimpiady.

A tak na marginesie, to na sali nie było ani jednego redaktora naczelnego z istniejących zespołów filmowych. To też o czymś świadczy. ■

DOKOŃCZENIE ZE STR. 67

Czy w takim razie reżyserka, która zna przecież Polskę na wylot, podjęła się przynajmniej analizy politycznej? Ależ skąd! Przejmując oficjalną tezę o zaborstwie księdza z „niejasnych” do końca motywów (wybryk nadgorliwego kapłana mniej lub bardziej krytego przez górę) reżyserka czyni z zabójcy główną postać filmu. Dlaczego ten młody milicjant zabija księdza? Ano dlatego, że go zaniadło kocha. Jest on zafascynowany i zauroczony księdzem. Poza tym to godny współczucia kryminalista, ponieważ jest homoseksualistą. I aby tej taniej psychologii napędzić widza, od początku filmu pokazuje się nam, jak to kapłan „nie może” ze

swoją żoną. Jednak zaraz po mokrej robocie sfilmowanej z odrażającą chęcią zabłyśnięcia, milicjant daje nura w małżeńskie łóżce rozplywając się w rozkoszach. Teraz już „może”. Ach Freudzie, jak nas upupili! Christoph Lambert, jak i muzyka Delerue'a wycisną z nas potoki łez. Oto smutek wielkich spraw unicestwianych przez środki masowego przekazu. Ale czy da się w ogóle przedstawić świętego w naszych czasach? ■

KRONIKA EMIGRACYJNA

EDWARD MOSKAŁ NOWYM PREZESEM KONGRESU POLONII AMERYKAŃSKIEJ

— Jan Nowak-Jeziorański telefonicznie z Chicago:

Ostatnie zebranie Rady Dyrektorów Kongresu Polonii Amerykańskiej w Chicago w dn. 11—12.11.88 było niejako historyczne, bo na wokandzie znalazła się sprawa wyboru trzeciego prezesa w historii Kongresu Polonii. Pierwszym prezesem był Karol Rozmarek, drugim zmarły niedawno Alojzy Mazewski i ich kadencje objęły łącznie 44 lata, a więc blisko pół wieku.

Wybory z natury rzeczy dzielą każdą społeczność, albo podsycają istniejące podziały. Człowiek, który wychodzi z głosowania zwycięzca — jest zadowolony i szczęśliwy. Ci, którzy przegrali są oczywiście zawiedzeni, czasem rozgoryczeni. Istnieje w takim momencie pewne zagrożenie jedności organizacyjnej, niebezpieczeństwo dezintegracji, zwłaszcza tam, gdzie kandydaci reprezentują organizacje, które są niejako trzonem całości. Ótóż powstanie Kongresu w krytycznym dla Polski roku 1944 było aktem zjednoczenia w obliczu rysującego się zagrożenia dla kraju macierzystego. Kongres składał się z przedstawicieli kilku tysięcy polskich organizacji w 33 stanach. Ale głównym filarem były i są 4 organizacje bratniej pomocy - tzw. Fraternal Organizations, które mają już ponad sto lat i zrzeszają większość społecznie aktywnej starej Polonii. Są to wielkie stowarzyszenia ubezpieczeniowe, a członkowie nie płacą składek, tylko wykupują polisy.

Najmocniejszy, zarówno pod względem finansowym jak i ilości członków, jest Polski Związek Narodowy, po nim Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie, Związek Polek i „Sokół”. Dwaj poprzedni prezesi, Rozmarek i Mazewski, byli równocześnie prezesami Związku Narodowego Polskiego i Kongresu Polonii.

Obecnie stanęło do wyborów 4 kandydatów: Edward Moskał, który po śmierci Mazewskiego wybrany został prezesem ZNP, prezes Polskiego Zjednoczenia Rzymsko-Katolickiego, Edward Dykła, inny działacz ZNP, Hilary Czapliski, i były kongresmen Roman Puciński, który jest prezesem wydziału Kongresu w stanie Illinois. W wyniku różnych rozmów i perswazji doszło do porozumienia i Czapliski i Dykła wycofali swoje kandydatury, tak że do wyborów stanęli tylko Moskał i Puciński. Pierwszy dostał 54 głosy, drugi 34, poczem Puciński, który przegrał, natychmiast wstał i zaproponował jednomyślny wybór Moskała. Był to

ptękną gest. W ten sposób ciągłość i jedność Kongresu została zachowana i wszyscy rozjechali się w zgodzie.

Rada Dyrektorów zajmowała się także ostatnimi wypadkami w Polsce. Podjęta została uchwała, w której Kongres Polskiej Polonii stwierdza, że w polityce rządu PRL nastąpił niepokojący i niepomyślny zwrot z chwilą objęcia władzy przez Mieczysława Rakowskiego. W związku z tym Kongres Polonii użyje swoich wpływów, by wstrzymać kredyty Międzynarodowej Unii Walutowej do chwili wznowienia konferencji okrągłego stołu i zawarcia porozumienia między rządem i „Solidarnością”. Uchwalone zostały listy do zastępcy sekretarza stanu, Whiteheada i premiera Wlk. Brytanii, p. Thatcher. W tym ostatnim liście wyrażone zostało pod adresem p. Thatcher głębokie uznanie dla jej stanowiska, jakie zajęła w czasie niedawnej wizyty w Polsce i poparcia, jakiego udzieliła „Solidarności”.

Trzeba jeszcze dodać, że kongres w swojej uchwale wyraził pełne zaufanie i poparcie dla Lecha Wałęsy i „Solidarności”, zwołując społeczeństwo, aby w tym krytycznym momencie zjednoczyło się wokół kierownictwa „Solidarności” i Kościoła.

TARGI RAZ JESZCZE

Na targach książki we Frankfurcie byłem już po raz czwarty. Jest to impreza, której opisać nie sposób. Wielbiciel i pozeracz książek musi tu popaść w rozpacz z tego choćby przestrogo powodu, iż przekonuje się, że nie jest w stanie nie tylko przeczytać, ale nawet w sensowny sposób ogarnąć i uporządkować, choćby tylko dla własnych potrzeb, rocznej produkcji książkowej na świecie. Oczywiście, że na Targach nie znajdzie wszystkiego, niemniej ma do czynienia z próbką dość reprezentatywną. Ma też do czynienia, zwłaszcza, gdy przyjeżdża z Polski, z pokazem takich technik druku — szczególnie zaś reprodukcji — o których jeszcze parę lat temu nikomu się nie śniło. Dla nas, zwłaszcza w kraju, jest to raczej sen nie do końca realny. Takiego papieru, jaki odnaleźć można w niektórych publikacjach albumowych Japonii, nigdy przedtem na oczy nie widziałem, zaś w PRL zapewne nie zobacze do końca tego życia, gdyż ceny tych albumów przekraczają prawdopodobnie nawet możliwości kieszeni ministra Wilczka.

Tym razem nie było, jak w roku ubiegłym, stoiska z polskimi publikacjami niezależnymi, a szkoda, gdyż jest co pokazać. Niewielką ilość książek wydanych w polskim podziemiu odnaleźć można było na stoiskach wydawnictw emigracyjnych — m.in. paryska „Kultura” prezentowała przedruki krajowe swych kolejnych numerów. Brak stoiska niezależnego rzucił się w oczy, gdyż wielu zwiędzających Targi, pamiętając zeszłoroczną wystawę, ciągle pytało, czy i w tym roku mają szansę obejrzeć bieżącą produkcję podziemia. Szkoda. Tym bardziej, że — jak wiadomo — tylko podobna prezentacja, reklama, marketing, może przysporzyć sympatyków, a i ludzi, którzy skłonni są podziemie firmy dotować.

Sporo interesujących nowości przywoziły ze sobą paryskie „Spotkania” — emigracyjne przedłużenie podziemnej oficyny krajowej. Poleciałym wśród tych książek przede wszystkim wspomnienia Leszka Proroka, zmarłego przed kilku laty prozaika i eseisty, wybitnego znawcy Conrada, jednego z najbardziej aktywnych działaczy dawnego Związku Literatów Polskich. *Smutne pół rycerz żywych* to relacja z przesłuchań i odsiadki w potwornych warunkach w poznańskim UB w latach czterdziestych. Uderza, że autor nie koncentruje się na opisie własnej martyrologii, lecz prze-

de wszystkim usiłuje poznać i zrozumieć katujących go i torturujących ubeków — pod tym względem jest to książka nie mająca w naszej literaturze precedensu. Po raz pierwszy w „Spotkaniach” odnajdujemy zbiory poezji. Pierwszym jest jeszcze za życia autora opublikowany zbiór Józefa Łobodowskiego *Rachunek sunienia*, drugi to niezwykle interesująca antologia opracowana przez Krzysztofa A. Jeżewskiego *W błasku legendy*, stanowiąca poetycką kronikę życia i działalności Józefa Piłsudskiego. Warty przeczytania jest zbiór wywiadów, przeprowadzonych przez Jagodę Jędrzychowską z głośnymi postaciami polskiej emigracji: „Widzieć Polskę z oddalenia”. W cykl książek, które dotyczą najnowszych wydarzeń w Polsce wpisuje się praca Bohdana Cywińskiego *Doświadczenie polskie*.

Łondyńska „Polonia” przywoziła na Targi szereg ważnych nowości, spośród których chciałbym zwrócić uwagę na trzeci już tom pism wybranych Aleksandra Wata, pieczołowicie przygotowywanych do druku przez Krzysztofa Rutkowskiego. Tym razem zaprezentował Rutkowski tomu prozy wybitnego poety, znanego szerzej publiczności przede wszystkim jako autora *Mojego wieku*, pamiętnika mówionego o przeżyciach łagrowych.

Zbiór opowiadań nosi tytuł „Ucieczka Lota” i jest pierwszym tak obszernym zestawem prozy Wata. W serii *Czasy i ludzie* opublikowano wybór — kompetentnie dokonany przez Annę Bojarską — eseistyki Stefana Żeromskiego. *Pisma polityczne* autora *Przedwiośnia* uderzają dziś swą aktualnością. W serii *Wokół literatury* odnajdujemy aż trzy nowe zbiory. Pierwszym jest tom autora krajowego, Zdzisława Łąpińskiego, *Jak współżyć z socrealizmem*, w którym autor, dążąc do wyjaśnienia całej prawdy o stalinowskim okresie naszej literatury, opisuje wyszperane przez siebie socrealistyczne wiersze Białoszewskiego i Herberta — zwracam uwagę na tą rewelację, która w żadnym przypadku nie stanowi podstawowej treści zbioru, gdyż ci dwaj właśnie autorzy przedstawiani byli dotychczas jako jedni z czołowych pisarzy, którzy nie poddali się presji tamtego czasu.

Druga książka to zestaw referatów z katowickiej sesji poświęconej twórczości czeskiego pisarza Milana Kundery (*Kundera*). Trzeci wreszcie zbiór to esaje przebywającego na wychodźstwie w Paryżu Wojciecha Karpińskiego *Książki zbójce* — opisuje w nim autor kanon swych lektur emigracyjnych; szczególną uwagę zwraca niezwykle interesujący zestaw zdjęć pisarzy, którzy przeszli już do historii naszej literatury, swoista kronika emigracyjnego życia literackiego. Miłośnikom historii polecam wydaną wcześniej w warszawskim podziemnym „Przedświcie” pracę Jana Brzozy *Polski rok 1919*, zbiór artykułów znanego historyka Piotra Wandyczki *Z dzieł dyplomacji*, wreszcie zestaw publicystyki z lat 1943-1988 *Katyń* uzupełniony *Listą Katyńską*.

Także londyńskie wydawnictwo „Puls Publications” przynosi szereg interesujących tytułów, wśród których, przynajmniej dla mnie, na plan pierwszy wysuwa się szczupła książeczka Macieja Poleskiego *Maty Janwiak*, czyli kodeks polityczny i etyczny działaczy opozycyjnych. Zwrota krajowa reprezentowana jest przez zbiór przewrotnych, czasem ironicznych opowiadań krakowskiego autora Jerzego Piłcha *Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej*. Wśród przykładów odnajdujemy kolejną powieść Milana Kundery *Życie jest gdzie indziej*. Warte uważnej lektury są też dwie książki o charakterze historycznym: *Od Genewy do Jalt* — rozmowy radiowe przeprowadzone przez Tadeusza Żenczykowskiego z Edwardem Raczyńskim oraz *Głos z Gulagu* — wywiad Ewy Berberys z Olgierdem Wołyńskim. Sposród wydawnictw

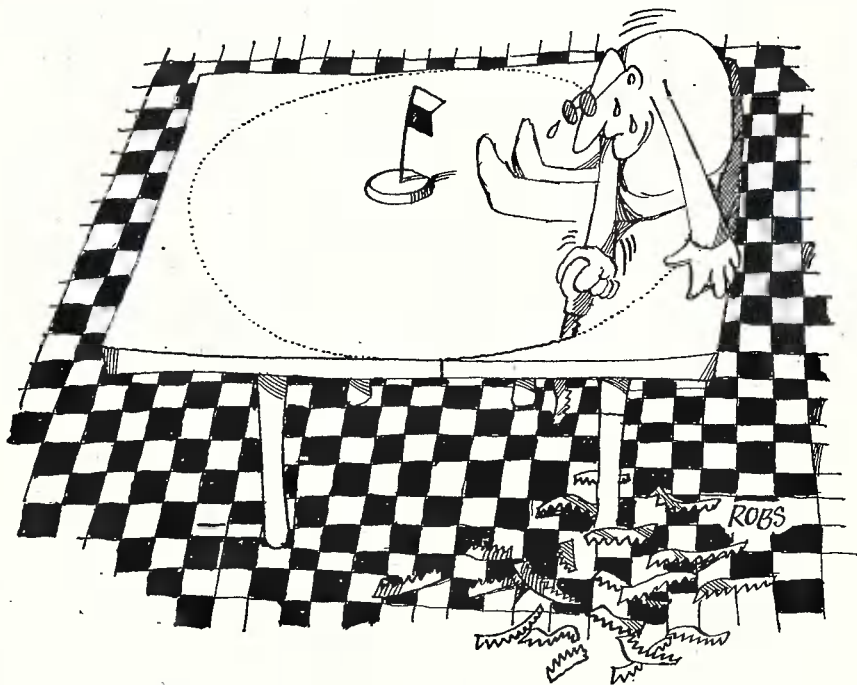
londyńskich reprezentowane były ponadto: Aneks, Polska Fundacja Kulturalna, Kontra i Polska Macierz Szkolna.

Berlin reprezentowały „Pogląd”, którego nowości nie muszę tu referować, oraz „Veto”, nakładem którego ukazał się drugi z serii dwujęzycznie wydanych tomów poezji polskiej — tym razem zbiór wierszy Tomasza Jastruna „Od prawie dwustu lat” w przekładach Wanji Ronge. I wreszcie stoisko paryskiej „Kultury” z bestsellerem, jakim na rynku niemieckim stała się powieść Andrzeja Szczypiorskiego *Początek* (*Die schöne Frau Seideman*) — sam autor zresztą był obecny na Targach przekładem swej dawniejszej powieści *Msza za miasto Arras*, opublikowanej przez wydawcę szwajcarskiego i która, podobnie jak *Początek*, znalazła się na listach książkowych przebojów.

Bogate było też polskie stoisko oficjalne — nie sposób oczywiście zwrócić tu uwagę na wszystkie ważne tu tytuły, wspomnę więc tylko o niewątpliwym bestsellerze, jakim są opracowane przez Tadeusza Drewnowskiego *Dzienniki Marii Dąbrowskiej*, opublikowane przez „Czytelnika” oraz na najnowszą książkę Mariana Brandysa, będącą jakby jednym z dopełnień *Końca świata szwoleżerów*, *Generał Arbuż* poświęconą generałowi Zajączkowi, który po kampanii napoleońskiej na koniec życia został carskim namiestnikiem Królestwa Kongresowego — rzecz wydały warszawskie Iskry. (Leszek Szaruga)

DNI KULTURY POLSKIEJ W BREMIE

W ciągu dwóch tygodni — od 17 do 30 października — odbywały się w Bremie Dni Kultury Polskiej zorganizowane przez Senat miasta, Towarzystwo Niemiecko-Polskie (Deutsch-Polnische Gesellschaft), Forschungsstelle Osteuropa przy bremeńskim Uniwersytecie i wsparte przez bremeński bank „Sparkasse”. Główną organizatorką imprezy była Aleksandra Marszałek. Obok pokazu filmów, (m.in. *Kronikę wypadków miłosnych* Andrzeja Wajdy i *Kochanków mojej mamy* Romana Piwowarskiego), odbyła się w teatrze przy placu Goethego (Theater am Goetheplatz) bardzo interesująca wystawa plakatów teatralnych tak wybitnych artystów jak Starowiejski, Czerniawski czy Lenica. Wśród imprez poetyckich na uwagę zasługuje przede wszystkim wieczór poświęcony prezentacji liryki polskiej od Kochanowskiego po współczesnych. Odbyły się też wieczory autorskie Bolesława Faca, Lothara Herbsta i Leszka Szarugi. Niezwykle interesujący wykład „Obraz polski w literaturze niemieckiej” wygłosił dr Peter Burmeister ukazując przemiany stosunku pisarstwa niemieckiego wobec Polski od początków do chwili współczesnej. Bogaty i interesujący zestaw imprez, wśród których nie zabrakło także prezentacji muzyki polskiej, cieszył się sporym zainteresowaniem, co udokumentowane zostało w omówieniach na łamach bremeńskiej prasy.



„Pogląd” ukazuje się od stycznia 1982 (do października 1982 roku, jako „Biuletyn Informacyjny” Komitetu Obrony Solidarności) i jest niezależną publikacją Towarzystwa Solidarność e.V. — zrzeszenia zarejestrowanego w Berlinie Zachodnim, mającego na celu obronę prawa do zakładania niezależnych związków zawodowych oraz obrony praw człowieka w Europie Wschodniej.

Fragment § 2 Statutu Towarzystwa

Zrzeszenie jest podpartym i realizuje w swej działalności wyłącznie cele użyteczności publicznej, jakimi są:

1. Popieranie niesienia pomocy dla osób prześladowanych z przyczyn politycznych, rasowych i religijnych, dla uchodźców i wysiedleńców, przede wszystkim z krajów Bloku Wschodniego, a w szczególności z Polski.
2. Propagowanie tolerancji w dziedzinie kultury oraz rozpowszechnianie idei porozumienia między narodami w celu pokojowego ich współistnienia (...)
3. Propagowanie zbliżenia kulturowego, pomiędzy narodami, a w szczególności między Polakami i Niemcami. (...)
4. Popieranie ruchów demokratycznych w państwach totalitarnych, przede wszystkim w Polsce i w krajach Bloku Wschodniego. (...)
5. Zrzeszenie realizuje swoje cele poprzez uświadamianie i popularyzowanie idei demokratycznych i kultury politycznej. W tym celu:
6. Zrzeszenie rozprowadza swoje czasopismo „Pogląd”/„Meinung” w kraju i za granicą. Zadaniem czasopisma jest informowanie o tendencjach rozwojowych w Polsce i w państwach totalitarnych, przede wszystkim w tych, które należą do Bloku Wschodniego, jak również ma na celu stworzenie forum dla prześladowanych, wysiedleńców oraz uchodźców z tych krajów. (...)
7. Zrzeszenie ma zamiar dokonywać analiz sytuacji w krajach totalitarnych, poprzez organizowanie sympozjów i wykładów oraz publikowanie ich rezultatów w celu informowania opinii publicznej. (...)

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto:

„Gesellschaft Solidarność” e.V.

„Pogląd”

Sparkasse der Stadt Berlin West

Konto Nr. 122 001 238 2

BLZ 100 500 00

lub

Postcheckkonto

586 90 - 102

BLZ 100 100 10

Postcheckamt

1000 Berlin (West)

dopisek: POGŁAD

PRENUMERATA

RFN:

półroczna DM 60,-

roczna DM 110,-

Europa i kraje zamorskie

(poczta zwykła):

półroczna DM 65,-

roczna DM 120,-

Kraje zamorskie

(poczta lotnicza):

półroczna DM 85,-

roczna DM 150,-

Australia (lotnicza):

półroczna DM 105,-

roczna DM 160,-

OFFSETDRUCKEREI

Hans-Jürgen Wichmann

Askaniering 155-156

1000 Berlin 20

CENA DM 9,-

ZBIORY OŚRODKA KARTA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenie wyłącznie za pisemną zgodą redakcji. Zastrzegą się prawo skracania nadesłanych materiałów. Materiały nie zamierzonych nie zwracamy. Materiały podpisane nawet nazwiskiem niekoniecznie oddają stanowisko redakcji. Odpowiedzialność prasową za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

IMPRESSUM

Verleger — Wydawnictwo

Gesellschaft Solidarność e. V.

Gefleherstr. 10, D-1000 Berlin 62

Wydawca i redaktor naczelny

Edward Klimczak

Sekretarz redakcji

Piotr Kowalczyk

Adres redakcji

Postfach 62 02 24

D - 1000 Berlin 62

tel. 030/782 93 84

Stali współpracownicy

Ewa Darmas — PARYŻ, Paweł Gajowniczek — OSŁO, Wiktor Grotowicz — MONACHIUM, Krzysztof Kasprzyk — TORONTO, Aureliusz M. Pedziwol — WIEDŃ, Maciej Rybiński — BONN, Roman Śmigiełski — KOPENHAGA, Wanda Falkowska — POLSKA, Andrzej Zwaniński — WASHINGTON, Walter Żelazny — METZ

Przedstawiciele, korespondenci i kolporterzy

AUSTRALIA — Andrzej Lewandowski, 8 View St., Subiaco 6008, Tel. 09/3821662;
 AUSTRIA — „Polskie Wiadomości”, A. Jaślikowski, Kolbigasse 35/15, 1030 Wien; Księgarnia Polska, Zofia Reinbacher, Burgasse 22, 1070 Wien;
 DANIA — Roman Śmigiełski, Worasaaesvej 7, 4tv, 1972 Frederiksberg C, Tel. 01/393330;
 FRANCJA — Krystyna Szewczuk, 143, rue Etienne Poulet, 69400 Ville-franche s/S, Tel. 74/620945;
 KANADA — Krzysztof Kasprzyk, 35 Confederation Dr. 205, ONT. M1G1A2, Scarborough; Marek Przykorski, 5050 Roslyn, Apt. 32 H3W 2L2, Montreal P.Q.
 NORWEGIA — Paweł Gajowniczek, Linderberggassen 28c, 1068 Oslo — 10
 RFN — Lucja Abramowicz, Schniederbergstr. 135, 4532 Mettingen, Tel. 05452/3878; Robert i Stanisław Brodnicki, Zum Lufschacht 17, 4600 Dortmund 15, Tel. 0231/374673; Zbigniew Długolecki, Grüne Str. 11, 6000 Frankfurt/M. 1, Tel. 069/436260; Anna i Zbigniew Dominik, Freiherr-vom-Stein-Str. 46, 5800 Hagen 1; Jerzy Jankowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 München 83, Tel. 089/6371213; Jan Kustusz, Ahornstr. 39, 5760 Arnsberg 1, Tel. 02932/22798; Tadeusz Leń, Wierenstr. 307a, 7000 Stuttgart 30, Tel. 0711/8567415; Grupa Robocza Solidarność-Eschweiler-Aachen, Z. J. Pflarscy, 5190 Stolberg, Im Hirschfeld 19, Tel. 02402/84348; Barbara Urbaniak, Euskirchener Str. 2, 5160 Düren, Tel. 02421/16727; Marek Polliwski, Luxemburger Str. 124, 5000 Köln 41, Tel. 0221/413734; Dariusz Seibor, Neumarkt 1, 4722 Enigerden 2; Waldemar Tymoszuł, Alster Angerlath 10, 2000 Hamburg 36;
 SZWECJA — Tadeusz Karolak, Box 83, 13522 Tyreso, Tel. 08/7421457;
 USA — Mirosław Marecki, P.O. Box 2202, Holland, MI 49422, Tel. 616/3616648; Ts-mara Sochacka, 5026 Cariff, Detroit, MI 48212, Tel. 313/8715377;
 WIELKA BRYTANIA — Solidarity with Solidarity, 7 Quintin Ave., London SW20 8LD, Tel. 01/6734456;

Oficyna
Wydawnicza
3005
POKOLENIE.



ZBIORY OŚRODKA KARTA

Oszczędzaj w PKO